

**Tomasz
Terlikowski**

**CZY CZEKA
NAS SCHIZMA?**



Piotr Lisiewicz

**JAK ŻELAZNA
PIĘŚ WARSZAWY
BIŁA NIEMCÓW
W AUSCHWITZ**



NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO



ZAKNEBŁOWAĆ

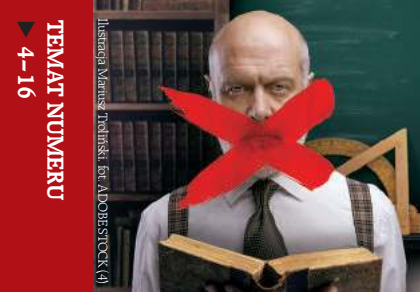
PROFESORA

CENZURA na polskich uczelniach

9 1771895 496902



ISSN 1895-9960



Spis treści

TEMAT NUMERU

prof. Aleksander Nalaskowski
„Sprawa Nalaskowskiego”
– poboczne odczytanie
dr Józef Wieczorek
Profesorowie a wolność słowa
prof. Bogusław Dopart
Z kraju milczenia...
Ryszard Czarniecki
Import zamordyzmu intelektualnego.
Wersja nadwiślańska

IDEE

Ewa Polak-Palkiewicz
Kiedy zwykły człowiek zaczyna
czuć się niewygodnie
Tomasz P. Terlikowski
Czy czeka nas schizma?
Małgorzata Matuszak
Guwernanci XXI wieku

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Jak Żelazna Pięść Warszawy
biła Niemców w Auschwitz
Magdalena Złotnicka
Podróże zagubionej Kasandry
Agnieszka Kowalczyk
Polacy na krańcach świata.
Kajakiem do Indii
dr Józef Wieczorek
Obecna twarz UJ widziana przez pryzmat
twarzy Juliana Haraschina

KULTURA 52-63

Sylvia Kolodyńska
Dekalog Quentina Tarantino
Dariusz Jarosiński
Ja, obywatel i artysta
Krzysztof Karnkowski
Czarne płaszcze wchodzą do gry

ŚWIAT

Hanna Shen
Kiedy nasze DNA trafi
w ręce Chińczyków
Z Borisem Reitschusterem rozmawiają
Olga Doleñiak-Harczuk i Antoni
Opaliński
Poparcie dla AfD nie bierze się
z powietrza
Antoni Rybczyński
Po co Amerykanom Grenlandia
Stefan Czerniecki
Prastara figurka nad
trzydziestometrową falą
Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji
oprac. Antoni Rybczyński
Politycy i eksperci Zachodu:
czas ocieplenia relacji z Rosją
jeszcze nie nadszedł

Stale rubryki



Katarzyna Gójska
Dlaczego te wybory są tak ważne

NA POCZĄTEK

3



Małgorzata Matuszak
Czym jest... krzyż

KATECHIZM INTELIGENTA

25



Marek Kalinowski
Najgłośniejsi desperaci

DO GRAJĄCEJ SZAFY...

64



Kamil Goral
Z ZUS-em trzeba ostrożnie

SŁOWEM O GOSPODARCE

69



Ryszard Czarniecki
Komisja Europejska: w cieniu afer czy „afer”?

CZARNECKO TO WIDZĘ

70



Olga Doleñiak-Harczuk
Ze skrajności w skrajność

Z GLOBALNEGO TYGŁA

90



Marcin Wolski
Kraina Wolności

PAPKULTURA

98



Tomasz Sakiewicz
Bezpieczeństwo Polski, bezpieczeństwo USA

OSTATNIE SŁOWO

99



miesięcznik
wydawca
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

ZESPÓŁ
Ryszard Czarniecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleñiak-
Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart,
Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński,
Dorota Kania, Krzysztof Karnkowski, Piotr Lisiewicz,
Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Tomasz
Terlikowski, Bohdan Urbanowski, Jerzy Urbanowicz,
Grzegorz Wierchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska
DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

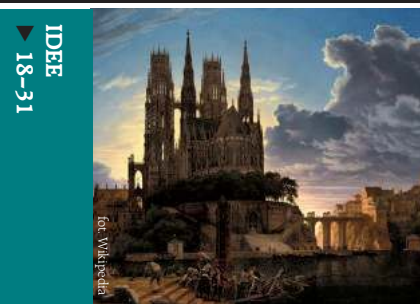
PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński
DTP
Aleksander Razwarkow
KOREKTA
Irena Bišta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
tel. +48 22 290 29 58
prenumerata@panstwo.net
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW
09 1240 1024 1111 0010 4263 9001

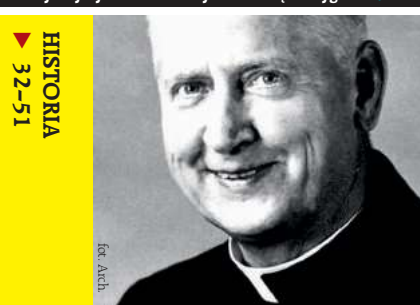
DRUK LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.
Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960



IDEE



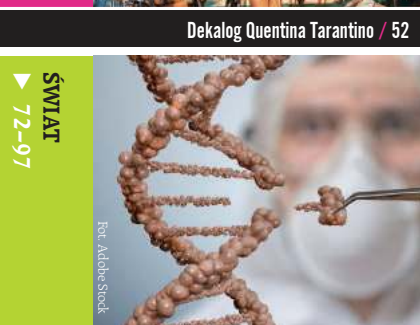
Kiedy zwykły człowiek zaczyna czuć się niewygodnie / 18



HISTORIA



KULTURA



ŚWIAT

Kiedy nasze DNA trafi w ręce Chińczyków / 72



DLACZEGO TE WYBORY SĄ TAK WAŻNE

Program Prawa i Sprawiedliwości wykracza poza standardowy przekaz partyjnych ofert wyborczych. Jest bowiem nie tylko sprawozdaniem z dokonań mijającej kadencji i propozycją działań na ewentualną przyszłą, lecz także rewelacyjnym opisem postkomunizmu.

Tekst, o którym wspominam, tworzy rozdział zatytułowany „Diagnoza. Od postkomunizmu do polskiego państwa dobrobytu” i jest niezwykle wnikliwą analizą trzech dekad III Rzeczypospolitej. Jedną z najlepszych, a być może po prostu najlepszą, jakie powstały na ten temat. Zwracam uwagę właśnie na ten fragment dokumentu programowego PiS, bo żadna inna siła polityczna ubiegająca się o rządzenie lub współrządzenie Polską nie pokusiła się o ocenę naszej rzeczywistości od 1989 roku. Ktoś może użyć argumen-

tyczną, która bardzo szczegółowo uzasadnia swoje działania. Można zgadzać się lub nie z formułowaną przez nie oceną i propozycją działań, ale bez wątpienia jest podstawa do dyskusji. Wyborcze oferty konkurencji, przede wszystkim głównej siły opozycyjnej, utrzymane są w konwencji chaotycznych haseł – nie wiadomo, dlaczego pojawia się taka, a nie inna propozycja, trudno dociec, jaki jest jej głębszy sens i cel. Zupełnie jakby ktoś chciał na siłę zapęlić tekstem sporą liczbę stron, uważając przy tym, by odpowiednio często używać słów do-

WYBORCZE OFERTY KONKURENCJI, PRZEDĘ WSZYSTKIM GŁÓWNEJ SIŁY OPOZYCYJNEJ, UTRZYMANE SĄ W KONWENCJI CHAOTYCZNYCH HASEŁ – NIE WIADOMO, DLACZEGO POJAWIA SIĘ TAKA, A NIE INNA PROPOZYCJA, TRUDNO DOCIEC, JAKI JEST JEJ GŁĘBSZY SENS I CEL.

tu, że oferta wyborcza ma wychodzić do przodu – formułować zadania, a nie dociekać, dlaczego polska gospodarka czy debata publiczna ukształtowały się tak, a nie inaczej. Tymczasem program rzeczywiście jest wizją przyszłości, lecz jaką wartość ma ta wizja bez głębokiego zrozumienia procesów zachodzących w naszym kraju na przestrzeni ostatnich dekad? Trudno walczyć z patologiami, gdy nie zna się ich źródła, nie rozumie, w jaki sposób destrukcyjne nie tylko dla naszej gospodarki, lecz także relacji społecznych, zjawiska mogły bez problemu istnieć. Bez głębokiej i wnikliwej diagnozy nie sposób skutecznie zmieniać Polskę na lepsze. Partia Jarosława Kaczyńskiego jest co rusz oskarżana przez konkurencję o „kupowanie” wyborców, żonglowanie obietnicami finansowego wsparcia różnych grup społecznych. Tymczasem ugrupowanie rządzące jest jedyną formacją poli-

brze się kojarzących większości wyborców. Jaka jest wiarygodność takich hasłowych kolaży? Czy ich autorzy mają pomysł na wprowadzenie ich w życie i potrafią przewidzieć konsekwencje proponowanej przez siebie polityki? Między innymi na te pytania będą musieli sobie odpowiedzieć wszyscy, którzy będą podejmować decyzje wyborcze 13 października.

W tym numerze naszego miesięcznika wybitni polscy naukowcy w niezwykle otwarty sposób rozpoczynają debatę o wolności słowa na polskich uczelniach. A może nawet więcej – o kondycji naszej nauki. Bo swoboda wypowiedzi to nie tylko możliwość głoszenia własnych poglądów, lecz także prawo do krytyki, nieskrępowana debata. Jednym słowem wszystko to, co zbudowało wielkość cywilizacji zachodniej. ■

prof. Aleksander Nalaskowski



Paradoksalnie twierdę, że gdybym krytykę LGBT podjął w trakcie zajęć ze studentami, to byłoby to bez większych problemów uznane za dyskurs akademicki. Próba wyjścia z taką krytyką poza mury uczelni spotyka się z pewnym ostracyzmem środowiskowym i przypomina marcowe hasło „literaci do pióra, studenci do nauki”. Profesor ma się ograniczyć do działania w obrębie murów uczelni. Oczywiście dotyczy to tych naukowców, których poglądy nie są zgodne z poglądami tzw. środowiska. Pozostali mogą w ramach audycji telewizyjnych czy artykułów prasowych dowolnie (w formie i treści) krytykować władzę, a także „odszczepieńców”, korzystając tym samym w pełni z prawa do konstytucyjnej wolności słowa.

„SPRAWA NALASKOWSKIEGO” – poboczne odczytanie

Sytuacja, w której niedawno się znalazłem, a którą można by przedstawić w formie logicznego ciągu zdarzeń: felieton → zawieszenie w obowiązkach profesora → wyraży masowej niezgody → odwieszenie, ujawniła kilka niezwykle istotnych faktów, którymi warto się będzie w przyszłości na poważnie (dla mnie oznacza to naukowo) zająć. Niniejszy tekst stanowi zatem zaledwie szkic, mapę problemów czekających na analizę.

► Wybuchowe litery

Zupełnie zagadkowe jest dla mnie, dlaczego nie głosy w poważnych dyskusjach zarówno o przyczynie, jak i aktywności środowisk homoseksualnych w Polsce, liczne opracowania krytyczne czy ostrzeżenia autorytetów, stanowiły razem wzięte mniejszą siłę niż felieton, którego publikacja, wbrew intencjom autora, wywołała burzę społeczną i kontrastowo istniejące w Polsce w tym zakresie podziały.

Nie ma tu w tej chwili znaczenia mój osobisty los, a właściwie przygoda, lecz nieodkryty i dotąd przez nikogo nie analizowany mechanizm. O tym będzie nieco dalej. Po raz kolejny okazało się, że głos elit intelektualnych ma mniejszą moc sprawczą niż wydarzenie z obszaru szeroko pojętej kultury pop. Gdyby wyciągać bezpośrednio i bardzo powierzchowne wnioski, można by rzucić hasło – „nie róbmy nauki, piszmy felietony!”.

Cechą mojego, ale nie tylko mojego, tekstu, od którego to wszystko się rozpoczęło, była prostota i jednoznaczność przekazu. Porównywałam nawet do ewangelicznego „Niech wasza mowa będzie: Tak, tak; nie, nie. A co nadto jest, od Złego pochodzi” (Mt 5, 17–37). Ryzykowne, ale jak się okazało, odebrane jako jednoznaczne opowiedzenie się przeciwko „wynoszeniu na ulicę” spraw ludzkiej seksualności potrzebowało stosownej formy, aby dotkliwie ugodzić przeciwnika. Tak się stało, że przed dwoma tygodniami [niniejszy artykuł powstał 22 września – przyp. red.] opublikowałam w tym samym tygodniku obszerny artykuł zawierający daleko radykalniejsze stwierdzenia na temat afirmacji inności seksualnej i przeszedł on zupełnie niezauważony. Może tutaj tkwi pewna wskazówka, którą warto odczytać, a mianowicie, że w walce z jak to nazywałam doktryną wojenną LGBT ważna jest nie tylko siła argumentów i nieustępliwość, lecz również forma? Może trzeba zrezygnować z gry według reguł szachowych, gdy przeciwnik stosuje reguły z MMA?

► **Przywilej vs prawo**

W zaistniałym sporze, w którym jedną ze stron były osoby i instytucje (w znaczeniu socjologicznym) homoseksualne, a z drugiej osoby i środowiska sprzeciwiające się publicznej afirmacji takich skłonności, doszło do konfrontacji wewnątrz chromego systemu prawnego. Jakaś grupa osób występowała w imię swoich praw i wynikających z nich ewidentnych przywilejów (na przykład niekaranie za publiczne zgorszenie, za łżenie symboli państwowych i religijnych etc.), przywilejów ujawniających się w nadzwyczajnej łagodności w kodeksowym/prokuratorskim ich potraktowaniu, a druga ubiegała się o swoje prawa z poziomu podstaw porządku konstytucyjnego, poniżej którego jest tylko chaos. Była to więc *de facto* konfrontacja praw z przywilejami. Jedna strona coś mogła, a druga tylko musiała (szanować, tolerować, akceptować). Doktrynerzy LGBT mieli od razu na podorzędziu strażnika swoich przywilejów. W pierwszym rzędzie był to postawiony w arcytrudnej sytuacji rektor wyższej uczelni i organy przypominające tu bojówki słowne („Gazeta Wyborcza”, Onet, Wirtualna Polska, lokalny dziennik), a potem sprawny system tworzenia i multiplikowania petycji do władz uczelni o ukaranie mnie. Strona defensywna, bo była to ewidentna defensywa, musiała się dopiero zorganizować w popolicie ruszenie. Autorowi felietonu przełożeni nie przedstawili żadnych zarzutów, nie została sporządzona bezstronna ekspertyza inkryminowanego tekstu (do dzisiaj), czego jednoznacznie domaga się istniejące w tym zakresie prawo, szlak wiódł bowiem na skróty – zawieszenie w czynnościach w trybie *subito*. Warto dodać, że odwołanie do sądu pracy (jedyna przewidziana prawem droga) od decyzji o zawieszeniu, nie dotyczyło treści felietonu, lecz wadliwego trybu administracyjnego przyjętego przez pracodawcę, co w dużej mierze przesądza o blamażu biura prawnego instytucji, notabene kształcącej masowo prawników.

► **Słowami w słowa**

Decydującą rolę w tym istotnym społecznym sporze odegrały media. Doszło tutaj do interesujących sytuacji. Lewa strona propagowała fałszywą interpretację tekstu felietonu za pomocą starannie wypreparowanych zeń wyimków, a druga odwoływała się do pryncypiów i prawdziwego znaczenia użytych w nim określeń. Nie sądzę, aby krytycy tekstu mieli problem z czytaniem ze zrozumieniem. Budzi więc wstręt nachalne przedstawianie metafory gwałtu jako rzeczywistego czynu w rozumieniu art. 197 KK. Identycznie z zawartymi w felietonie zachętami do

głośnego sprzeciwu wobec wojennej doktryny LGBT, traktowanymi jako namawianie do przemocy (art. 207 KK). Stanowi to nade wszystko zarzut popełnienia czynności karalnej. Bowiem „kto chcąc, aby inna osoba dokonała czynu zabronionego, nakłania ją do tego”, odpowiada za podżeganie z art. 18 KK. Strona atakująca autora najwyraźniej liczyła, że odbiorcy tych interpretacji ograniczą się do nich samych i nie sięgną po tekst oryginału. W dużej mierze było to chyba założenie na wskroś trafne. Ale i tutaj ujawnił się medialny aspekt sprawy. W licznych programach publicystycznych demaskowano te fałsze, cytując bardzo obszerne fragmenty felietonu, fragmenty nieoberwane z kontekstu i oddające rzeczywistą myśl autora. Jednakże przełomowa była tu wykładnia przedstawiona nie przez językoznawcę czy specjalistę od prawa prasowego, lecz przez dziennikarza – Piotra Lisiewicza w audycji Michała Rachonia. Wskazał on na charakter publikacji (felieton) i wynikające z niego konsekwencje oraz ramy analityczne. W żaden jednak sposób nie ignorował zawartych tam treści. Tutaj dodam na marginesie, że drugi raz spotkałem się z faktem, że to dziennikarz, a nie badacz czy ekspert, odsłonił istotny aspekt jakiejś sprawy. Kilka lat temu dziennikarka (notabene moja magistrantka) odkryła ciekawą zależność. A mianowicie: im więcej w danym gimnazjum było nauczycieli z najwyższym stopniem awansu zawodowego, tym gorsze wyniki osiągał uczniowie. Dziennikarze przed nauką?

► **Mury Akademii**

Osobnym problemem wydobyłym na powierzchnię przy okazji „sprawy Nalaskowskiego”, który jednak słabo się przebił do społecznego dyskursu, jest cały zestaw pytań dotyczących Akademii. W powietrzu bowiem zawisły pytania o kondycję polskich uczelni publicznych, o ich rzeczywistość, a nie zakładaną funkcję w życiu publicznym, o prawa (i ich ograniczanie) profesora, o ideologiczny status środowiska naukowego. O prawo głosu profesora w aktualnej debacie politycznej czy społecznej.

Sprawa ta „zarzewiła” już nieco wcześniej, po wyborach do Parlamentu Europejskiego, kiedy zauważano, że tzw. opozycja (nie tylko ta parlamentarna), której szeregi są wręcz przeludnione reprezentantami środowiska naukowego i elit intelektualnych, nie była w stanie sformułować zwycięskiego programu. Głośno po raz pierwszy, dawno temu, mówił o tym Lech Wałęsa m.in. w Toruniu. Powiedział, że gdy został prezydentem, to liczył, że teraz profesorowie zasypią go trzymanymi w szufladach pomysłami na nową Polskę, ale się rozczarował, gdyż ich szuflady

okazały się zupełnie puste. Powstaje więc pytanie, nie tylko o to, kogo kształcimy, lecz także kto kształci?

W dniu, w którym JM Rektor UMK mnie odwiedził, rozpoczął się X Jubileuszowy Zjazd Pedagogiczny. Ze względu na sankcję nie miałem prawa w nim uczestniczyć. W swoim przemówieniu inauguracyjnym prof. Bogusław Śliwowski wyraził negatywną opinię o nałożonej na mnie karze i zadowolenie, że została ona cofnięta. W tym momencie kilkoro moich kolegów z Wydziału, obecnych na widowni, wyraziło swoje niezadowolenie, a niektórzy wyszli z sali obrad, głośno i znamienne trzaskając drzwiami. Pisząc ten tekst, nie umiem powiedzieć, czego mam się spodziewać z ich strony, wracając do pracy. Na tym przykładzie widać, że autonomia uniwersytetu, stanowiąca wartość samą w sobie, bywa interpretowana niekiedy jako prawo do postawy „płaćcie nam, ale się do nas nie wtrącajcie”.

Innym zagadnieniem z tego zestawu jest prawo profesora do głoszenia poglądów. Paradoksalnie twierdzą, że gdybym krytykę LGBT podjął w trakcie zajęć ze studentami, to byłoby to bez większych problemów uznane za dyskurs akademicki. Tak wskazuje moje 40-letnie doświadczenie. Próba wyjścia z taką krytyką poza mury uczelni spotyka się z pewnym ostracyzmem środowiskowym i przypomina marcowe hasło „literaci do pióra, studenci do nuki”. Profesor ma się ograniczyć do działania w obrębie murów uczelni. Oczywiście dotyczy to tych naukowców, których poglądy nie są zgodne z poglądami tzw. środowiska. Pozostali mogą w ramach audycji telewizyjnych czy artykułów prasowych dowolnie (w formie i treści) krytykować władzę, a także „odszczepieńców”, korzystając tym samym w pełni z prawa do konstytucyjnej wolności słowa. Tutaj wypada zadać pytanie, co w przypadku profesora humanistyki/nauk społecznych ma być „wdrożeniem”? Niezorientowanym wyjaśniam, że wdrożenia to wręcz fetysz tzw. reformy 2.0. Najprościej rzecz ujmując, to aplikacja nauki do praktyki, do życia codziennego. Na przykład – chemik wynajduje substancję pozwalającą stworzyć nowy lek, fizyk jądrowy wymyśla nowy typ broni masowego rażenia, a co może profesor nauk społecznych? Czy ma pozostać zamknięty w obrębie swoich publikacji, pisanych specjalistycznym językiem i czytanych przez bardzo wąskie grono odbiorców?

W tym miejscu warto zauważyć, że polskie uczelnie wyższe po 1989 roku nie zmieniły się niemal na jotę. Jeśli tylko nie uznamy, że przemianowanie katedry ekonomii politycznej socjalizmu na komórki zajmujące się wolnym rynkiem (z utrzymaniem tej samej kadry) czy katedr historii ZSRS na katedry rozpoznawcze czy katedry badań nad Holocaustem, to

takie pożądane zmiany, to dostrzeżemy, że mamy wciąż do czynienia z miejscami bardzo koślawym tworem o nazwie „uniwersytet”. Osoby niegdyś prominentne w PZPR są nadal wykładowcami, a uczeni o niegdyśniejszym statusie „tajnego współpracownika Służby Bezpieczeństwa” nadal kształcą młodzież i jedyną sankcją jest dla nich niezajmowanie wyższych stanowisk (dziekan, prodziekan, rektor, prorektorzy) na uczelni. Bez trudu otrzymują tytuły profesorskie, promują doktorów i odbierają od przełożonych prestiżowe nagrody uczelniane.

Ogólnopolskie zażenowanie wywołane umieszczeniem sztandarowych polskich uczelni w czwartej bądź piątej setce uczelni na świecie nie jest wywołane nadmiarem zaangażowania profesury w życie publiczne, lecz jego wymuszonym deficytem. Niezależność w głoszeniu poglądów jest jednym ze wskaźników niezależności i twórczości myślenia w ogóle (swego czasu zajmowałem się tym naukowo¹). A bez tego nie możemy nawet pomarzyć o odkryciach, wynalazkach czy Noblu. „Sprawa Nalaskowskiego” dodatkowo wzmacnia petryfikację tego stanu rzeczy. Mimo pomyślnego rozwiązania jest jednak ostrzeżeniem, że „nie warto się wychylać”. Czy opinia publiczna wstawiłaby się tak masowo za magistrem czy doktorem o mniejszym dorobku i popularności? Wątpię. Obserwuję więc u młodych badaczy, zwłaszcza w obrębie nauk społecznych, syndrom, który nazywałem „kompleksem siwka”. Otóż siwe konie, a zatem najjaśniejsze, mają wyraźną skłonność do tarzania się w piachu. Fachowcy przypisują to ich chęci do niewyróżniania się w stadzie. Zauważam, że wielu adeptów nauki nie tyle uczy się od swoich promotorów, lecz ich po prostu naśladuje, przedkładając formalne awanse akademickie nad podążanie własną drogą badań.

Jak wspominałem, niniejszy tekst to tylko konспект tego, czym warto byłoby się zająć, a czego „sprawa Nalaskowskiego” stała się niechcącym powodem (naprawdę to był tylko felieton!). Czas jednak najwyższy na poważną analizę poruszanych tu kwestii. ■

prof. dr hab. Aleksander Nalaskowski – profesor zw. nauk humanistycznych, pracownik Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Twórca i były dziekan tamtejszego Wydziału Nauk Pedagogicznych. Specjalista w obszarze teorii szkoły, systemów oświatowych, reform oświaty, pedeutologii, pedagogiki ogólnej, wieloletni ekspert Ministerstwa Edukacji Narodowej w zakresie podręczników.

¹ Zob. A. Nalaskowski, „Społeczne uwarunkowania twórczego rozwoju jednostki”, Toruń 1989; „Ścieżki edukacyjne i losy życiowe twórczych trzydziestolatków”, Warszawa 1989.



dr Józef Wiczorek



Profesorowie a wolność słowa

Zawieszenie prof. Aleksandra Nalaskowskiego w prawach nauczyciela akademickiego przez rektora UMK za felieton o tęczowym marszu wywołało dyskusję o wolności słowa na polskich uczelniach. Co prawda pod wpływem protestów i opinii publicznej zawieszenie trwało jedynie jeden tydzień, ale dyskusja o stanie polskich uczelni winna trwać znacznie dłużej i w zakresie znacznie wykraczającym poza barwy tęczy.

Faktem jest, że polskie środowisko akademickie zostało dotknięte czerwoną zarazą i przez dziesiątki lat uformowane/wyselekcjonowane na potrzeby instalatorów i utrwalaczy najłepszego z systemów. Po medialnym zakończeniu komunizmu, środowisko nie zostało do końca wyleczone z tej zarazy, a jak widzimy obecnie, zostało jedynie ubogacone kolorystycznie, dotknięte w niemałym stopniu rozprzestrzeniającą się zarazą tęczową.

Po znamiennych słowach wypowiedzianych przez abp. Marka Jędraszewskiego („Czerwona zaraza już nie chodzi po naszej ziemi, ale pojawiła się nowa, neomarksistowska, chcąc opanować nasze dusze, serca i umysły. Nie czerwona, ale tęczowa”) głos potępiający wydał rektor Uniwersytetu Adama Mickiewicza – prof. Andrzej Lesicki, a głos ten został wzmocniony wkrótce, i to jednomyślnie, przez rektorów akademickich szkół wyższych [KRASP]:

„Prezydium Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich, kierując się zasadami poszanowania praw człowieka, tolerancji i wzajemnego szacunku oraz koniecznością przeciwdziałania wszelkim przejawom dyskryminacji i nierównego traktowania ze względu na narodowość, płeć, religię, przekonania polityczne, niepełnosprawność czy orientację seksualną w poczuciu odpowiedzialności uczelni za kształtowanie wśród studentów i w całym społeczeństwie podstawowych wartości, na których oparte jest funkcjonowanie demokratycznego społeczeństwa, w obliczu nasilających się aktów agresji fizycznej i słownej oraz przejawów wrogości wobec przedstawicieli różnego rodzaju mniejszości, stymulowanych wypowiedziami osób publicznych, w pełni popiera przesłanie zawarte w oświadczeniu rektora Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu – prof. Andrzeja Lesickiego, opublikowanym 12 sierpnia br. na stronie internetowej <https://amu.edu.pl/wiadomosci/aktualnosci/oswiadczenie-rektora>”.

► Rektorzy stanęli po ciemnej stronie mocy

Rektorzy zupełnie nie zauważyli braku tolerancji i braku szacunku dla ludzi o odmiennych wartościach opartych na fundamentach chrześcijańskich, manifestowanego – przez im podległych – etatowych profesorów polskich uczelni, jak na przykład prof. Jana Hartmana czy prof. Joannę Senszyn. Wobec ich poczynañ/ekscesów, jak do tej pory, KRASP nie wydała ani jednego oświadczenia. KRASP zatem ich toleruje/aprobuje, a nawet tworzy wspólnie swoisty Front Jedności Akademickiej, stojący po tej samej, ciemnej stronie mocy. Wyżej wymienieni profesorowie raczej funkcjonują w systemie akademickim jako swoiste piorunochrony, zbierające na siebie gro-

my ze strony mniej postępowych. Wielu naiwnym nawet do głowy nie przychodziło, że ich pracodawcy – rektorzy, grają w tej samej drużynie. Stąd na ich ekscesy nie reagują.

Oświadczenie KRASP chyba te dotychczasowe nieporozumienia dostatecznie wyjaśnia. Inwektywom, znieważaniu uczuć religijnych i symboli narodowych, na marszach LGBT i w wypowiedziach ich akademickich miłośników, nie poświęcają ani jednego zdania w swym oświadczeniu (sic!). Czyli takie znieważanie jest dozwolone?

Rektorzy apelują o tolerancję, przeciwdziałanie dyskryminacji, nierównemu traktowaniu, ale od czasów czerwonej zarazy wykazywali brak tolerancji dla niezależnego myślenia – szczególnie krytycznego, dla nonkonformizmu naukowego, bez którego nauka *sensu stricto* nie może istnieć, dla naukowców/nauczycieli akademickich o innej orientacji intelektualnej – niszcząc/przywalając na niszczenie, tych zorientowanych na poszukiwanie prawdy, czyli realizujących swój (i każdego akademika) podstawowy obowiązek. Spektakle kłamstwa i nienawiści wobec takich, niewygodnych dla przewodniej siły narodu, nigdy nie zostały potępione – czyli było i jest O.K.

Jakoś demokratycznie wybierani rektorzy nie okazali się zdolni do stania na straży prawdy, wolności, godności. Poszukiwanie prawdy pousuwano ze statutu uczelni i z obowiązków akademickich. Wypędzeni z uniwersytetów w czasach czerwonej zarazy, wolności – wykładania/formowania studentów według odmiennych od czerwonych/tęczowych wartości – nie odzyskali, a godność mniej utytułowanych nadal jest deptana.

Nie ma wątpliwości, że brak rozliczenia się z czerwoną zarazą w sektorze akademickim i jej transformacja w zarazę tęczową, jest jeszcze bardziej szkodliwe dla zdrowia akademickiego i społecznego, stanowi poważne zagrożenie nie tylko dla uniwersytetów, lecz także dla losów całej naszej cywilizacji.

Skoro rektorzy stanęli po ciemnej stronie mocy, należałoby ich przeniesić w stan nieszkodliwości, co zresztą postulowałem jeszcze w okresie szerzenia się czerwonej zarazy (czasy jaruzelskie). Ale kto to zrealizuje, skoro niemal cała władza akademicka znajduje się obecnie w rękach rektorów?

Wolność słowa akademickiego wobec LGBT rektorzy postawili pod przegierzem i niedługo trzeba było czekać na konsekwencje. Rektor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika prof. Andrzej Tretyn, zarazem wiceprzewodniczący KRASP, zareagował natychmiast na krytykę tęczowego marszu przez swojego podwładnego. Okazało się, że nawet poza terytorium uczelni wykładowca akademicki nie ma prawa mówić o tęczowej zarazie tego, co uważa za zasadne. Co to ma

wspólnego z deklarowaną przez rektorów tolerancją wobec poglądów, wobec innych wartości? Rektorzy raczej stanęli na linii frontu ideologicznego, włączyli się do wojny kulturowej zagrażającej naszej tożsamości, naszym tradycyjnym wartościom.

O próbie przejścia na jasną stronę mocy chyba do tej pory nawet nie pomyśleli, a niemałą część podległego im środowiska akademickiego taki stan rzeczy zdaje się zadowala.

Znamienne jest, że przed kurią krakowską w obrobie abp. Marka Jędraszewskiego zgromadziły się wielotysięczne tłumy, przed pobliskim Collegium Novum czy Maius UJ, po wystąpieniu KRASP [w tym rektora UJ], nikt się nie zgromadził. Nie można skutecznie bronić linii arcybiskupa, milcząc o jednomyślnym oświadczeniu rektorów tę linię potępiającym.

► Wolność, ale nie na uniwersytetach

Profesor Aleksander Nalaskowski tak skomentował decyzję rektora Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu o uchyleniu zawieszenia go w obowiązkach nauczyciela akademickiego: „Wydaje mi się, że teraz nas wszystkich czeka dyskusja o wolności słowa na uniwersytetach, o tym, czy profesorowie mogą powiedzieć tyle samo, co zwykli przechodnie”.

Takiej dyskusji brakuje. Szczególnie w ujęciu historycznym i w szerokim kontekście patologii akademickich zniewalających polskie środowisko akademickie. Dobrze aby taka dyskusja została podjęta w popularnych mediach, które jak widać po sprawie prof. Nalaskowskiego, mogą wiele, ale niestety nie zawsze chcą, stąd o wielu sprawach/patologiach niewiele wiadomo albo zgola nie.

Mówimy, że żyjemy od 30 lat w wolnej Polsce, ale czy wolność badań, wypowiedzi nie ma swoich pozamerytorycznych ograniczeń, jak to miało miejsce w okresie PRL? Przecież mimo odzyskania wolności nie wszyscy nauczyciele akademicki odzyskali wolność wykładania na uniwersytetach, i jak stanowili zagrożenie dla przewodniej siły narodu, tak nadal stanowią. Mogą sobie wyklądać do ściany, w swoim mieszkaniu, o ile go mają, ale nie mieszczą się w murach uczelni, choć coraz obszerniejszych i piękniejszych, które są dla nich zamknięte. Czy to jest wolność?

Skoro byli pasjonatami, uczyli nonkonformizmu naukowego, krytycznego myślenia, nie nadają się do pracy na uczelniach zatrudniających masy konformistyczne, często bezkrytyczne, a nawet bezmyślne. Zdolność myślenia czy rozumienia słowa pisanego wcale nie jest powszechnym dobrem osobistym akademików, a namawianie ich do czytania ze zrozumieniem uważają za naruszanie ich dóbr osobistych (sic!), którym, jak można sądzić, jest niezdolność ro-

zumienia słowa pisanego, nawet gdy pełnią funkcje akademickie. Co to za wolność, skoro nawiązanie kontaktu intelektualnego z decydem akademickim jest utrudnione lub wręcz niemożliwe? Co to za wolność, skoro na uczelniach ludzie boją się mówić, a nawet myśleć, zanika dyskusja, krytyka merytoryczna, zastępowane przez zaszczuwanie niewygodnych i krytycznych.

Jak ocenia socjolog prof. Zybertowicz, wypowiadając się o sprawie prof. Nalaskowskiego – świat akademicki utracił zdolność rzeczowej rozmowy, a reakcją typową dla świata akademickiego jest chowanie głowy w piasek.

Poznanie najnowszej, prawdziwej historii uniwersytetów na ogół nie jest możliwe. Na takie badania nie ma przyzwolenia, nie ma pieniędzy. Mamy dzieła historyczne będące w obiegu edukacyjnym, gdzie w najnowszej historii uczelni nie ma takich pojęć jak komunizm, stan wojenny, nie ma mowy o PZPR. Zatem poznanie prawdy o korzeniach obecnego świata akademickiego nie jest możliwe. Niestety, historycy chowają głowę w piasek, utrzymując się dzięki temu na etatach.

Akademicy nie mogą pisać krytycznie o tęczyowych marszach, źle się wyrażać o LGBT, ale także bezkarnie nie mogą ujawniać patologii, szczególnie wysoce utytułowanych, a tym bardziej merytorycznie krytykować prac profesorów. Z polskiego systemu akademickiego nie usuwa się tych, którzy zrobili kariery dzięki plagiatom, lecz tych, którzy je wykrywają. Tak samo wygląda sprawa ustawianych konkursów na stanowiska akademickie, nepotyzmu i „n-tej” ilości patologii degradujących polski potencjał akademicki. Ale w przestrzeni publicznej najczęściej słychać, że jedyną bolączką polskich uniwersytetów jest brak pieniędzy. Rzecz jasna skala ich marnotrawstwa nie jest znana. O tym się nie mówi. Nie ma wolności słowa?

► Profesorom jednak wolno więcej...

Profesor Nalaskowski postawił pytanie, „czy profesorowie mogą powiedzieć tyle samo, co zwykli przechodnie”, co może sugerować, że u nas profesorowie w jakiś szczególny sposób są dyskryminowani, niegodziwie traktowani, jak mówią i robią to, co inni bez takich konsekwencji mogą. Czasem niegodziwie postępowania wobec profesorów są faktem, co zresztą „tęczyowy” przypadek prof. Nalaskowskiego dokumentuje, ale jednak u nas profesorowie są otaczani na ogół prestiżem, i to nierzadko niezaskuszoną, a nieraz traktowani są jak „święte krowy”, co może bulwersować „zwykłych przechodniów”, choć media zbyt rzadko takie aspekty profesorskiego traktowania naświetlają w należytych kontekście.

Nasz system tytułarny zaadaptowany przez komunistów do dyscyplinowania elitotwórczego środowiska akademickiego, do marginalizowania/wykluczania niepokornych, nieprzydatnych, do wprowadzania i utrwalania „najlepszego z systemów”, nadal trwa i jest jedną z najważniejszych przyczyn niewydolności polskiego systemu akademickiego.

Jesteśmy potęgą tytułarną, ale mizérią naukową i mogą to powiedzieć nawet zwykli przechodnie, o ile nieco się w tym orientują, ale profesorowie choćby mogli, o ile są na etatach i robią karierę, tego nie mówią. Czasem dopiero po przejściu na emeryturę wyciągają głowy z piasku (z podręcznych „strusiówek” towarzyszącym im w życiu etatowym) i uchylają rąbka tajemnic akademickich.

Mimo zmian, wielu reform, system tytułarny jak trwał, tak trwa, a zdobywanie tytułów u nas stało się celem działalności, która nieraz nie ma wiele wspólnego z nauką. Im więcej tytułów, tym pozycja nauki uprawianej w Polsce niższa, czyli utrzymanie systemu tytułarnego, jako rzekomego gwaranta poziomu nauki, skutkuje utrzymaniem spadku tego poziomu.

Mimo to prestiż profesorów w społeczeństwie raczej nie spada, lub jedynie nieznacznie, bo wyniki badań prestiżu zawodów sprzed kilku lat wskazują, że zawód (sic!) profesora stał się mniej prestiżowy niż zawód strażaka, co świadczy, że zwykli przechodnie zaczynają się orientować, że coś z profesorami jest nie tak.

Zresztą umieszczanie kategorii profesora (tytuł!, a nie zawód) wśród zawodów, dowodzić może jedynie nierozumienia znaczenia pospolitych nawet słów, co niestety jest nader częste wśród naszego, coraz bardziej wyedukowanego i coraz bardziej utytułowanego społeczeństwa.

Trzeba pamiętać, że zawodu profesora się nie uprawia, natomiast profesor może swoją działalnością, poziomem intelektualnym i moralnym sprawać zawód, nawet zwykłym przechodniom.

Negatywna selekcja kadr wprowadzona w życie w systemie komunistycznym została zauważona przez zwykłych przechodniów/robotników w 1980 roku, co skutkowało 13. postulatami porozumień gdańskich („Wprowadzić zasady doboru kadry kierowniczej na zasadach kwalifikacji, a nie przynależności partyjnej...”). Niestety, ten stan rzeczy trwa nadal i jakby z wprowadzenia w życie tego nader słusznego postulatu zrezygnowano. Gdyby go wprowadzono, nader wielu profesorów po prostu z systemu akademickiego musiałoby odejść.

► ...a nawet czasem za dużo

Niestety, to profesorowie w naszym osobliwym systemie akademickim stworzyli coś w rodzaju nadzwyczajnej kasty akademickiej, zresztą wzajemnie przenika-

jące się z nadzwyczajną kastą sędziowską, stąd mimo rozmaitych patologii, także na szczeblu profesorskim/rektorskim, jakoś działań wymiaru sprawiedliwości wobec niegodziwych poczynają profesorów jest niewiele.

W naszym systemie tytułarnym nie ma mocy, aby odebrać profesorowi tytuł, nawet jak został zdobyty na drodze przestępczej – na bazie plagiatu. Profesorowie sami się oceniają, awansują, wybierają i innym nic do tego. W razie czego argumentują, że w nauce nie może być demokracji, rządzi arystokracja, a o przynależności do niej decyduje tytuł, który jest przedmiotem pożądania, niekiedy mrocznego, członków środowiska akademickiego.

Na drodze do jego uzyskania dzieją się nierzadko rzeczy karygodne, ale nie karalne, bo przecież jest autonomia uczelni.

Jak profesor pisze brednie, finansowane z kieszeni zwykłego przechodnia (na przykład, gdy pisze o historii na odcinku PRL i nie ma w niej słowa „komunizm” ani nawet „stan wojenny”), zwykły przechodzień może się z takich profesorów śmiać w kułak, może pokazać „gest Kozakiewicza” i nie zostanie zawieszony za to w wykonywaniu swoich obowiązków na przykład brukarza, gdy dla przykładu zwykły doktor za merytoryczną krytykę osiągnąć czy poczynają profesorów po prostu znika z przestrzeni akademickiej, i to czasem dożywotnio.

Nie ma co liczyć na przenoszenie w stan nieszkodliwości takich profesorów, mimo że takie sankcje postulowałem przed laty. Nie ma co liczyć na protesty środowiska uległego wobec profesorów, baczącego na przebieg swoich karier uzależnionych od profesorów, w naszym systemie zamkniętym.

Niewątpliwie jednak, jeśli podczas wojny kulturowej, z którą mamy do czynienia, jakiś profesor znajdzie się po niewłaściwej dla środowiska akademickiego linii frontu, to może być potępiony/wykluczony, ale i tak może liczyć, że będą protesty, głosy oburzenia i kara zostanie mu zmniejszona/zawieszona. Mniej utytułowani na to liczyć nie mogą. Profesorom jednak wolno więcej. ■

dr Józef Wieczorek – publicysta i dokumentalista, geolog niezależny; założyciel i główny redaktor portalu Niezależne Forum Akademickie www.nfa.pl. Założyciel i prezes fundacji NIEZALEŻNE FORUM AKADEMICKIE. Współorganizator Krakowskiego Oddziału Krajowego Stowarzyszenia Antymobbingowego, w którym prowadził sekcję „Mobbing w środowisku akademickim”. Był współorganizatorem NSZZ „SOLIDARNOSĆ” w Instytucie Nauk Geologicznych UJ w 1980 r. Po wprowadzeniu stanu wojennego podjął próbę zorganizowania strajku w ING UJ. Organizował kolportaż prasy podziemnej i „doksztalt” studentów geologii UJ. Inwigilowany i przesłuchiwany przez SB.



prof. Bogusław Dopart



Z kraju milczenia...

Miejmy odwagę to powiedzieć: właśnie w ostatnich latach, gdy w opinii „ludzi kulturalnych” brylowała „sztuka krytyczna”, a granty humanistyczne rozdrapywali przedstawiciele gender studies – polscy inteligeni (we właściwym znaczeniu tego słowa) odczuli wielki zmierzch. Naszego kanonu. Naszej tożsamości. Co by było, gdyby nie odezwały się głosy po zmierzchu...

O d razu kwituję pożyczkę. Tytuł tego szkicu pochodzi z twórczości Wojciecha Żukrowskiego, tej najwcześniejszej, gdy autor „Lotnej” (tak, ta nowela pod nagłówkiem bardziej dziś znanym niż cała książka należy właśnie do tomu „Z kraju milczenia”) – gdy pisał on „sarmacko i szkaplerznie”, gdy ramię w ramię z młodym Karolem Wojtyłą rozbijał kamienie na Solvayu, studiował filologię polską na tajnym uniwersytecie i budował literackie, żołnierskie i cywilne świadectwo lat wojennych i okupacyjnych. Debiut książkowy z roku 1946. Początek drogi pisarza, przy tym dziwnego (w ostatecznym rozrachunku) człowieka o powikłanej biografii. Wśród książek o czasach wojny, zbrodni, zarazy, fanatyzmu, nihilizmu dzieło niepoślednie, niepospolite.

► Czekanie na barbarzyńców

Będę tutaj pisał o tym, co dziś, jutro i zaledwie wczoraj. Nie zamierzam szukać łatwych i demagogicznych analogii. Jeśli sięgam po mocną metaforę – choć nie tak mocną, jak „Dżuma” czy „Dziennik roku zarazy” – to czynię tak w przekonaniu, że niewiele już brakuje, abyśmy weszli na drogę, która prowadzi w kierunku nowej hańby domowej.

Byłoby taką hańbą dokonanie barbarzyńskich spustoszeń w naszej kulturze, przez długie wieki rosnącej ku Śródziemnomorzu i Zachodowi, przerwanie między pokoleniowego przekazu wartości, wytrzebieenie resztek etyki inteligencji, zniszczenie i upodlenie ludzi o wyższych standardach duchowych. Ale ubytek, ruina to jeszcze nie apokaliptyczne nieszczęście, jeśli da się odbudować zgłiszczą, rekultywować ziemię jałową. Rzecz w tym, że to, co ma nadejść i zapanować, żadnej rekonstrukcji czy rewolucji nie dopuszcza.

Moment! A może nam właśnie potrzeba wielkiego zerwania, siedmiomilowego odskoku, żeby zmierzyć się z wielką przyszłością – może właśnie potrzebujemy głębokiej modernizacji, która nas wzmocni, oraz wszelkich drastycznych środków, aby była ona skuteczna? Rzecz w tym, że proces mentalny i obyczajowy, który przetacza się przez górne warstwy społeczeństwa, przenika rozrywkę i już zdobywa przestrzeń publicznego słowa i gestu – że proces ten ma totalistyczną energię, a jego stan docelowy można już z łatwością przewidzieć. Tworzy on świat bez barw, woni i smaków, bez miłości i żaloby, bez prawdy i fałszu, bez sacrum, pamięci, transcendencji i przyszłości. Bez praw rzeczywistości, bo i te unieważnia groteskowa samowola jednostki.

► Głosy po zmierzchu

Świat, jaki ma nadejść, jest przeto zaprojektowanym skutkiem ewidentnej rewolucji nihilizmu. Jak mi się

wyduje – dość późno rozwinęła się u nas świadomość, że mamy do czynienia z rewolucyjną koncepcją całkowitej redukcji życia i że rewolucja ma dynamikę współczesnej globalizacji, a nowy krążownik Aurora nie od dziś ostrzeliwuje nasze strategiczne pozycje. Robiliśmy swoje – i z pobłażaniem przyjmowaliśmy rozmaite importowane z Zachodu „modne bzdury”. Przeżywane przez miernych naukowców, mozolnie stylizowane przez artystów karierowiczów, wydawały nam się mierzwą, której przecież w nauce i w sztuce nigdy nie brakowało. Sądziliśmy, że mamy do czynienia z jakimś nurtem antycywilizacji, jakimś kryzysem w łonie Zachodu, z którym on upora się we właściwej chwili, wciąż rozładowując napięcia swego „dynamicznego wzrostu”, swej „twórczej ekspansji”, wciąż testując warunki brzegowe społecznej homeostazy, wciąż wpisując ideowe ekstremizmy i obyczajowe rebelie w scenariusz (jakbyśmy dziś powiedzieli) zrównoważonego rozwoju. Oni wiedzą, co robią, oni nie mogą się mylić.

Nic bardziej fałszywego. Nasz mit Zachodu, nasza peryferyjna mikromania sprawiły, że dziś musimy spowiadać się ze swej niefrasobliwej ufności i wściekle, tak, wściekle żałować straconego czasu.

Z czasem udało nam się jednak dostrzec powagę sytuacji. To, co działo się na przykład w rozlicznych muzeach sztuki współczesnej, na „polonistykach” i „wydziałach humanistycznych” uczelni uniwersyteckich (tych katolickich nie wyłączając), uświadomiło ludziom z zanikającej inteligencji elity, że doszło do groźnych przemian w strukturze odnośnych instytucji, w socjologii środowisk zwanych nawkowo „twórczymi”, w mentalności establishmentu III Rzeczypospolitej. Dwie kadencje rządów Platformy Obywatelskiej, które kołtuńska bezideowość i kolonialna służalczość (chwilami targowicką wyprzedza suwerenność) podniosły do rangi ideologii politycznej, upłynęły pod znakiem konformistycznej wobec rewolucji nihilizmu taktyki: TAK, a nawet przeciw. Rządy Dobrej Zmiany nie dotarły, niestety, w swej reformatorskiej determinacji do punktu, w którym obrona kultury narodowej byłaby polską racją stanu i podstawą polityki tak naukowej, jak kulturalnej.

Miejmy odwagę to powiedzieć: właśnie w ostatnich latach, gdy w opinii „ludzi kulturalnych” brylowała „sztuka krytyczna”, a granty humanistyczne rozdrapali przedstawiciele gender studies – polscy inteligenci (we właściwym znaczeniu tego słowa) odczuli wielki zmierzch. Naszego kanonu. Naszej tożsamości. Co by było, gdyby nie odezwały się głosy po zmierzchu...

► Lawina i kamienie

„Lawina bieg od tego zmienia, / Po jakich toczy się kamieniach”. Nie sprawdzam cytatu z „Traktatu moral-

nego” Miłosza, skrzydlate słowo samo się obroni... Kazanie księdza arcybiskupa Marka Jędraszewskiego w bazylice Mariackiej stworzyło niezwyklej koincydencję: prowadziło uwagę i emocje słuchacza do aktualnego wyzwania tęczywej rewolucji ku szczytnej rocznicy Bitwy Warszawskiej roku 1920 i ku rozpacz mieszkańców Warszawy, patrzących ku prawemu brzegowi Wisły, gdy dogasało powstanie roku 1944. I potem felieton prof. Aleksandra Nalaskowskiego, tekst – jak sam o nim mówi – trochę żartobliwy, trochę złośliwy. Owszem, pełen też obywatelskiej pasji (z pasją mówi on o uprzywilejowaniu tęczywych rewolucjonistów w naszym demokratycznym państwie prawa w stosunku do ludzi o tradycyjnym i religijnym systemie wartości) – ale nie profetycznej wzniosłości. To, co specjalnie łączy te dwie wypowiedzi – to głębokie wychylenie w kierunku troski polskich obywateli i katolików o duchowy ład w Polsce dnia dzisiejszego i w jutrzejszej Polsce. W kierunku tej determinacji, jaką wyraził Dariusz Walusiak, gdy wielokrotnie akcentował „Non possumus” w tekście proklamacji, przygotowanej na modlitewne czuwanie w jedności z krakowskim Arcybiskupem Metropolita.

Przemówiły żywe kamienie. Listy otwarte solidarności z abp. Jędraszewskim (także profesorem nauk humanistycznych) zgromadziły z górą 40 tysięcy sygnatariuszy. Akcję Centrum Życia i Rodziny w obronie uczonego z Torunia poparto 32 tysiącami podpisów.

Nie byłbym komentatorem rzetelnym, gdybym przeceniał udział środowiska akademickiego w tych kampaniach solidarnościowych. Mówiąc wprost, czynni pracownicy nauki (nie ci byli, nie ci emerytowani) nie szafowali tutaj zbyt swymi nazwiskami. Chcę się nad tym faktem pochylić, rezygnując z moralizowania. I podkreślam: oceny moralne mają w tej sytuacji całkowicie drugorzędne ZNACZENIE POZNAWCZE. Ważne są powody, dla których pracownicy naukowo-dydaktyczni uczelni publicznych (publicznych, nie prywatnych!) uznają za postawę racjonalną, a w danych okolicznościach wręcz właściwą, uchylenie się od zajęcia stanowiska, gdy przestają swobodnie dysponować swym warsztatem i etosem naukowym. Gdy przekreślone zostają naczelnne aksjologiczne regulatory badań naukowych (autonomia badacza w dociekanii prawdy o rzeczywistości i wolność głoszenia rezultatów procesu poznawczego), „demokratyczne standardy wolności prasy, a także – *last but not least* – polska tradycja inteligencka, która nakazuje liderom opinii reprezentować ważne dla państwa i narodu wspólnoty aksjologiczne i w ich imieniu zabierać głos [...]” (z listu otwartego Akademickich Klubów Obywatelskich im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego do prof. Aleksandra Nalaskowskiego).

► Reakcyjna profesura?

Znam taką opinię, że za całe zło akademickie odpowiada konformistyczna profesura, która w swym interesie kastowym tworzy system prawno-organizacyjny oraz mechanizmy zagarniania wszelkich gratyfikacji z pominięciem meritum swego powołania, bez autentycznej dbałości o rozwój wiedzy i solidarności z młodszymi pracownikami nauki. Powiada się również, że konformistyczna ugoda stoi na uczelniach ponad podziałem postkomunistycznym, jako że niezawodnie funkcjonuje zasada: my nie ruszamy waszych, wy nie ruszacie naszych. Według tego rozumowania – odium spada szczególnie na profesorów, którzy znaleźli się na wysokich szczeblach władzy parlamentarnej czy ministerialnej.

Zarzut wobec profesury należącej do obozu władzy uchylić raczej nie trudno. Podczas kształtowania się nowej ustawy o szkolnictwie wyższym i nauce mocno różnicowały się poglądy samych parlamentarzystów Zjednoczonej Prawicy, jak również członków grup eksperckich czy Akademickich Klubów Obywatelskich. Spierano się na przykład o regulację, które będą kształtować sytuację mniejszych, dalekich od centrum uczelni publicznych – szkół jakże ważnych dla społeczności lokalnych. Sprzeciwiano się zawężeniu akademickiej kolegialności. Podważano ustawowe propozycje odnośnie do kryteriów oceny jakości dorobku naukowego – oceny bardziej dolegliwej na niższych poziomach naukowej kariery. Apelowano o różnicowanie wewnętrznych reguł funkcjonowania różnych dziedzin nauki – tak aby ocalić pluralizm i tym samym prężność badań. Gdzież tu interes kastowy? Niedawno sam pan minister Gowin stwierdził publicznie, że 8 tysięcy złotych na rękę to w warunkach wielkomiejskich płaca niewygórowana. Nie zauważyłem, żeby w toku publicznej debaty nad ustawą podnoszono kwestię profesorskich zarobków. Proszę zajrzeć do tzw. konstytucji dla nauki i sprawdzić, jaki poziom etatowych dochodów ustawodawca zapewnił profesorom.

► Kto tu rządzi?

W krainę milczenia zamieniał się świat akademicki przez wiele lat. Dlaczego tak się działo, wyjaśniają wnioski z obserwacji, które można było poczynić przede wszystkim od wewnątrz. Przy uniwersytecie majstrowano na dobrą sprawę od początków III RP, ale przyspieszenie nadeszło za kadencji ministra Barbary Kudryckiej w resorcie nauki i szkolnictwa wyższego (2007–2013). Misja ministra Michała Seweryńskiego (resort edukacji i nauki, następnie MNiSW) została przerwana wskutek upadku rządu

Jarosława Kaczyńskiego w 2007 roku, co uniemożliwiło przeprowadzenie przez parlament regulacji o wartościowych założeniach reformatorskich. Platforma Obywatelska dokument wyrzuciła do kosza, sama zaś nie chciała konfrontować się z dziełem ustawodawczym. Dla jej zamiarów skuteczniejsza była metoda małych kroków, działań tak czy inaczej głęboko zmieniających praktykę akademicką.

Nie ma tu miejsca na katalog tych działań w porządku chronologicznym. Spisywanie kronik należałoby notabene zacząć co najmniej od deklaracji bolońskiej (1999), podpisanej przez 29 krajów Europy, także przez państwa będące wówczas poza Wspólnotą Europejską, oraz Federację Rosyjską. Dwudziestoletni już proces boloński przyniósł trwały podział studiów na trzy poziomy (licencjacji, magisterski i czteroletni [!] doktorancki), punktowe zliczanie osiągnięć studenta (ECTS), cenne ramy dla międzynarodowej wymiany studenckiej i naukowej (Erasmus), a wreszcie skomplikowany, zburokratyzowany system metod i kryteriów oceny instytucji i programów z punktu widzenia jakości kształcenia (akredytacje, certyfikacje etc.). Tak zwany Europejski Obszar Szkolnictwa Wyższego, wykreowany poprzez proces boloński uczynił z czasem władze unijne potężnym graczem na tej przestrzeni. W organie wykonawczym Unii Europejskiej jest też komisarz do spraw badań, nauki i innowacji; uchwalona niedawno polska Ustawa 2.0 przeszła chwalebnie ocenę w tej instancji.

Głównym kierunkiem działań Platformy Obywatelskiej na terenie nauki było budowanie establishmentu akademickiego, którego skład wylaniał się niekonięcznie z hierarchii merytorycznej czy instytucjonalnej. Nieocenionym narzędziem była tu „autonomia akademicka”, zinterpretowana w świetle pewnej praktyki sprawowania władzy. Oddajemy wam, establishmentowi, jakiś kawałek państwa czy życia zbiorowego na zasadzie niepisanego kontraktu: róbta co chceta, bylebyśmy z tego mieli wierny elektorat i manifestacyjne poparcie w przestrzeni publicznej. W ciałach kolegialnych, we władzach jednostek naukowych, w gremiach przedstawicielskich i decyzyjnych, tych decydujących o karierach, awansach, grantach badawczych i materialnych gratyfikacjach moc spływała na tych, którzy opowiedzieli się za globalizacją, za uczelnią – przedsiębiorstwem generującym zyski, za teoriami neomarksizmu (teoria krytyczna, gender studies, brytyjska szkoła kulturoznawcza), za postnarodową, federalistyczną Europą. Działali w najlepsze „mandaryni” nauki (jak się to kiedyś mówiło), skupiający w swych rękach wszystkie wątki i wszystkie etapy kariery pracownika naukowo-dydaktycznego.

► Jak makiem zasiał

A dodajmy jeszcze do tego ważne aspekty funkcjonowania uczzonego na uczelni. W podstawowych zespołach (niegdyś wspólnotach) badań i dydaktyki, zespołach takich jak katedra. Autorytet wiedzy i dorobku profesorskiego, również etos i dobre obyczaje akademickie (inteligencjke), pozwalały tam na budowanie i realizację optymalnych programów badawczych, na właściwy rozwój młodych talentów i awans tych najlepszych do kadry uniwersyteckiej. Dziś nawet statut uczelni nie jest w stanie ustrzec ładu merytorycznego w tych podstawowych zespołach.

Wspomnijmy też o degradacji procesu nauczania – bliżej i bliżej padło dydaktyki szkółki niedzielnej, przy jakiejś „technologizacji” metody dydaktycznej oraz nieustannej kontrolnej stymulacji pracy ze studentami. Ci przychodzą na uczelnię z ogromnymi deficytami wiedzy, ale też brakiem zdolności do operacjonalizacji i utrwalania zdobytych informacji. Praca na poziomie uniwersyteckiego Humboldtowskiego, dydaktyka jako spotkanie nauczyciela i adepta poprzez kreatywne odkrywanie świata i wzajemną inspirację twórczych indywidualności (tej zasady nie zastąpiono dotąd niczym, co zasługuje na miano metody uniwersyteckiej), to już baśń o żelaznym wilku. Tymczasem student sformatowany przez Pimkę naszych czasów ma prawo, więcej, jest zachęcany do wystawiania profesorowi oceny... m.in. z wiedzy i kompetencji naukowych. O karierze naukowej decydują, o ile mi wiadomo, nawet tzw. ankiety studenckie statystycznie nieistotne; ankiety, których wyniki w małych społecznościach akademickich można z łatwością inspirować i, w razie rewolucyjnej potrzeby, wykorzystać przeciw uczonemu trzymającemu wysokie standardy.

To tylko kilka kwiatów z naszego wonnego ogrodu. Z braku miejsca pomijam złą atmosferę, jaką wnosi na uniwersytety tzw. humanistyka podejrzeń, czyli rewolucyjne i anarchiczne, powtórzę, konsekwencje dziedzictwa Marksa, Freuda, Nietzschego. Pierwsze grupy aktywistów pojawiły się na polskich uniwersytetach w 2013 roku (jeśli nie wcześniej), by zakłócać wykłady i nękać profesorów. Czas biegnie ku nocy i może nie zawrócić. ■

prof. dr hab. Bogusław Dopart – kierownik Katedry Historii Literatury Oświecenia i Romantyzmu na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zajmuje się historią literatury, estetyką i metodologią badań nad romantyzmem, a także antropologią społeczną literatury i historią kultury XIX wieku.



Ryszard Czarnecki

Import zamordyzmu intelektualnego

Wersja nadwiślańska

Opinia publiczna powinna zapamiętać nazwiska tych, którzy podjęli decyzję „w sprawie Nalaskowskiego”. Decyzję sprzeczną z polską tradycją wolnościową...

Pamiętam czas, kiedy Uniwersytet Wrocławski im. Bolesława Bieruta (sic!) był prawdziwą... oazą wolności. I to w okresie stanu wojennego i trudnych lat po nim. Na tej polskiej uczelni i wielu innych w kraju – choć na pewno nie wszystkich – oddychaliśmy świeżym powietrzem, mieliśmy pracowników naukowych, którzy uczyli nas prawdy o polskich dziejach i niczym nieskrępowanej dyskusji. Nie idealizuję tego czasu. Tak było. Właśnie dlatego władze komunistyczne w 1985 roku przeprowadziły czystkę na polskich uczelniach, wyrzucając ze stanowisk około stu rektorów, dziekanów, dyrektorów instytutów i innych „funkcyjnych”. Oczywiście nie chcę mówić, że wszyscy nauczyciele akademicy byli OK – bo nie byli. Ale jest bolesnym paradoksem, że uczelnie w dużych miastach, które kiedyś były wyspami wolności na „Morzu Czerwonym”, dzisiaj tę wolność tłumią. Nie chodzi tylko o skandaliczne zawieszenie na trzy miesiące profesora Aleksandra Nalaskowskiego na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika (na szczęście decyzję wycofano; ale i tak patron UMK pewnie się w grobie przewraca), lecz o odwoływanie wykładów różnych publicystów, dziennikarzy, historyków, polityków na wielu uniwersytetach. Co ma to wspólnego z wolnościami akademickimi? Nic. A co ma z gósetem „politycznej poprawności”? Bardzo wiele. Na naszych oczach dokonuje się import z USA i Europy Zachodniej pewnego zamordyzmu intelektualnego.

Żeby było jasne, nie dotyczy to wyłącznie, może nawet nie głównie środowisk akademickich. Dotyczy to również kultury. Casus Redbada Klynstry, ale także szeregu innych przed nim, choćby tych występujących w filmie „Smoleńsk” czy nawet dających świadectwo prawdzie na warszawskiej ulicy tuż po 10 kwietnia 2010 roku. Dotyczy to także wymiaru sprawiedliwości, konkretnie środowiska sędziowskiego, gdy próby wymuszania właściwej „postawy ideowo-politycznej” – proszę wybaczyć mi to określenie zrycymem zapożyczone z czasów komunizmu, ale pasuje tu ono jak ulał – biorą górę nad relacjami przyjacielsko-koleżeńskimi czy wręcz interesem instytucji.

Jako historyk powiem, że mieliśmy w II RP czas, kiedy spora część kadry profesorskiej – i to w różnych częściach Polski – była więcej niż sceptyczna wobec rządów sanacji. Ci naukowcy – profesorowie i asystenci – związani byli z Obozem Narodowym. Jednak owa opozycyjność nie przekładała się na tak skandaliczne decyzje, jak represjonowanie „prorządowego” pracownika naukowego o olbrzymim dorobku i wielkim doświadczeniu.

Niemiała część młodej polskiej inteligencji uczyła się z książek profesora Nalaskowskiego. Co dziś pomyśla o rektorze UMK czy kolegium rektorskim, bo przecież ta haniebna decyzja nie była udziałem tylko jednego człowieka? I jeszcze za co go zawieszono? Na polskich uczelniach, o zgrozo, pracuje wciąż szereg osób „umaczanych” w komunie – ludzi, którzy na przykład byli TW SB. Im nie spadł włos z głowy, przeciwnie, nieraz to właśnie ci ludzie na radach instytutów, radach wydziałów czy nawet senacie są w awangardzie zwalczania demokratycznie wybranego rządu.

Łatwiej jest w III RP, będąc pracownikiem naukowym, dokonać pospolitego przestępstwa i nie ponieść z tego tytułu żadnych konsekwencji na własnej uczelni, niż będąc samodzielnym, krytycznie myślącym nauczycielem akademickiemu głosić swe poglądy. Charakterystyczne, że profesor Nalaskowski „nie użył” katedry do głoszenia krytyki LGBT, nie czynił tego w czasie swoich wykładów, lecz napisał tekst do prawicowego tygodnika. Już ktoś mi powiedział, że przypomina mu to odwołanie mnie z funkcji wiceprzewodniczącego Parlamentu Europejskiego za wywiad udzielony dla prawicowego portalu, a więc nie za wystąpienie na forum europarlamentu.

Profesor Nalaskowski staje się symbolem ludzi głoszących własne przekonania – bez względu na konsekwencje. Ale akurat są to przekonania olbrzymiej większości polskiego społeczeństwa. Widocznie ci, którzy go zawieszali, mają to w nosie. ■

Pożyczka dla Przedsiębiorcy MŚP:



Szanowny Przedsiębiorco, w ARP S.A. sfinansujesz:

- o realizację projektu inwestycyjnego
- o uzupełnienie kapitału obrotowego
- o realizację kontraktów
- o lukę powstałą w wyniku „split payment”



Jeżeli:

- o jesteś osobą fizyczną prowadzącą działalność gospodarczą lub reprezentujesz spółkę KSH
- o twoje roczne przychody są na poziomie min. 4 mln zł
- o ostatni rok obrotowy zakończyłeś zyskiem EBITDA (wynik operacyjny+amortyzacja)



Oczekujemy:

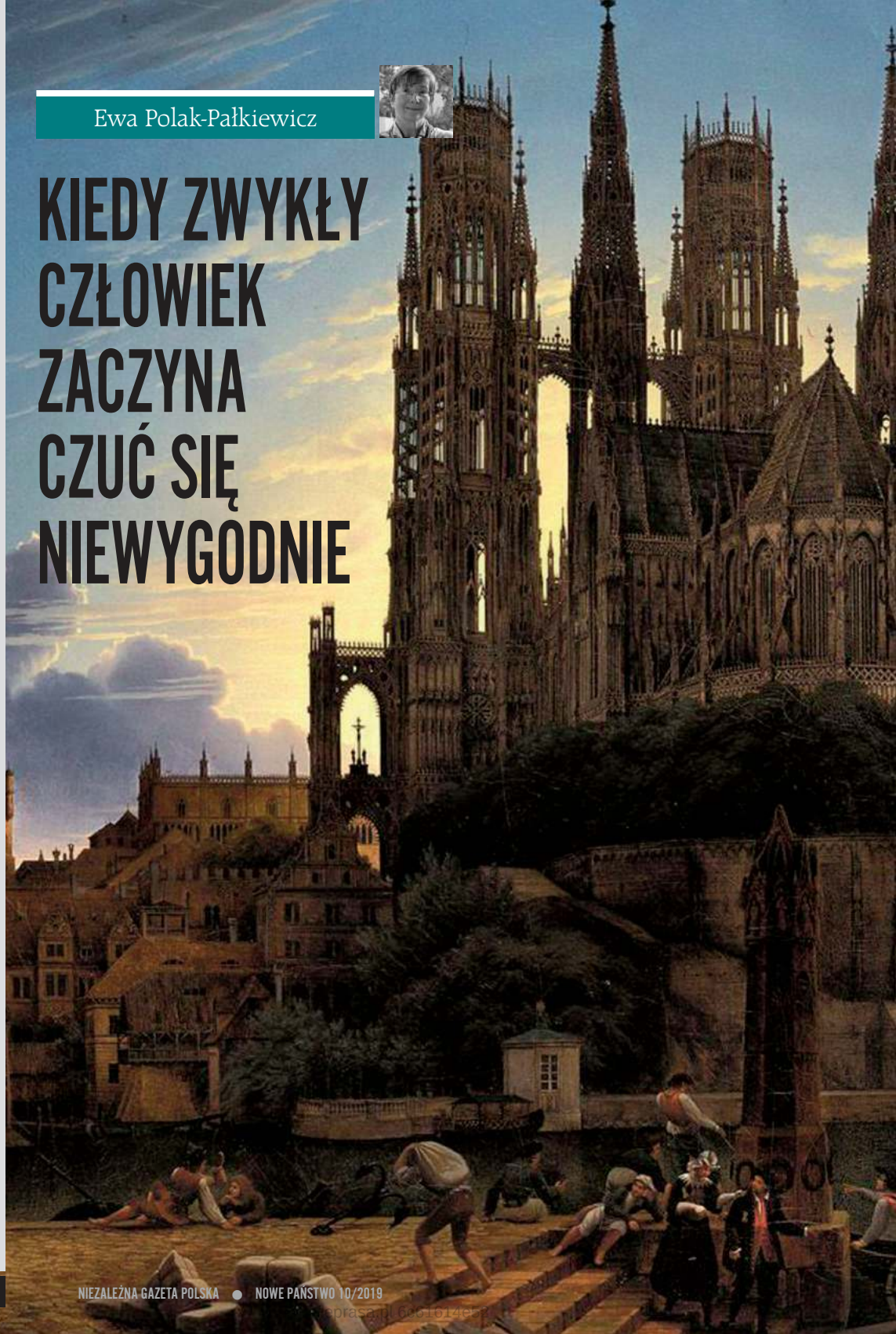
- o w przypadku finansowania inwestycji - wkładu własnego na poziomie 20% wartości realizowanej inwestycji
- o zabezpieczenia o wart. min. 120% oferowanego finansowania
- o zapłaty jednorazowej prowizji w wys. 0,2% wartości udzielonego finansowania

Jeśli jesteś zdecydowany na współpracę z ARP S.A. i chcesz poznać koszt i warunki oferowanego finansowania, zapraszamy do Parametryzatora pożyczkowego, za pomocą którego wspólnie stworzymy ofertę pożyczki dla Ciebie.

Ewa Polak-Palkiewicz



KIEDY ZWYKŁY CZŁOWIEK ZACZYNA CZUĆ SIĘ NIEWYGODNIE



Czy możemy się dziwić, że najdziwniejsze wierzenia i najgroźniejsze sekty głośno upominają się dziś o wolność swoich kultów i podnoszą wrzask, gdy czują, że ich praktyki mogą zostać ograniczone? Czy możemy się dziwić, że „parady równości” przemierzają ulice miast we wszystkich krajach starej Europy bez żadnych przeszkód, pod ochroną policji uzbrojonej w pałki i gaz? Mamy przecież wolność! Mamy wolność religijną! Niech katolicy uczą się, jak ona smakuje.

Nie jest dobrze zwlekać w nieskończoność z komentowaniem zjawisk w Kościele, które niepokoją zarówno duchownych, jak i świeckich, a o których istnieniu nigdy się otwarcie nie mówi. Udać, że ich nie ma. W rezultacie wywołana nimi choroba – której apogeum stanowi porzucenie wiary, apostazja, a której coraz liczniejsze przykłady obserwujemy na co dzień – nie może zostać ani prawidłowo zdiagnozowana, ani uleczona. Przemilczanie rzeczy trudnych nigdy nie jest rozwiązaniem. Regułą życia dla katolika nie może być dostosowywanie się do każdej sytuacji, bez względu na to, jak jest w istocie groźna dla wiary; dostrzeganie w niej jedynie tego co „dobre” lub „obojętne”. Grozi to całkowitym oderwaniem się od rzeczywistości.

Wskutek pokrywania milczeniem tego, co jest ich przyczyną, stają się one idealną pożywką dla tych, którzy tylko pozornie troszczą się o Kościół. Rozdzierają szaty z powodu jego kryzysu, piętnują autorów skandali w Kościele, a przy tym rozgrywają osobiste batalie i uprawiają klasyczną antykatolicką propagandę. Mówić o Kościele można tylko wtedy, gdy wie się, czym Kościół jest. O to jest coraz trudniej. Gdy wiedzy tej brakuje, gdy ignoruje się także bieg idei na przestrzeni wieków historii powszechnej i związane z nim główne wątki historii Kościoła, gdy wreszcie nie troszczy się o ukazanie tego, co się przedstawia we właściwych proporcjach i tonacji, tylko pogłębia się chaos.

Refleksja nad każdym zjawiskiem w Kościele, które niepokoi ludzi wierzących, jest obowiązkiem katolika. Na tym również opiera się prawdziwa lojalność i oddanie wobec Stolicy Apostolskiej. A w samym centrum „bezlitosnej wojny” o zwycięstwo Kościoła, jaką toczą dziś – tak jak zawsze w dziejach nowożytnych – ludzie wiary i siły wiere przeciwnie, jest prymat Piotrowy. Papiestwo. Opoka, na której Jezus Chrystus zbudował swój Kościół.

► Przestrogi Belloca

Jednym ze zjawisk najbardziej obciążających życie Kościoła, życie katolików jest dziś papolatria – fałszywa lojalność wobec Stolicy Piotrowej. Profesor Roberto de Mattei podkreśla, że postawa ta nie pozwala ludziom widzieć „w panującym papieżu jednego z 265 następców Piotra, ale uważa się go za nowego Chrystusa na ziemi, mogącego dowolnie zreinterpretować, przerabiać lub odrzucać Magisterium swych poprzedników, rozszerzając w ten sposób rzekomo i udoskonalać naukę Zbawicie-

la”. Tej postawie fałszywej lojalności w Kościele, objawiającej się od czasu ostatniego Soboru w wielu epizodach o większym i mniejszym znaczeniu, warto się przyjrzeć.

Moimi głównymi przewodnikami w refleksji nad tymi zjawiskami w obrębie katolicyzmu, z jakimi mamy dziś do czynienia, są trzej myśliciele katolicy. Ludzie, którzy potrafili nadciągający kryzys dostrzec i przewidzieć jego konsekwencje dla wiary – oraz te społeczne, moralne, kulturowe – dużo wcześniej, niż włączyły się dzwonki alarmowe na plebaniach, w klasztorach, seminariach, kuriach i domach rodzinnych. Dostrzec jego główne przyczyny i rzeczowo przestrzegać przed skutkami. Są to Hilaire Belloc (1870–1953), prof. Romano Amerio (1905–1997) i urodzony w 1941 roku Vittorio Messori.

Postacią najmniej polskim czytelnikom znaną jest angielski historyk, pisarz i polityk francuskiego pochodzenia Hilaire Belloc (warto przypomnieć, że był przyjacielem Polski, podobnie jak bliski mu Gilbert K. Chesterton). Ten współczesny apologeta chrześcijaństwa, przy tym prawdziwy erudyta, odznaczał się niezwykle przenikliwością w sprawach zrozumienia istoty kryzysu Kościoła. Dostrzegał jego oznaki już sto lat temu. W latach 30. ubiegłego wieku podkreślał coś, co stanowi rzeczywiste antidotum, a co my sami, w obecnym stanie pomieszania, rzadko chyba jesteśmy w stanie zauważyć i docenić: niezniszczalną siłę ludzkiego rozumowania. Pisał: „Otóż, przeciwko wielkim herezjom, kiedy nabiorą siły napędowej, stając się nową i modną osobliwością, w chrześcijańskim i katolickim umyśle pojawia się reakcja, która to reakcja odwraca bieg nurtu, uwalnia się od trucizny i ponownie ustanawia cywilizację chrześcijańską. Takie reakcje zaczynają się – powtarzam – w sposób niejasny. Prosty człowiek zaczyna się czuć niewygodnie i mówi sobie: »Być może jest to chwilowa moda, ale nie podoba mi się«. Pojawia się grupa chrześcijan, którzy czują w kościołach, że coś jest nie tak, choć trudno im to wyjaśnić. Reakcja jest zazwyczaj powolna i nieskładna, przez długi czas nie odnosi sukcesu. Jednak na dłuższą metę w przypadku wewnętrznej herezji zawsze kończy się pomyślnie. Tak jak wrodzone zdrowie ciała ludzkiego pozbywa się jakiejś wewnętrznej infekcji”.

Cytat pochodzi z książki Belloca „Wielkie herezje”. Belloc troszczył się, byśmy w rozumowaniu pełnym dystynkcji, w oparciu na nauce tradycyjnego katolickiego katechizmu, na gruntu znajomości prawd wiary, nauczaniu wielkich pa-

pieży XIX i pierwszej połowy XX wieku, rozumiejących, że po rewolucji francuskiej świat współczesny wydał bezwzględna wojnę Kościołowi, na powrót przyjęli porządek katolickiej prawdy o Bogu i Kościele. I pomimo tak powszechnego naruszania tego porządku – nie tylko przez współczesną kulturę, lecz zwłaszcza przez niefrasobliwość kościelnych reformatorów – znaleźli w sobie siłę do stawiania oporu.

► Gdy broń staje się „zbyt dobra”

Najważniejsze jest zawsze ustalenie, z jakiego rodzaju fałszem mamy do czynienia. A herezje, czyli fałszowanie nauki Kościoła, nękały Kościół od zawsze. Pojawiały się w jego historii z zadziwiającą wręcz regularnością. Zawsze też, prędzej czy później, Kościół dawał sobie z nimi radę.

„W pierwszych wiekach chrześcijaństwa diabeł atakował świętość rodziny w imię »czystości«; a więc w imię pozornego »dobra«” – przypomina ks. Jean-Michel Gleize, omawiając herezję katarów. „Następnie diabeł atakował Kościół w imię fałszywego ubóstwa. Protestantyzm, później także komunizm, w imię »ubóstwa« niszczył zasadniczy sens własności prywatnej. Diabeł zawsze wykorzystuje rzeczy, które same w sobie są dobre, można by rzec, rzeczy Boże, by zwalczać Kościół, społeczeństwo i rodzinę. Dziś diabeł realizuje etap trzeci swego planu, posługując się fałszywie rozumianym posłuszeństwem, posłuszeństwem oderwanym od sprawiedliwości... Najlepszą bronią zawsze pozostawia się na koniec. Fałszywie rozumiane posłuszeństwo staje się w jego rękach subtelną i skuteczną bronią. Fałszywe posłuszeństwo to ostatni nabój w rękę diabła. Atakuje nią Kościół i społeczeństwo. Posługuje się nią wspaniale. Ale jeśli broń staje się »zbyt dobra«, jej dysponent łatwo może wpaść w pułapkę...”

Do Boga podchodzimy zawsze przez pośredników, przypominał autor powyższego ostrzeżenia. Pośrednicy ponad nami to ci, którzy władają nami poprzez prawa. Pośrednicy są jednak też wokół nas. To ludzie żyjący tuż obok, na których patrzmy codziennie, którzy w „normalnych czasach” dają swoim zachowaniem dobry przykład. Żyją według zasad przestrzeganych w łacińskiej cywilizacji przez wieki. Ci, którzy dają dobry przykład, są nam potrzebni. Człowiek znajduje oparcie wśród ludzi zachowujących się podobnie jak on: podobnie myślących, podobnie odczuwających, tak samo wierzących. Mamy bowiem naturę społeczną, nie samotniczą. W samotności jesteśmy zdezorientowani, dziczemy. „To, co robią wszyscy”, przez całe

wieki było probierzem właściwego postępowania. Dziś jednak gwałtownie topnieje wokół nas liczba ludzi dających swoim życiem, swoimi decyzjami i wyborami dobry przykład. Ludzie „tacy sami jak my”, nasi sąsiedzi, współpracownicy, koledzy ze szkoły, z uczelni, przyjaciele, kuzyni zaczynają słuchać nie „odwiecznej” mądrości życiowej przekazywanej przez matki, ojców, babcie, dziadków, dbających o wychowanie potomków, lecz czerpią garściami wzory życia ze zdegenerowanej kultury. Ich sposób życia zaczyna wywierać na nas przemożny wpływ.

„Posłuszeństwo jest córą sprawiedliwości” – przypomina ks. J.M. Gleize. „Dziś mamy do czynienia z »posłuszeństwem, które oszalało«, posłuszeństwem, które nie jest już na służbie sprawiedliwości. Zarówno w społeczeństwie, jak i w Kościele. Ma ono jednak pewne naturalne granice. Pierwsza bowiem rzecz, która nas łączy z Bogiem, to jest nasz rozum oświecony wiarą... Ludzkość to nie jest coś, co zaczęło się za pontyfikatu posoborowych papieży. Opór możemy stawiać zawsze, dzięki naszej wierze i naszemu zdrowemu rozsądkowi”.

Jednak bez znajomości historii idei, także historii herezji, która jest częścią historii Kościoła i historii powszechnej, nie zrozumiemy tego, co się dziś dzieje – zarówno w samym Kościele, jak i wokół nas. „Do rzadkości należą dziś katolicy, którzy zajmują się odczytywaniem w sposób prawdziwy swojej epoki, wychodząc od wiary i Tradycji jako istotnych założeń” – zauważa włoski pisarz Vittorio Messori. Dlatego gdy stajemy wobec dramatycznego kryzysu katolicyzmu w naszych czasach, przyjmujemy najczęściej ramy interpretacyjne „innych kultur”, a nie kultury, która ukształtowała nasze myślenie. Wtedy najłatwiej się pogubić, a wiara staje się tylko zewnętrzną fasadą, emblematem; jest tylko „rodzajem nieskutecznego i zazwyczaj fałszywego eklektycyzmu (najczęściej »progresywistycznego« lub w ogóle »oświeceniowego«), który naznacza tyle poglądów branych za »katolickie«” – przestrzega włoski pisarz.

► Poszukiwanie odpowiedzi

Człowiek wierzący instynktownie szuka schronienia w świecie katolickich zasad przed niebezpieczeństwem ze strony ideologii, która rości sobie prawa, by podporządkować sobie całe życie społeczne. Tak dzieje się także dziś, gdy polscy rodzice rejestrują nadciągające szwarami agresywnych aktywistów antycywilizacji, rzekomych „obrońców mniejszości”. „Mniejszości”, które określają swoją

tożsamość poprzez przeciwne naturze skłonności i praktyki w życiu intymnym, z którymi bez krzty poczucia wstydu publicznie się obnoszą oraz twierdzą, że są „prześladowane” przez ludzi hołdujących odwiecznym zasadom i moralnym prawdom w tej dziedzinie, szanowanym i pielęgnowanym przez wszystkie wieki cywilizacji chrześcijańskiej.

Tym, co objęte było zawsze największą troską i wciąż w tym świecie zasad i niepisanych reguł postępowania, z uwagi na delikatność, słabość, ale i wyjątkowe piękno, była niewinność dzieci. Dziś próbuje się tę zasadę strzeżenia czystości, piękna myśli i wyobrażeń najmłodszych istot ludzkich, powierzonych opiece dorosłych, z racji samego prawa naturalnego, zetrzeć na pył i zostawić po niej rumowisko chorób, zgnilizny, rozpacz, duchowego i psychicznego sieroctwa, wszelkiego rodzaju patologii społecznych. Nazywa się to „wyzwoleniem”, „równouprawnieniem”, „wolnością”.

„Kiedy uważamy seks tylko za coś niewinnego i naturalnego, skutek jest taki, że wszystko co niewinne i naturalne zostaje przesiąknięte i przeniknięte seksem. Albowiem seks nie może być traktowany na równi z innymi elementarnymi emocjami czy zachowaniami, takimi jak jedzenie czy spanie. Gdy tylko seks przestaje być sługą, staje się tyranem” (G. K. Chesterton).

Zapomnienie, że istnieje coś takiego jak nieczystość, grzech, nie jest niczym innym jak samooszukiwaniem się człowieka. Matka Boża z Fatimy nazywała grzechy przeciwko czystości ich własnym imieniem, pokazując kilkuletniej portugalskiej dziewczynce, Hiacyntie Marto, piekło i dodając, że najwięcej ludzi trafia tam właśnie z powodu tych grzechów. Ludzie wpadali do rozżarzonego ognia „jak deszcz”, tak opowiadała dziewczynka. Nie możemy zapominać o Fatimie – coraz mniej rozumianej właśnie tam, gdzie przesłanie fatimskie powinno być usłyszane w pierwszym rzędzie, w Rzymie. A także w siedzibach biskupich.

Czy jednak Kościół ogarnięty rewolucyjną falą po Soborze Watykańskim II, Kościół, który sam zdaje się zacierać swoją tożsamość, bo jako naczelną ideę głosi dziś pokój na całym świecie i braterstwo ludzi, jest w stanie tę upragnioną moralną ochronę najsłabszym członkom społeczeństwa i ich rodzicom zapewnić? Przynajmniej w obrębie kościołów, sal rekolekcyjnych, klas szkolnych, gdzie uczy się religii? Czy jest w stanie wzmocnić wolę i rozum katolika, by był w swoim otoczeniu obrońcą prawdy o Bogu? By zarazem odważnie i z podniesioną głową bronił swojej rodziny przed deprawatorami i duchowymi niszczycielami? Czy odwoływanie się hierarchów przy tej okazji do „praw

człowieka”, „praw rodziny”, „godności człowieka”, przy jednoczesnym „poszanowaniu różnorodności, wielości kultur” i „pluralizmu” posiada jakąkolwiek moc, jakikolwiek sens? Czy jest w stanie kogokolwiek z deprawatorów, którzy zamierzają odwrócić porządek moralny w społeczeństwie, powstrzymać? Na jakiej zasadzie? W oparciu na jakim pewniku? Przywołując jaką instancję? Powołując się na jaki autorytet? Kościół nie jest instytucją ludzką, a przecież o prawach Boga, o obowiązkach człowieka wypływających z wiary w Boga, o potępieniu wiecznym, o sprawiedliwości Boga, o Sądzie już niemal nikt nie wspomina. To słowa wstydlive, nienowoczesne, mroczne, zatechłe jakieś... Kościół dziś, zdaniem tych, których głos jest słyszany najbardziej, to po prostu... świat. Doczesność, ludzkość. Bo Kościołem jest rzekomo Lud Boży, jaki wypełnia każdy zakątek ziemi – bez względu na wyznawaną religię, bez względu na rodzaj życia, jakie prowadzi – ku dobru czy ku złu. Celem „wszystkiego”, a zarazem głównym podmiotem Kościoła, stał się człowiek. Takie jest nauczanie Vaticanum secundum. Całkowity odwrót od zasad, jakie Kościół głosił przed Soborem.

W tradycyjnym Magisterium Kościół jest Mistycznym Ciałem Chrystusa, rzeczywistością świętą. Zasadniczym jego posłannictwem jest ukazywanie prawdy o Bogu, nawracanie jak największej liczby ludzi do Chrystusa, „przed paruzją, bez zajmowania się jednością rodzaju ludzkiego – chimerycznym, antychrześcijańskim ideałem głoszonym konsekwentnie przez masonerię, a będącym w rzeczywistości jedynie formą ubóstwienia i uwielbienia człowieka” – jak zauważył trzeźwo jeden z duchownych katolickich.

► Najgorsze grzechy

– „przeciwko człowiekowi i jego prawom”

Nowe nauczanie Kościoła, które zawarte jest w encyklikach papieży doby posoborowej oraz w nowym Katechizmie Kościoła Katolickiego (wydanym w 1992 roku), wyraźnie wskazuje, że to, czym Chrystus obdarował człowieka (ludzkość), przychodząc na ziemię, jest zdolność uświadomienia sobie „świętej godności każdego człowieka oraz transcendentnej wartości całej ludzkości”, a nie odróżnienie prawdy od kłamstwa, dobra od zła, i służenie Bogu – przez przyjęcie krzyża. W tym nowym nauczaniu fałszywe religie nie są bynajmniej fałszywe, posiadają „pierwiastki zbawienia”, „ziarna prawdy”, są bowiem częściowym, zasługującym na szacunek uświadomieniem sobie przez ich wyznawców „świętej godności” człowieka.

Na Soborze zerwano z potępieniami antyludzkich systemów i ideologii. Komunizm, który w czasie, gdy Sobór obradował, podporządkował sobie nieomal pół świata, nie został dotknięty najbliższą bodaj krytyką. Samo słowo „potępienie” zostało wyklęte. Nie ma też już grzechów, których nie da się odpuścić. Zresztą, po co odpuszczać? Grzech tak naprawdę nie obraża Boga. Wszyscy „idziemy do domu Ojca”, najważniejsza zaś jest „niezbywalna ludzka godność” i indywidualne ludzkie sumienie, które „dla dobra człowieka”, „z szacunku dla ludzkiej wolności” trzeba zostawić w spokoju. Nie niepokoić go. Grzech oznacza dziś tylko tyle, że jest w nas za mało miłości; trzeba mocniej kochać – siebie i, ogólnie, grzeszników, w ten sposób utoruję im się drogę do nieba. „Miłość” zastępuje wiarę w Boga. Gdyby zapytać współczesnych hierarchów, w co wierzą, wielu z nich z pewnością odpowiedziałoby, że „w miłość Chrystusa”. A „miłość” oznacza, że osądzanie moralne kogokolwiek, wykazanie mu błędu w myśleniu i postępowaniu, a w ślad za tym fałszu, nieuczciwości, jest małodusznością, egoizmem, zacofaniem. Jeżeli grzech deprawacji, gorszenia, uwodzenia dzieci i bardzo młodych ludzi nie może być nazwany po imieniu, a ludzie, którzy go propagują, mają być w Kościele rozliczeni tylko z tego, że „godzą w prawa rodziny”, to okazuje się, że Bogiem nie jest wcale Trójca Święta, lecz... rodzina.

Czy Kościół jest więc nadal święty? Czy jest Mistycznym Ciałem Chrystusa? A jeśli nie jest, to skąd ta zmiana? Kto mógł jej dokonać, skoro Kościół jest „nie z tego świata”? Przede wszystkim – jakie są jego granice, bowiem ostatni Sobór wyznaczył je na nowo. „Według nowego Katechizmu Kościół (albo Lud Boży) »obejmuje« całą ludzkość, wszystkie zjednoczone religie. W paragrafie 846 potwierdza się nam, że »poza Kościołem nie ma zbawienia«. Ale jeśli weźmie się powyższą definicję Kościoła, wydaje się, że poza Kościołem nie ma nikogo” (ks. Michel Simoulin).

Przedstawiciele władzy politycznej kraju, w którym hierarchowie znajdują tego rodzaju wykryty, by zaniechać głoszenia tradycyjnego katechizmu, niezmiennych dogmatów, znajdują się w idiotycznej, można by rzec, sytuacji. Zwłaszcza gdy są katolikami. Z jednej strony wymaga się od nich, by zaprowadzili porządek, poskromili ideologię wciskającą się do szkół, przedszkoli, massmediów, instytucji kulturalnych, obronili dzieci, dali pełnię bezpieczeństwa im i ich rodzicom, a zarazem odmawia się im szansy, by mogli powołać się na ko-

nieczność i sens każdego restrykcyjnego prawa, na niekwestionowane zasady moralne. Na Tego, który jest dawcą praw. Na wiarę chrześcijańską, w której „tak” oznacza „tak”, „nie” – „nie” i odnosi się także do zasad życia społecznego. W której człowiek sprawujący władzę polityczną odpowiada przed Bogiem za to, jak wygląda porządek prawny w państwie i komu to państwo służy.

Podstawowy błąd soborowego i posoborowego nauczania Kościoła zrodził się, jak przypomnieliśmy, z francuskich księży Tradycji, „w nieco chorobliwej wyobraźni pewnych teologów, zakochanych w człowieku, którzy dokładnie pomieszały porządek naturalny z porządkiem nadprzyrodzonym” (ks. Michel Simoulin). Jest to błąd o wiele subtelniejszy niż błędy dawnych herezji ariańskich czy nestoriańskich. Nie ma on jednak żadnego oparcia ani w Piśmie Świętym, ani u ojców czy doktorów Kościoła, w całej teologii ery przedsoborowej.

Teoretycznie na przykład Katechizm Kościoła Katolickiego (z 1992 roku) rozróżnia oba porządki, porządek łaski i porządek natury. Ale w praktyce to rozróżnienie już nie jest dokonywane. „W pewien sposób” każdy człowiek bowiem, niezależnie od tego w co wierzy i jak żyje, jest zbawiony. Posoborowa wykładnia wiary katolickiej zakłada, że skoro Bóg pragnie zbawienia każdego człowieka i skoro tylko On może zbawiać, nikomu nie może odmówić swojej łaski. „To jest fałsz. Poza Kościołem i sakramentami, poza tym, co mówi Pismo Święte i Tradycja, co mówi nam Kościół – my nie wiemy, co Bóg czyni lub nie czyni”. Nie wiemy i nie będziemy wiedzieć; nie jesteśmy Bogiem. Zuchwała wyobraźnia i rodzaj nieposkromionej, szaleńczej fantazji ponoszą współczesnych teologów, a w ślad za nimi niektórych hierarchów, dlatego w dzisiejszym nauczaniu mówi się o tym, że człowiek może się zbawić, praktykując fałszywą religię – czemu nie? – o ile tylko „naprawdę wierzy”. Żydów, muzułmanów, buddystów etc. nie należy nawracać, bowiem w ich religiach istnieją „ziarna prawdy”. Słowo „nawracanie” zostało wyeliminowane, „prozelityzm” jest traktowany niemal jak przestępstwo... Posoborowy katechizm mówi co prawda o strukturach grzechu, ale „nigdzie nie odnajdziemy choćby próby sugestii, że struktura grzechu może być fałszywa religia. Ostatecznie grzechy przeciwko wierze, przeciwko Bogu i Jezusowi Chrystusowi nie są ciężkie, a w każdym razie są o wiele mniej cięższe niż grzechy przeciwko człowiekowi, przeciwko jego godności i prawom!”.

Czy możemy się dziwić, że najdziwniejsze wierzenia i najgroźniejsze sekty głośno upominają się dziś o wolność swoich kultów i podnoszą

wrzask, gdy czują, że ich praktyki mogą zostać ograniczone? Czy możemy się dziwić, że „parady równości” przemierzają ulice miast we wszystkich krajach starej Europy bez żadnych przeszkód, pod ochroną policji uzbrojonej w pałki i gaz? Mamy przecież wolność! Mamy wolność religijną! Niech katolicy uczą się, jak ona smakuje.

► Doczesna przyszłość, czyli spełnienie

Do tego wszystkiego dochodzi lansowanie w posoborowym Kościele utopijnej wizji przyszłości jako epoki zbratania i pojednania całej ludzkości, która wreszcie osiągnie stadium „pełni”, „jedności”, a zarazem całkowitego materialnego zaspokojenia, słowem: doskonałości, i nastanie era pokoju powszechnego. Nastąpi to wtedy, gdy wszyscy ludzie na ziemi, niezależnie od tego, w co wierzą, uświadomią sobie swoją „wzniosłą godność”. Nie swoją zależność od Boga, bynajmniej! – ale to, że są kimś nadzwyczajnym. Kimś, kogo Bóg „chciał dla niego samego”. Cały „postępowy świat”, a wraz z nim coraz bardziej postępowy Kościół, jest zwrócony ku przyszłości, którą kojarzy z tym, co nazywa rozwojem ludzkości i cywilizacji: z pokojem, wyeliminowaniem biedy, wszelkich nierówności, „dyskryminacji” i „wykluczeń” oraz z niezmałym żadnymi troskami życiem ludzi w czystym środowisku – i w tym widzi spełnienie obietnic Bożych.

W średniowieczu system prawny odnosił się do Boga i odwzorowywał – podobnie jak sztuka – choć na sposób ludzki tylko, więc niedoskonały – Boży ład stworzenia. Co się na niego składa? Znaczący średniowieczny prof. Paweł Stępień z UW przypomina, że epoka ta ukazywała piękno świata jako piękno matematyczne. Świat został stworzony przez Boga wedle miary, liczby i wagi. Bóg posługiwał się Przedwieczną Mądrością, Drugą Osobą Trójcy Świętej, którą jest Osoba Chrystusa. Architektura i geometria dzieła Boga tworzy wzorzec najdoskonalszej budowli i najdoskonalszego poematu. Ludzie średniowiecza wiedzieli, że świat musi być doskonały – ze względu na Stwórcę i cel. I w sztuce posługiwali się zasadą harmonii, główną zasadą tworzenia świata przez Boga. Istotą harmonii jest hierarchia. Krzyż powinien znajdować się w samym środku Wszechświata. Tak uważało średniowiecze, epoka, w której królowało przeświadczenie, że istnieje wzorzec dla ludzkiej organizacji życia – nadprzyrodzony ład i szacunek dla tego ładu. Katedry pozostałe w Europie po tej epoce są tego wspaniałym dowodem.

Pieśni, malarstwo, architektura tej epoki ze swoimi tajemnikami symetrii, harmonii wpisywały się w odwieczny porządek chrześcijaństwa. Fundamentem piękna są liczby, symetria, proporcje. Definicja piękna jest obiektywna. Czy w utworach średniowiecznych chodziło o to, by budzić podziw dla ich twórców? By zachwycić dziełami ludzkiego umysłu? Nie. Człowiek żąda tego, co prawdziwie (obiektywnie) piękne i wieczne. Dlatego zwraca się ku Bogu. Piękno rodzi miłość. Sztuka średniowiecza dostarcza na to wręcz „matematycznych”, chciałoby się powiedzieć, dowodów. To budujące, że są w naszych czasach uczeni, którzy o tym pamiętają i potrafią w obiektywnych kategoriach ukazać wartość średniowiecza.

Współczesne prawo, które oddziela przestrzeń społeczną i duchową na dwa niemające ze sobą nic wspólnego obszary – i towarzyszące mu mody społecznej aktywności (także te na domaganie się „swoich praw” na ulicy) – nie przynosi żadnego pokoju, bo zapomina, że jedynym jego dawcą jest Bóg. Prawo pozytywne, jakie dziś króluje w całym niemal świecie, ignoruje prawo Boże, a zatem oznacza przewrót moralny i – w konsekwencji – cywilizacyjny.

Prawo pozytywne coraz bardziej anarchizuje życie społeczeństw. Dając ludziom coraz więcej „swobód demokratycznych”, czyli złudzenia wolności, czyni człowieka coraz bardziej bezbronny wobec tego, co naprawdę mu zagraża: utraty zbawienia na skutek złożenia wszystkich jego projektów, nadziei, oczekiwań w doczesności. Czyni go w rezultacie niewolnikiem instynktów i zakładnikiem fałszu, który ma swoje sto twarzy małych i wielkich kompromisów, a który rozplecił się także w instytucjach publicznych i jest przez nie reprezentowany. Jest wyrazem obrzydliwego w oczach Boga buntu. Próbuje „delegalizować”, na kłamliwy, przewrotny sposób stworzony przez Niego ład.

W Polsce jest na szczęście inaczej. W Polsce istnieje wciąż spora grupa ludzi, którzy zważają na prawdziwy Ład. Zastanawiają się, czym on jest. Leżą rany zadane Polsce przez rozbiory i komunizm, także poprawiając chybione prawo, którego źródła tkwią w odwróceniu się od tego, co prawdziwe, wieczne i niezmiennie. Dostarczają rodakom dobry przykład odpowiedzialną postawą przywódców państwa, które trwa pomimo przeciwności, między Niemcami a Rosją...

Fragment mojej książki „Café Katedra”, która ukaże się wkrótce nakładem Oficyny Wydawniczej Volumen.



Małgorzata Matuszak

Czym jest ... krzyż

Krzyż posiada głęboką i bogatą symbolikę, niezwykle uniwersalną, gdyż w rozmaitych formach pojawiał się na całym świecie. W różnych czasach i kulturach. Znak krzyża jest starszy niż chrześcijaństwo. Krzyż w kształcie litery „T” („tau”) pojawiał się na przykład w Egipcie, oznaczając centrum świata, symbol panowania nad wszystkim siły słońca. Krzyż wpisany w koło związany był z kultem solarnym również u Hetytów, na Bliskim Wschodzie zaś krzyż grecki był symbolem nieba i ziemi, słońca, czterech stron świata, a także kosmosu. Do V wieku przed Chrystusem krzyż był symbolem życia, zdrowia i ochrony przed śmiercią, później jednak, za sprawą coraz powszechniejszych ukrzyżowań, stał się wstydliwym symbolem hańby, na którym ginęli wykluczeni ze społeczeństwa przestępcy, symbolem śmierci. Stereotyp tego znaczenia odbijał się na chrześcijanach do IV wieku. By nie narażać świętego symbolu na profanację i szyderstwo, ukrywano właściwy znak krzyża za różnymi przedstawieniami. Dopiero Konstantyn Wielki otworzył drogę do publicznego przedstawiania krzyża.

Tym, co różni krzyż w czasach i kulturach przedchrześcijańskich od krzyża chrześcijańskiego, jest nowy sens nadany mu przez Ukrzyżowanego. Dopiero za Jego sprawą stał się on świętym symbolem odkupienia, znakiem haniebnego poniżenia i pełnego chwały wywyższenia, zwycięstwa życia nad śmiercią, śmierci i zmartwychwstania, zbawienia i nadziei. W misterium krzyża spotykają się bowiem skrajności, łączą się przeciwieństwa. Linia pozioma łączy się z pionową, to co na ziemi – z tym, co wznosi się ku niebu, śmiertelność – z nieśmiertelnością, to, co ludzkie – z boskością. Jest również symbolem najwyższego poświęcenia, przypominającym o nieskończonej miłości Boga do każdego człowieka, i wołaniem o to, byśmy miłowali się tak, jak umiłował nas Jezus Chrystus. Belka pionowa łączy człowieka z Bogiem, wynosi go ku Niemu, belka pozioma zaś – jako znak miłości wzajemnej, której uczy nas Jezus – łączy ludzi ze sobą nawzajem.

Krzyż przedstawiany być może w różny sposób, różne jego formy dotyczą nie tylko geometrii, lecz także ornamentyki, czy też znajdujących się na nim inskrypcji i symboli. Każdy z tych elementów niesie z sobą jakiegoś przesłanie teologiczne. Spotkać możemy się chociażby z krzyżem greckim, równoramiennym, ilustru-

jącym doskonały i pełny wymiar ofiary Chrystusa nadającej porządek całemu kosmosowi, stanowiącej główną zasadę istnienia; krzyżem jerozolimskim, którego małe krzyże symbolizują cztery Ewangelie lub cztery strony świata; różnymi odmianami krzyża łacińskiego, nazywanymi później krucyfiksami (od łac. „cruci fixus” – „przybity do krzyża”), z umieszczoną za zwyczaj inskrypcją INRI; czy też z krzyżami świętych Antoniego, Franciszka, Andrzeja, Piotra – odwróconym na znak męczeńskiej jego śmierci. Krzyż symbolizować może także hierarchię eklezyjalną – krzyż z podwójną poprzeczką przysługuje kardynałom i metro-

BELKA PIONOWA KRZYŻA ŁĄCZY CZŁOWIEKA
Z BOGIEM, WYNOŚI GO KU NIEMU, BELKA
POZIOMA ZAŚ – JAKO ZNAK MIŁOŚCI
WZAJEMNEJ, KTÓREJ UCZY NAS JEZUS – ŁĄCZY
LUDZI ZE SOBĄ NAWZAJEM.

politom, z potrójną zaś wskazuje na pełnię w hierarchii i od XV wieku przysługuje samemu papieżowi.

14 września w Kościele katolickim obchodzone jest święto Podwyższenia Krzyża Świętego, na pamiątkę zwyczaju zapoczątkowanego w Jerozolimie, gdzie od V wieku oddawano cześć krzyżowi w dniu następującym po rocznicy poświęcenia kościoła Zmartwychwstania. W tym roku rzesze Polaków uczestniczyły tego dnia w akcji „Polska pod Krzyżem”. Zorganizowana została ona po to, by pokreślić wagę znaczenia Krzyża dla Polaków, by przypomnieć, jak znacząca jest historia jego obecności na naszej ziemi. Trzeba o tym bowiem wciąż przypominać. Tym bardziej że po tragedii, do której doszło niespełna miesiąc wcześniej na Giewoncie, nasiliły się znów dyskusje dotyczące jego obecności w przestrzeni publicznej. Wydarzenia w Tatrach stały się pretekstem do ideologicznej walki z symbolami wiary, w związku z czym – z samą wiarą, kolejnym narzędziem w procesie laicyzacji, polegającej na odchodzeniu od korzeni chrześcijaństwa i wartości, które chrześcijaństwo z sobą niesie.

Tomasz P. Terlikowski



CZY CZEKA NAS SCHIZMA?

Nie ma wątpliwości, że Kościół katolicki zmienia się błyskawicznie. Część analityków określa te zmiany mianem „nowej reformacji”.

Czy zakończy się ona tak jak pierwsza reformacja – schizmą, a potem herezją? Nikt, nawet sam papież Franciszek, nie wyklucza takiej możliwości.



Ida zmiany i nikt już tego nie ukrywa. Synod poświęcony Amazonii, choć dotyczy miejsca i Kościoła – nazwijmy go delikatnie – niższego z punktu widzenia nawet demografii katolickiej, może się stać prawdziwą rewolucją. I coraz mocniej mówią o tym jego architekci, a także ci, którzy przed skutkami (ich zdaniem zgubnymi synodu) nieustannie przestrzegają. Z jednej strony mamy zapewnienia, że nic już nie będzie takie samo, że Kościół wkroczy na drogę głębokiej reformy, inni przypominają, że reforma ta może oznaczać zagubienie, porzucenie tego, co od zawsze o katolicyście decydowało. I obie strony mogą mieć rację.

► Synod z dalekich stron i jego znaczenie

Dlaczego akurat synod poświęcony Amazonii ma przynieść takie skutki? Odpowiedź jest prosta. Jego architekci wpisali bowiem w niego cały zestaw tematów, które, choć mają dotyczyć tylko jednego regionu, to jeśli zostaną tam wprowadzone, zmieniają cały Kościół. Chodzi przede wszystkim o ograniczenie reguły kapłańskiego celibatu (co wprowadzić nie jest kwestią doktrynalną, lecz wpłynie na postrzeganie duchowieństwa), głęboką inkulturację Ewangelii (sprawiającą – według choćby kard. Roberta Saraha – wrażenie, jakby chciano porzucić wiarę w jedynobawczy charakter Ofiary Jezusa Chrystusa), decentralizację Kościoła, a także liberalizację części wymogów moralnych Kościoła. Jeśli dodać do tego sygnały dotyczące możliwego wprowadzenia jakiejś formy posługi liturgicznej kobiet i zwiększenie ich roli, to okaże się, że ten jeden synod może głęboko przeorać Kościół. I niech nie zwodzi nas opinia, że dotyczyć to będzie tylko jednego miejsca. Jeśli celibat zostanie zniesiony w Amazonii, a święcenia diakonatu zacząć tam być udzielane kobietom, to prędzej lub później (raczej prędzej) to samo stanie się w Niemczech, Szwajcarii, Austrii czy nawet Polsce (u nas później, lecz także).

Niemiecki Kościół już jest zresztą na te zmiany przygotowany, bowiem także w nim rozpoczął się „proces synodalny”, który w ogromnym skrócie dotyczy tego samego co synod w Amazonii. Jego celem ma być przedyskutowanie (co w istocie w ustach przewodniczącego tamtejszej konferencji biskupów kardynała Reinharda Marxa oznacza zmianę dotychczasowego stanowiska) kwestii celibatu kapłańskiego, władzy w Kościele i fundamentów katolickiej etyki seksualnej. Skąd takie pomysły? Otóż, jak przekonuje

kardynał, w Kościele Powszechnym wielu biskupów „nie chce iść naprzód” i właśnie dlatego Niemcy nie mają wyjścia i muszą budować postępowy katolicyzm samodzielnie. Watykan wprowadzić oponuje przeciwko tym pomysłom, ale... nie stopuje obrad, co oznaczać może, że w istocie godzi się na zmiany, a może nawet testuje to, jak daleko mogą one jaisć.

► Konieczność walki z klerykalizmem

Czy zmiany, o których tutaj mowa, można zatrzymać? Czy możliwe jest zastopowanie rozpoczętych przez ten pontyfikat (a w sensie ścisłym przez rezygnację Benedykta XVI z urzędu) głębokich reform? Niewiele na to wskazuje. Pewne rzeczy już się dzieją, zmiany zachodzą, a wiele z nich jest odpowiedzią na zjawiska, z którymi wcześniej nie mieliśmy do czynienia. Konserwowanie starego (choć Tradycja ma fundamentalne znaczenie w Kościele, bo jest obok Pisma Świętego i Magisterium wyrazem Objawienia) jako jedyne lekarstwo nie jest i nie może być obecnie drogą Kościoła.

Doskonałym przykładem owej koniecznej i już dokonującej się zmiany jest debata wokół przeżywania kapłaństwa, kapłańskiej tożsamości. Model postrydencki już nie istnieje, stan duchowny rozumiany jako w swoisty sposób wywyższony ponad wiernych, feudalnie ustawiony nad nimi, przeznaczony do rządzenia, sądzenia i nauczania przestał być zgodny z tym, jak ludzie, także katolicy, postrzegają samych siebie. Próba wskrzeszenia tego, co było, może nas doprowadzić jedynie do powołania grup rekonstrukcjonistycznych, a nie do rzeczywistego odwołania do Tradycji Kościoła. Co nam zatem pozostaje? Poważna debata na temat katolickiego (to ważne, bo mamy pozostać w Kościele i wewnątrz jego doktryny), a jednocześnie dostrzegającego zmieniający się świat rozumienia kapłaństwa, tożsamości księdza i jego relacji ze świeckimi.

I właśnie taką debatę zapowiadają uczestnicy synodu na temat Amazonii. Mam poważne wątpliwości, czy jest to właściwe miejsce, może uczciwiej byłoby przedyskutować te sprawy na synodzie poświęconym życiu kapłańskiemu, ale cóż. Istotne jest jednak to, by nie skupiać się, jak to robią media, na problemie celibatu. On jest oczywiście najbardziej spektakularny, ale wcale nie najważniejszy. Zwraca na to zresztą uwagę – często przeze mnie krytykowany – kard. Reinhard Marx, który w wywiadzie dla „Frankfurter

Allgemeine Sonntagszeitung” wskazał, że debata musi dotyczyć „przyszłości kapłańskiego stylu życia”. Mówił o tym ostatnio w Afryce także papież Franciszek, zaznaczając, że nie ma prostych rozstrzygnięć.

Ale dyskusja, o jakiej mowa, nie dotyczy tylko samych kapłanów, lecz także relacji Kościoła hierarchicznego do wiernych, relacji między duchownymi a świeckimi. Kardynał Marx wprost sugeruje, że trzeba rozważyć dopuszczenie kobiety do obrad synodalnych i soborowych. Z tym trudno się nie zgodzić, podobnie jak z kwestią, że w obradach tych powinni uczestniczyć także świeccy mężczyźni. U wypowiedzi kardynała zaskakuje tylko stwierdzenie, że raczej nie da się dopuścić kobiet (a to oznacza, że świeckich mężczyzn też nie) do głosowań, to bowiem wyklucza obecne prawo. Prawo wyklucza także święcenie żonatych mężczyzn, a można je zmienić, wydawać by się więc mogło, że zmienić można także prawo zakazujące świeckim głosowania. I nie chodzi mi o jakąś rewolucję, która odbierze rolę strażników doktryny papieżowi i biskupom, a o zwyczajne przypomnienie, że w synodzie w 1917 roku na przykład w Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej świeccy i szeregowi duchowni uczestniczyli, debatowali, a nawet głosowali, i w niczym nie ograniczało to znaczenia hierarchii duchownej, a poszerzało perspektywę. Oczywiście trzeba zachować sakramentalny urząd kapłaństwa, należy pamiętać o szczególnej roli następców apostołów, ale... nie można też zapominać, że teologia Ludu Bożego, a także emancypacja wiernych zmieniła sytuację, i tak jak w przeszłości niejednokrotnie prawny ustrój Kościoła zmieniał się pod wpływem ustroju świeckiego (swoje znaczenie miały i feudalizm, i później absolutyzm), tak teraz nie ma powodu, by elementów zmieniających, prawnych nie zmienić, otwierając się bardziej na głos świeckich i kobiet.

► Groźba schizmy

Te pozytywne elementy nie powinny jednak przesłaniać faktu, że część „reformatorów” chce zmian o wiele głębszych. Akceptacja rozwodów, błogosławienia związków homoseksualnych czy – z innej beczki – „kapłaństwo kobiet” – to tylko część postulatów formułowanych przez postępowych biskupów. I to byłoby już porzucenie katolicyzmu, jaki znam, rozpoczęcie budowy nowego Kościoła. Jak zareagowaliby na to biskupi, kapłani i wierni przywiązani do trady-

cyjnej nauki Kościoła? Coraz częściej i mocniej mówi się o tym, że mogłoby to doprowadzić do schizmy. Sam papież Franciszek nie ukrywa, że jest to możliwe. Kilka lat temu podczas spotkania z grupą biskupów miał powiedzieć, że obawia się, iż jego pontyfikat może doprowadzić do rozłamu w Kościele, a ostatnio, w czasie podróży samolotem, zapewniał, że wprowadzie nie boi się schizm, lecz... ostrzega, że mogą mieć one opłakane skutki duchowe. I w te słowa papieskie warto się wsłuchać, nawet jeśli uważa się, że obecny kierunek Stolicy Apostolskiej jest błędny. Papież zwrócił bowiem uwagę na absolutnie fundamentalne z punktu widzenia Kościoła kwestie.

„Nie obawiam się schizm, modłę się, aby ich nie było, bo zagrożone jest zdrowie duchowe wielu ludzi” – stwierdził Ojciec Święty. I już w tym zdaniu trudno nie dostrzec głębokiej prawdy. Schizma nigdy nie prowadzi ku dobremu, zawsze zagraża równowadze i zdrowiu duchowemu ludzi. Ale dalej można znaleźć interesującą analizę historyczną. Otóż Franciszek zwraca uwagę na historię starokatolicyzmu, który rozpoczął się w Utrechcie od obrony przed niewątpliwymi nowinkami tradycyjnego modelu wyboru biskupa. Także schizma po Soborze Watykańskim I, której twórcy uzyskali sakry biskupie od Utrechtu, motywowana była przywiązaniem do starej tradycji, a choć jej twórcy przynajmniej w części byli modernistami, to część z nich walczyła rzeczywiście – w swoim mniemaniu – o zachowanie doktryny. Jak się to skończyło? Głęboką reformą i święceniem kobiet, do czego Kościół zwyczajnie nie ma prawa. W sensie ścisłym – o czym papież już nie mówił – reformacja też była wielkim wezwaniem do powrotu do surowej Ewangelii, do źródeł, do nieskażonej Ewangelii, a skończyła się głęboką zmianą eklezjologiczną. Warto o tym pamiętać w całym ogniu naszych sporów. Schizma jest najgorszym rozwiązaniem, a jej uleczenie jest czasem niemal niemożliwe.

Te słowa trzeba jednak odnieść nie tylko do tych, którzy obecnie protestują przeciwko zmianom w imię wierności zasadom, lecz także do tych, którzy promują nową reformację. Tak się bowiem składa, że choć Prawda zawsze jest wartością najwyższą, to jest nią również Jedność. Tam, gdzie ona zanika, gdzie nie ma jak poszukiwać Prawdy w Jedności, tam dokonuje się nie tylko schizma, lecz także zazwyczaj dochodzi do niewierności prawdzie, co prowadzi do herezji. Trzeba nam teraz wiele modlitwy za Kościół, by do Jego kolejnego podziału nie dopuścić i by synod w Amazonii miał rzeczywiście pozytywne skutki. ■



APLIKACJA BANKOWA IKO PO RAZ KOLEJNY NAJLEPSZA NA ŚWIECIE



Bank Polski



Aplikacja mobilna IKO PKO Banku Polskiego jest zwycięzcą rankingu Retail Banker International z lutego 2019 r., obejmującego aplikacje mobilne 100 banków z całego świata.

GUWERNANCI XXI WIEKU

Jak wynika ze statystyk, możliwość nauczania dzieci w domu staje się dla rodziców coraz bardziej kusząca. Dlaczego? Czy nauka w domu rzeczywiście jest lepszym rozwiązaniem niż obowiązek szkolny realizowany w tradycyjnej szkole?

Małgorzata Matuszak



Wypisać dziecko z systemu oświaty – myśli o tym wielu rodziców rozczarowanych edukacją szkolną swoich dzieci. I coraz więcej naprawdę na to się decyduje. Edukacja w domu nie jest w Polsce popularna, jednak liczba jej zwolenników z roku na rok rośnie. W 2014 roku w domu uczyło się około 5 tys. uczniów, w 2016 uczących się w domu było już 7,5 tys. dzieci, a w 2018 ich liczba wzrosła do około 14 tys.

► Możliwe alternatywy

Różne są modele nauki w domu. Najczęściej praktykowany jest homeschooling, a coraz większą popularnością cieszy się także unschooling, którego jedną z odmian jest worldschooling.

Homeschooling to dosłownie „domowe szkolenie”, polegające na tym, że obowiązek szkolny realizowany jest w warunkach domowych. W Polsce na edukację domową (określana skrótowo ED) pozwala ustawa o systemie oświaty z 7 września 1991 roku z późniejszymi zmianami, mówiąca o „realizacji obowiązku szkolnego poza szkołą”. Każdy rodzic ma bowiem prawo decydowania o formie edukacji swojego dziecka, zgodnie z tym, co mówi polska Konstytucja: „Rodzice mają wolność wyboru dla swoich dzieci szkół innych niż publiczne”.

Zgodnie z aktualnymi przepisami wniosek rodziców o pozwolenie na realizację obowiązku wychowania przedszkolnego, obowiązku szkolnego lub obowiązku nauki poza szkołą składa się odpowiednio do dyrektora publicznego lub niepublicznego przedszkola, szkoły podstawowej i szkoły ponadpodstawowej. Placówki te muszą znajdować się w województwie, w którym mieszka dziecko,

a do wniosku należy dołączyć opinię publicznej poradni psychologiczno-pedagogicznej. Dyrektor szkoły określa też dokładnie zakres i formę egzaminów, które dzieci w ramach toku nauczania mają zdać, co semestr bądź na koniec roku. Świadcstwo, które otrzymuje uczeń po zdaniu takich egzaminów, jest zarazem pełnoprawnym dokumentem, które uprawnia go do kontynuacji edukacji domowej w następnej klasie.

Unschooling to dosłownie „odszałkowanie”, polegające na rezygnacji z typowo szkolnego uczenia się na rzecz tzw. uczenia się naturalnego, odrzuceniu szkoły, włącznie z podstawą programową. Pojęcie to stworzył John Holt, który uznał, iż człowiek ma prawo do własnego rozwoju, opartego na osobistym potencjale, i że może się rozwijać, korzystając ze środowiska kulturowego, w którym wzrasta. W Polsce nie ma możliwości pełnego unschoolingu, można jednak być unschoolerem w sensie mentalnym, samemu zatem wyznaczać sobie priorytety i skupiać się na tym, co uznajemy za ważne, ograniczając podstawę programową do wymaganego minimum.

Pojęcie „worldschooling”, czyli uczenia się przez podróżowanie, stworzył najprawdopodobniej Eli Gerzon. Według niego cały świat staje się twoją szkołą, a nie szkoła twoim światem. Worldschoolersi wiele podróżują po całym świecie, praktykując tzw. slow travel, a ich nauka polega na uczeniu się przez doświadczenie, poznawanie nowych miejsc, kultur czy tradycji.

► W domu lepiej

Wśród zalet homeschoolingu wymienia się najczęściej: poświęcanie czasu dziecku; indywidualne podejście; alternatywne metody nauczania; rodzic wie, czego uczy dziecko; dziecko ma czas wolny; wolność od „testomanii”. To bardzo poważne argumenty, zwłaszcza dziś, kiedy

zarzuca się szkole, że panuje w niej „masówka”, że traktuje się w niej dzieci jak „numerki w dzienniku”, że wszystkich kształci się według jednego szablonu, nie uwzględniając naturalnych predyspozycji i talentów poszczególnych młodych ludzi. Że zabija się wszelką kreatywność i indywidualizm.

Prawdą jest, że nauka w domu toczyć się może według indywidualnych potrzeb dziecka, w tempie, które pozwala przyswoić mu wymaganą wiedzę. Dziecko traktowane jest wtedy również indywidualnie, wszystko jest skupione na nim, można też zastosować inne, niewykorzystywane w szkole formy nauczania. Rodzic ma także wpływ na to, jakie treści i w jaki sposób zostaną przekazane dziecku. Nauka w domu oszczędza też czas, który dziecko poświęcałoby na odrabianie zadań i pisanie prac domowych, daje więc możliwość na rozwijanie pasji i po prostu na odpoczynek. Dzieci chodzące do szkoły skarżą się wszak na brak wolnego czasu, na to, że są zbyt przemęczone i znużone nauką.

Podstawowy zarzut dotyczący nauki w domu to izolacja dzieci od świata i rówieśników. Socjalizacja dzieci uczonych w domu jest o wiele trudniejsza, choć nie niemożliwa. Znow wszystko zależy od rodziców, jakie warunki w tym względzie zapewnią młodemu człowiekowi. Psycholodzy jednak nie są do końca przekonani o tym, że ten rodzaj edukacji jest w pełni dobry dla dziecka, które potrzebuje nie tylko formalnych, lecz także spontanicznych kontaktów z innymi niż rodzice i z najbliższego grona ludźmi.

► Wielkie wyzwanie

Domowa edukacja to wyzwanie przede wszystkim dla rodziców. Decydując się na nią, trzeba liczyć się z tym, że konieczne będzie podporządkowanie jej życia zawodowego. Wymaga ona bowiem ogromnej dyscypliny rodzica i ucznia. W większych miejscowościach próbuje się organizować grupy edukacji domowej, w której dorośli dzielą się obowiązkami edukacyjnymi. W mniejszych taką grupę zorganizować jest trudniej. Inną kwestią jest to, że edukacja domowa może nieść z sobą ryzyko wielu domowych napięć, szczególnie wtedy, gdy rodzicom bardzo zależy na rozwoju dziecka, a ono nie nadąża za ich wymaganiami, jeśli kierują się różnymi motywacjami. Poza tym sytuacja, w której rodzic uczy swoje dziecko, może być trudna dla obydwu stron pod względem emocjonalnym. Z drugiej strony, nauka w domu pozwala zacieśniać

więzy rodzinne i powodować, że rodzic lepiej pozna swoje dziecko.

Nie każdy rodzic zatem i nie każde dziecko gotowi są na to, by podjąć takie wyzwanie, i nie w każdym przypadku efekt takiego nauczania będzie satysfakcjonujący dla obydwu stron. Co więcej, choć do podjęcia nauki w domu nie jest wymagane specjalistyczne wykształcenie rodzica, może się okazać, iż wystarczy mu wiedzy tylko do pewnego etapu. Edukacja w domu to naprawdę wielkie wyzwanie, wymagające świadomości rodziców odnośnie do ograniczeń swoich i dziecka. W tym wypadku rodzice biorą pełną odpowiedzialność za trud edukacji swojej pociechy.

► Troska o lepszą szkołę

Edukacja w domu nie jest niczym nowym. Zanim wprowadzono obowiązkowy system nauczania, część dzieci, tych z bogatych rodzin, była uczana w domu przez opłacanych nauczycieli – guwernantów. Domowa edukacja nie jest więc wymysłem naszych czasów, choć obecnie przeżywa swój renesans. Nadal jednak homeschooling zdaje się czymś elitarnym i niszowym. Pomimo swych niewątpliwych zalet jest drogi i bardzo wymagający. Z pewnością niedostępny dla większości rodziców. Tym także trudniejszy, im wyższych klas dotyczy, a na pewnym etapie wręcz karkołomny.

National Home Education Research Institute podaje, że edukacja w domu cieszy się coraz większą popularnością, a naukowcy dowodzą, że może przynosić naprawdę zdumiewająco dobre efekty. W USA uczy się w ten sposób ponad 2 mln osób, we Francji ponad 30 tys. W niektórych krajach, jak chociażby w Holandii i Niemczech, jest ona nielegalna, a za wyłamanie się z obowiązku szkolnego grożą surowe kary. W Polsce istnieje w tym względzie wybór i coraz więcej rodziców z tego rozwiązania korzysta. Należy też dodać, że zdecydowana większość uczniów uczących się w domu to dzieci z podstawówek.

Nauka w tradycyjnej szkole bywa niekiedy trudna, może jednak warto zastanowić się, jak uczynić ją łatwiejszą i lepszą? Bardziejindywidualizowaną, nastawioną na rozwój poszczególnego ucznia? Polska edukacja przechodzi ostatnio trudny czas. Niezależnie od tego zawsze warto wspierać dziecko w przekonaniu, że to nie oceny są najważniejsze, lecz ono samo i świat, który je otacza. I pamiętać trzeba też o tym, że wiedza, którą dziecko zdobywa w domu, jest nie mniej ważna – a pod pewnymi względami ważniejsza – od tego, czego uczy się w szkole. ■





Piotr Lisiewicz

Jak Żelazna Pięść Warszawy biła Niemców w Auschwitz

„Jestem dziś mistrzem wszechwag KL Auschwitz... Tak Mateńko, dostałem za to 10 bochenków chleba i 10 kostek margaryny – rozdałem na Gwiazdkę biednym, niech i oni mają. Widzisz, przydał mi się boks” – pisał Tadeusz „Teddy” Pietrzykowski w grypsie do matki. Pewnego dnia w Auschwitz zobaczył, jak pomocnik kapo, uprzywilejowany z powodu kolaboracji więzień, kopie mężczyznę w drucianych okularach. Niemcy licząc na widowisko, zgodzili się, by Pietrzykowski rozpoczął bójkę z nim. Pomocnik kapo dostał dwa mocne ciosy, po których padł na ziemię. Ale wtedy w jego obronie stanął katowany przez niego kilka chwil wcześniej mężczyzna: „Nie bij, synu”. Więźniem, którego obronił „Teddy”, był ojciec Maksymilian Kolbe.

Tadeusz „Teddy” Pietrzykowski przeżywa dziś renesans popularności wśród patriotycznej młodzieży. Powstały koszulki z jego podobizną, jedną z nich nosi dumnie raper Basti, czyli Zbigniew Woźniak, autor piosenki będącej nieoficjalnym hymnem Marszu Niepodległości. Dlaczego obok rotmistrza Pileckiego (który odbierał jego przysięgę w konspiracji w Auschwitz) czy znaku Polski Walczącej pojawił się na nich właśnie „Teddy”?

► **David Haye: nie docierało do mnie, że to wydarzyło się naprawdę**

Starszemu pokoleniu świetny bokser o tym nazwisku owszem, kojarzy się, ale jest to Zbigniew Pietrzykowski, trzykrotny medalista olimpijski i czterokrotny mistrz Europy, walczący na ringu w latach 50. i 60. Tymczasem przydomek „Żelazna Pięść” nadała Tadeuszowi Pietrzykowskiemu polska prasa w latach 30.

W ostatnim czasie powstała o nim książka, czynna jest wystawa w Muzeum II Wojny Światowej (jego dyrektorem jest trenujący boks historyk Karol Nawrocki), hip-hopowy utwór, kręcony jest też film, który premierę ma mieć w 2020 roku. Jego życiorys odnaleźć można na wielu stronach internetowych o sportach walki. W Nidzicy powstał upamiętniający go wielki mural autorstwa Pawła Worobieja. – Teraz jest jego czas. Powstają film i książka o Pietrzykowskim. Wszyscy malują Pileckiego, „Inkę”, „Łupaszkę”, a jego jeszcze nikt nie namalował – tłumaczył autor muralu lokalnej „Naszej Gazecie Nidzickiej”. Pamięć o Pietrzykowskim kultury mają także Polacy na Litwie. W lipcu w Mościskach odbył się międzynarodowy obóz sztuk walki poświęcony pamięci „Teddy’ego”. Przez pięć dni intensywnych treningów uczestnicy obozu zapoznawali się także z historią życia boksera.

W listopadzie 2018 roku do Warszawy przyjechał, dzięki wsparciu Polskiej Fundacji Narodowej, jeden z najsłynniejszych na świecie bokserów David Haye, by nagłośnić historię Tadeusza Pietrzykowskiego. „Ta historia jest nieprawdopodobna, to znakomity scenariusz na film. Pietrzykowski w pełni zasługuje na status legendy. Nie docierało do mnie, że to wydarzyło się naprawdę” – mówił Haye.

Na wyobraźnię patriotycznej młodzieży najbardziej działa historia walk bokserskich, które „Teddy” stoczył w Auschwitz i innych niemieckich obozach. Ona pozostała także w pamięci tych więźniów obozu, którzy przeżyli. „Jeszcze dziś tkwi w nas pamięć o Numerze 77, który bił Niemców, jak chciał” – wspominał pisarz Tadeusz Borowski. Marta Bogacka wydała w 2012 roku książkę „Bokser z Auschwitz. Losy

Tadeusza Pietrzykowskiego”. To za nią podaję większość cytowanych tu wypowiedzi.

► **Bij Niemca w Auschwitz, czyli jeszcze Polska nie zginęła**

Historia bokserskich walk w Auschwitz to opowieść niezwykła i budząca dwuznaczne uczucia. Skąd pojawił się ten pomysł? „Wśród codziennych zajęć bicia więźniów, kapo i blokowi (w większości niemieccy kryminaliści) wpadli na pomysł urządzenia sobie rozrywki” – wspominał Tadeusz Sobolewicz, numer obozowy 23053. Więźniowie mieli być więc kimś w rodzaju gladiatorów, dostarczających wrażeń publiczności. Konsekwencją przegranej mogła być śmierć więźnia.

Kapo w Auschwitz był w czasie wojny niemiecki bokser Walter Dünning, przedwojenny wicemistrz Niemiec, znany z sadyzmu wobec więźniów. Jak powstał pomysł, by więzień numer 77 stoczył z nim walkę? „Więźniowie Polacy, którzy znali Teddy’ego z dużej odporności na ciosy (bo nieraz mimo tęgiego lania od blokowych czy kapo nie załamywał się), zasugerowali mu, czy nie stanąłby do walki z Walterem. Podchwycili to niemieccy kapo i zaproponowali, że dostanie pół bochenka chleba i kostkę margaryny za rozegranie walki z Walterem. Rechotali z zadowolenia, gdy ten propozycję przyjął, bo pewni byli lania, jakie sprawi Polakowi silniejszy i lepiej zbudowany niemiecki kapo. Teddy ważył wtedy 45 kg, a Walter około 70 kg” – wspominał Tadeusz Sobolewicz. Z powodu tej różnicy wagi niektórzy przyjaciele nie chcieli pozwolić mu walczyć. „Bolek Kupiec nie chciał mnie puścić, mówiąc, że Walter połamał już dwóch więźniom szczęki” – napisał we wspomnieniu spisany w latach 70. Tadeusz Pietrzykowski.

Jak relacjonował Teddy, przy rogu kuchni obozowej więźniowie utworzyli czworobok, w środku którego znajdował się „ring”, na którym walczone. W ringu stał Dünning. „Był to blondyn doskonale zbudowany, o potężnej masie mięśni, malutkich oczach i porozbijanych łukach brwiowych. W tym czasie nie było jeszcze w obozie rękawic bokserskich, tylko łapawice. Takież mi podano, więc je założyłem. Wokół dosłyszałem ostrzeżenia, połączone z pukaniem się w głowę: ty, zabije cię, zje cię” – pisał Teddy.

Niemiec robić miał początkowo wrażenie rozbiwionego tym, jak drobny więzień przestrzega przy owej walce bokserskiego rytuału, w tym powitania. Polak wspominał: „W umyśle jak błyskawica przewinęła mi się moja uprzednia kariera bokserska: sylwetka trenera Stamma, pierwsza i ostatnia walka. Wiedziałem jedno – że muszę walkę wygrać. Nie

wiem, kto z nas był lepszym bokserem. Są jednak takie chwile, gdy rzeczy niemożliwe stają się rzeczywistością”.

Gdy Niemiec podszedł do niego z wpeł opuszczonymi rękami, uderzył go lewym prostym. „Zdublowałem cios jeszcze raz i jeszcze raz. Dünning oganiał się ode mnie jak od muchy. Później skontrolowałem go prawą ręką na szczękę. Cios doszedł celu, aż Walterowi odskoczyła głowa” – opisywał pierwszą rundę. Gongiem w czasie walk w Auschwitz był dzwon z placu apelowego. Po nim nastąpiła kolejna runda. „Walter znów poszedł do przodu, tym razem bardziej energicznie. Musiałem więc użyć wszystkich umiejętności technicznych, aby się nie nadziać na cios przeciwnika... Uderzyłem jak zwykle kilka razy lewym prostym, potem poszedłem prawym prostym, następnie lewym sierpem. I o dziwo, cios doszedł. Walter nie zdołał go uniknąć. Czy nos, czy wargę została uszkodzona, w każdym razie pod nosem ukazała się krew nad górną wargą”. W tym momencie Polacy zaczęli krzyżeć: „Bij go, bij Niemca”. Walka została przerwana, a kapo rzucił się w stronę polskich więźniów, bijąc ich. Tymczasem Pietrzykowski czekał, co się z nim stanie. Ku jego zdziwieniu okazało się, że obozowy sadysta na ringu zmienił się w sportowca i pogratiulował mu zwycięskiej walki. Dostał też obiecane pół bochenka chleba i kawałek mięsa.

Sobolewicz wspominał, że walka Pietrzykowskiego, która miała być rozrywką dla Niemców, dla Polaków miała nieprzewidziane przez katów znaczenie: „Kiedy [...] słyszałem okrzyki Polaków-więźniów zagrzewających Teddy'ego do walki, rozumiałem, że tu chodzi o coś więcej. Polak jest w ringu, Polak bije niemieckiego kryminalistę, który wczoraj jeszcze bił i mordował naszych kolegów. Ta atmosfera wokół ringu, ten klimat wśród wychudzonych i zabiedzonych polskich więźniów, to była jakby transfuzja wiary, bodziec dodający otuchy, że przecież »Jeszcze Polska nie zginęła...«”.

Brutalne walki z kapo stały się specjalnością Teddy'ego. Andrzej Rablin tak zapamiętał jedną z walk Pietrzykowskiego z kapo: „Nie widziałem, aby na ringu zawodnik w ten sposób masakrował przeciwnika. Krew z rozbitego nosa, warg i rozciętych brwi zalewała tułów kapo i matę ringu, a walka wciąż trwała. To mogło się zdarzyć tylko w Oświęcimiu”. Najsłynniejszy pojedynek stoczył jednak w sierpniu 1943 roku. Przeciwnikiem był Niemiec Schally Hottenbach – wicemistrz wagi półśredniej. Hottenbacha nazywano „Hammer-schag”, czyli uderzenie młota. W drugiej rundzie Tadeusz zahaczył sierpem szczękę rywala. Niemiec padł na deski. Ile takich walk odbył polski

bokser? W samym Auschwitz miało być ich około 60, w jednym z kolejnych obozów – 20. Żadnej nie przegrał.

► Polaczek nokautuje pomocnika kapo

Jak doszło do spotkania Tadeusza Pietrzykowskiego z przyszłym świętym Maksymilianem Kolbe? Marta Bogacka opisuje to szczegółowo w swojej książce. Pewnego razu bokser zobaczył, jak jeden z Vorarbeitów, czyli więźniów – pomocników kapo, kopie bezradnego więźnia. „Zauważyłem po drugiej stronie drogi więźniów z komanda grodzącego pastwisko. Tam właśnie jeden z Vorarbeitów znęcał się nad jakimś więźniem, który czołgał się na czworakach, a Vorarbeiter kopał go z całych sił. Oglądana scena oburzyła mnie i postanowiłem dać nauczkę Vorarbeiterowi” – wspominał „Teddy”.

Zgłosił się do dowódcy esesmanów i powiedział mu, że chciałby sobie „potrenować” z tym Vorarbeitrem. Niemcy uznali to za okazję do obejrzenia widowiska i wyrazili zgodę. „Mając zgodę SS-manów, podszedłem do Vorarbeitera, pytając go, za co bije więźnia. Vorarbeiter odburknął obraźliwie: zamknij pysk, ty durny Polaczku. Nie byłem mu dłużny i w ostrych słowach kazałem, aby zostawił w spokoju swoją ofiarę. Wówczas oświadczył: chcesz i ty dostać? Przytaknąłem... Vorarbeiter doskoczył do mnie. Uderzyłem go wówczas raz, za drugim ciosem upadł na ziemię. SS-mani zaczęli bić brawa, a zdumieni więźniowie z dalsza, oniemieli, oglądali niezrozumiały dla nich scenę. Po chwili Vorarbeiter wstał, znów doskoczył do mnie, więc po kolejnym moim ciosie upadł” – wspominał Pietrzykowski.

Walka skończyłaby się dla Vorarbeitera o wiele gorzej, gdyby nie interwencja jego ofiary. „Nagle złapał mnie ktoś za rękę, mówiąc: nie bij, synu, bracie, nie bij, synu! Proszący miał na nosie okulary w drucianej oprawie, z których jedno ramię zastępował kawałek sznurka. Z natury jestem porywczy (wtedy pierwszą myślą było stwierdzenie: jaki ja tam twój syn) i głośno powiedziałem: odczep się, odczep się, jeśli nie chcesz ty dostać” – wspominał Pietrzykowski. W końcu jednak błagania nieznanego bokserowi ojca Kolbe przyniosły efekt: „Proszący jednak nie ustępował, upadł przede mną na kolana i chwytając za ręce, błagał: nie bij, synu, nie bij. Zaśmiałem się z niego, stwierdzając: co, lepiej, aby on ciebie bił? Tego proszącego więźnia widziałem wówczas po raz pierwszy w życiu. Jego twarz była jakaś nienormalna: łagodna, dziwnie spokojna. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Zabrakło mi języka w ustach. W końcu machnąłem ręką i odszedłem”.

► „Niech Ojciec pobłogosławi”

O tym, kim był dziwny więzień, którego obronił przed Vorarbeiterem, dowiedział się tego samego dnia wieczorem. Spotkał wtedy księdza Jana Marszałka. Wspominał: „Ks. J. Marszałek, pracownik komanda szewców, jeden z najszlachetniejszych kolegów – był wszędzie, gdzie działa się krzywda. Toteż nie zdziwiłem się, gdy spotkałem ich razem. Podeszedłem. – Jak bardzo boli księdza? – zapytałem. Odpowiedział – Ich, synu, to bardziej boli, niż mnie. I patrzył takimi oczami, jak wtedy na polu. Zacząłem się gubić, chciałem o coś zapytać, powiedzieć, a tu zapomniałem języka i stałem jak urzeczony”. Wtedy ksiądz Marszałek przedstawił ich sobie nawzajem. „Wiesz, »Teddy«, kogo broniłeś? To Ojciec Maksymilian z Niepokalanowa”. Zaś do ojca Kolbe zwrócił się: „Ojcie, to Tadeusz – stary więzień, 1-wszy tarnowski, nie bójmy się o niego, da sobie radę”. Bokser nagle poczuł, że to spotkanie jest szczególne. Wspominał: „Niech mnie Ojciec pobłogosławi, powiedziałem opuciwszy głowę. Co się ze mną potem działo, nie pamiętam, ale coś bardzo dziwnego, niewytłumaczalnego – czego do dziś nie umiem zrozumieć. Na filozofowanie w obozie nie było czasu”.

Ale relacje pomiędzy księdzem i bokserem nadal nie były łatwe. Marta Bogacka pisze: „»Teddy« spotkałszy Kolbego, podarował mu kawałek chleba. Na drugi dzień okazało się, że jeden z więźniów ukradł księdzu chleb. Wzburzony »Teddy« postanowił sam wymierzyć sprawiedliwość złodziejowi, ale i tym razem Kolbe nie pozwolił uderzyć więźnia, mówiąc, że widocznie jemu ten chleb był bardziej potrzebny i dlatego go ukradł”. Ojciec Kolbe dodał: „Jeśli chcesz przychodzić do mnie, musisz opanować swój wybuchowy charakter”. Bokser, który znów miał przy sobie trochę chleba, dał go księdzu. Ale ten na oczach wszystkich przełamał chleb i jedną połowę dał złodziejowi, mówiąc: „On też jest głodny”. Tego już było Tadeuszowi za wiele. „Zarząkał się, że już nigdy więcej nie przyniesie mu chleba. Obietnic tych nie spełnił” – pisze Marta Bogacka.

Pewnego dnia w tej samej alejce, na której spotykał się z ojcem Kolbe, zobaczył żywo dyskutujących więźniów. Dowiedział się, że zakonnik zdecydował się iść na śmierć zamiast innego więźnia. „Nie byłem w stanie zrozumieć tego aktu: nie mogłem pogodzić się z myślą, że już nigdy nie zobaczę księdza Kolbego” – wspominał po latach. Przyznawał, że święty zmienił jego podejście do życia: „Rady i wskazówki, jakie wówczas otrzymałem od księdza Kolbego, były dla mnie niespokojnego usposobienia skutecznym lekiem i są nim do dnia dzisiejszego”.

► „Chuchro może wrzepić cięgi”

Jaka była historia Tadeusza Pietrzykowskiego, zaminał do Auschwitz? Urodził się 8 kwietnia 1917 roku w Warszawie w rodzinie inteligenckiej. Jego mama pracowała jako nauczycielka. Tadeusz był harcerzem, uczył się w gimnazjum, gdzie jego kolegą był poeta Krzysztof Kamil Baczyński.

We wczesnych latach nie był rozrabiaką, zachwycał się jego talentem plastycznym, a jego nauczyciel miał wróżyć mu malarską karierę „podobną do rodu Kossaków”. Sielankowe dzieciństwo zakończyła śmierć ojca w 1927 roku. Po niej rodzina miała kłopoty finansowe.

Już jako nastolatek zaczął interesować się boksem. Trafił do Legii Warszawa, gdzie jego trenerem był legendarny Feliks Stamm, wychowawca wielu mistrzów świata i medalistów olimpijskich. Bokserzy nie cieszyli się w owym czasie zbyt dobrą renomą. Wspominał: „Chodziłem od szkoły do szkoły, nigdzie mnie nie chcieli. Dopiero w gimnazjum imienia Batorego zmieniłem taktykę. Dyrektorowi powiedziałem, że to mój brat boksuje, nie ja. Dzięki temu mogłem spokojnie ukończyć szkołę, a jednocześnie – pod pseudonimem Teddy – kontynuować bokserskie zajęcia”.

Faktem, że boks jest dla niego ważniejszy od nauki, mocno niepokoiła się matka, która powiedziała działaczom klubu, że Tadeusz najpierw musi zdać maturę, a dopiero wtedy zgodzi się na jego treningi. Tymczasem w roku największych jego sukcesów wyrzucono go ze szkoły. Wtedy pomógł mu talent malarski. Wykonywał za pieniądze rysunki dla kolegów... studiujących na ASP. „Tyś mi kiedyś malował, a ja teraz jestem profesorem” – tak jego wsparcie wspominał po latach jeden z kolegów.

W 1935 roku 18-letni Tadeusz wywołał sensację, wygrywając ze starszym i nieporównanie bardziej doświadczonym Antkiem Czortkiem z klubu „Okęcie” – mistrzem Polski i członkiem kadry na igrzyska w Berlinie. Rozgłos uzyskał w 1936 roku, kiedy Legia zdobyła mistrzostwo klasy B i zakwalifikowała się do klasy A okręgu warszawskiego. A w 1937 roku trenowana przez Feliksa Stamma ekipa bokserów Legii zdobyła mistrzostwo Warszawy, Pietrzykowski został mistrzem stolicy w wadze koguciej. Rok później uznany został za najlepszego pięściarza Warszawy. To wtedy gazety nazwały go „Żelazną Pięścią”.

Dziennikarz „Przeglądu Sportowego” pisał o Pietrzyckim w 1939 roku: „Niebieskie, łagodne oczy i niezmacony wyraz pogody mogą zmylić wielu niewtajemniczonych. Pomyśli sobie taki jeden z drużym: ot, chuchro. A tymczasem »chuchro« może

wrzepić takie ciężki, o jakich się wielu nie śniło! I dlatego radzę życzliwie: przyjrzyjcie się państwo fotografii. Jeśli tego młodzieńca o nieskalanej twarzy spotkacie przypadkiem na swej drodze, ustąpcie mu przeżornie miejsca. Leży to doprawdy w waszym interesie”.

We wrześniu 1939 roku Tadeusz jako podchorąży Centrum Wyszkożenia Kawalerii w Grudziądzu uczestniczył w obronie Warszawy. „8 września Tadeusz zgłosił się jako ochotnik do 1. baterii Obrony Warszawy. Bronił się aż do kapitulacji stolicy w dzielnicy Ochota, w której się wychował” – pisze Jakub Twardosz na stronie Bokser.org. Po kapitulacji postanowił wiosną 1940 roku przedostać się do Francji, by wstąpić do formowanych tam wojsk polskich. Miał uprawnienia pilota, więc chciał zostać lotnikiem. Aresztowany został przez Niemców w pobliżu granicy węgiersko-jugosłowiańskiej. Przetrzymany był w więzieniach w Muszynie, Nowym Sączu oraz Tarnowie. „Był przesłuchiwany przez gestapo. Przesłuchania połączone były z torturowaniem: biciem i wieszaniem na drzwiach. W czasie śledztwa »Teddy« nie przyznał się do znajomości języka niemieckiego, którego uczył się w gimnazjum. Zatajenie tego faktu pozwoliło mu przygotować odpowiedzi, zanim tłumacz zdołał przetłumaczyć pytania” – pisała Marta Bogacka w czasopiśmie „Pamięć i Sprawiedliwość”.

14 czerwca 1940 roku deportowany został z pierwszym transportem więźniów do obozu zagłady Auschwitz-Birkenau. „Tadeusz Pietrzykowski jechał w wagonie z grupą więźniów pochodzących z Zakopanego i Rzeszowa. Wśród nich znaleźli się jego późniejsi obozowi przyjaciele: bracia Stanisław i Emil Barański oraz Edward Pyś. Z relacji wynika, że żaden z nich nie wiedział, dokąd ich wywożą. Przypuszczali, że jadą na roboty do Niemiec lub do obozu pracy” – pisała Bogacka.

Opisywała, jaka była reakcja Niemców na to, że więzień miał szkaplerz z Matką Boską: „Jeden z niemieckich kapo dostrzegł na piersi Tadeusza Pietrzykowskiego szkaplerz. Natychmiast go zerwał z łańcuszka i kopnął więźnia w krocze. W tym momencie Pietrzykowski, jak sam stwierdził, z wrażenia nie odczuł żadnego bólu”.

► Po wyjściu z obozu polował na Niemców

Pobyt w Auschwitz, który opisałem na początku, mógł skończyć się tragicznie, bo jego zwycięstwa nad niemieckimi „nadludźmi” przestały się podobać hitlerowskiemu urzędnikom. Ale wtedy życie uratował mu kierownik obozu koncentracyjnego w Neuengamme Hans Lütkemayer. Ów eses-

man, organizujący transporty więźniów z Auschwitz, zaproponował mu wyjazd do obozu Neuengamme. Powód? Przed wojną Lütkemayer był bokserskim sędzią i poznał go w czasie jednego z turniejów.

W Neuengamme Pietrzykowski odbył kolejne 20 walk i żadnej nie przegrał. Pobyt w obozach koncentracyjnych zakończył w obozie Bergen-Belsen, gdy wyzwolili go Brytyjczycy. Po wyjściu z obozu, mając w głowie bezmiar zbrodni, które widział, polował na ukrywających się w okolicy niemieckich zbrodniarzy. Wspominał potem: „Po pięciu latach znalazłem się na wolności, a więźniami byli tym razem Niemcy. Strzelałem do nich. Nie wiem, co we mnie wstąpiło”. Wstąpił do 1. Dywizji Pancerniej gen. Stanisława Maczka. Powierzono mu tam organizację zajęć sportowych wśród żołnierzy.

► „Bokser i śmierć”

W 1947 roku zdecydował się wrócić do Polski. W 1959 roku ukończył studia na AWF w Warszawie. Jak pisze Twardosz, jego życie osobiste było skomplikowane: „W życiu osobistym nie układało się najlepiej – po 9 latach nieudanego małżeństwa postanowił się rozstać z żoną Zofią. Po przyjeździe do Nowego Targu poznał swoją drugą wybrankę serca – późniejszą żonę Iwonę. Rok po ślubie urodził się syn, który zgodnie z tradycją rodzinną otrzymał imię Tadeusz. Po przyjeździe syna na świat konflikty rodzinne zaczęły się nasilać do tego stopnia, że zdecydował z żoną o rozwodzie. Dopiero w trzecim małżeństwie (z Marią) po przeprowadzce do Bielska-Białej zaczęło się układać pomyślnie jego życie osobiste”.

Mieszkał więc w Bielsku-Białej. Pracował jako nauczyciel WF. Żył w zapomnieniu. W pewnym momencie przypomniano sobie o nim, gdy Józef Hen napisał nowelę „Bokser i śmierć”. Na jej motywach słowacki reżyser Peter Solan zrealizował w 1962 roku film fabularny o tym samym tytule. Zmarł 17 kwietnia 1991 roku. Dwa dni wcześniej uczestniczył w uroczystości z okazji Miesiąca Pamięci Narodowej w Muzeum Auschwitz-Birkenau.

14 czerwca 2019 roku przy okazji uroczystości w Auschwitz wicepremier Piotr Gliński wspominał więźnia pierwszego transportu Tadeusza „Teddy’ego” Pietrzykowskiego, pisząc, że w obozie był związany z ruchem oporu organizowanym przez rotmistrza Witolda Pileckiego. – Z takiego to spisu uformowani byli polscy więźniowie Auschwitz – ludzie prawi, ludzie ducha, ludzie wartości – powiedział wicepremier. ■

Podróże zagubionej Kasandry

Magdalena Złotnicka



Eseista Jerzy Stempowski wielokrotnie wysławiał znajomość klasyków literatury jako mającą zastosowanie praktyczne. Na dowód przytaczał anegdotę o młodym człowieku, który musiał kupić konia. Nie mając o koniach bladego pojęcia, przypomniał sobie, jak zwierzę to opisywał William Szekspir. Kierując się tym tropem, nabył najlepszy z oferowanych egzemplarzy.

O powiastkę o koniu przytacza Andrzej Stanisław Kowalczyk („Uśmiech moralisty”, „Zeszyty Literackie” nr 3, 2015 rok). O Stempowskim napisano całkiem sporo, chociażby kilka lat temu w „Magazynie Świątecznym” „Gazety Wyborczej” ukazał się obszerny i – trzeba powiedzieć uczciwie – bardzo ładny literacki reportaż Magdaleny Grochowskiej „Jerzy Stempowski. Zachować przytomność w czasach szaleństwa”.

Ja sama zabierałam się do niniejszego tekstu ze sporą niechęcią. Choć bowiem wiele publikacji Stempowskiego jest świeżych i odkrywczych – na przykład tuż po wojnie potrafił dostrzec w Niemczech ludzi, nie dając się tym samym zaślepić zemście – i, patrząc od strony literackiej, był jednym z ciekawszych autorów „Kultury”, to zarazem niektóre jego uwagi czy poglądy skłaniają do odbioru tego naprawdę utalentowanego eseisty. Szczepnie mówiąc, najchętniej skupiłabym się na tych jego esejach, które poświęcone są podrójom, a resztę bym pominęła. Ewentualnie wspomniałabym o bardzo pięknej miłości do umierającej kobiety i o tym, jak z tą kobietą Stempowski przemierzał Karpaty, a po jej śmierci pisał do jej cienia. Jednak niniejsza rubryka poświęcona jest sylwetkom rozmaitych twórców, nie jest zaś kącikiem recenzji książek dawno zapomnianych. W związku z czym uczciwie będzie napisać o Stempowskim całościowo.

Kiedy myślę o autorze „Esejów dla Kassandry”, paradoksalnie przychodzą mi do głowy pisarze, którzy po II wojnie światowej pozostali w kraju. Wielu z nich przeżywało dylemat, czy ratować literaturę kosztem kompromisów z władzą, czy skazać się na milczenie i pozostać niezłomnym moralnie. Stempowski jako emigrant takich dylematów nie miał, zarazem jednak widać u niego niekiedy – powiedziałabym – chyba zbyt daleko posunięte zrozumienie dla tych, którzy na kompromisy chodzili. Oczywiście nasze oceny komentarzy, jakie o tym, co dla nas jest historią, wygłaszali ci, dla których owa historia była czasami współczesnymi, zawsze trącą pewnym anachronizmem – wiemy więcej, mamy perspektywę tego, co działo się dalej.

► „Wykoczkodanione baby” Nieudana konspiracja

Ale może po kolei. Na świat przyszedł 10 grudnia 1893 roku w Krakowie. Jak podaje Wojciech Karpiński w notach biograficznych zamieszczonych na końcu „Książek zbójcekich”, ojciec eseisty, Stanisław Stempowski – publicysta i działacz masonerii – znajdował się wówczas w Kijowie, w więzieniu śledczym. Ostatecznie skończyło się na wskazaniu przy-

musowego miejsca pobytu nad południowym Dniestrem, tam też – w majątku rodzinnym Szebutyńce – poeta spędził najwcześniejsze dzieciństwo. We wspomnianym już reportażu Magdalena Grochowska pisze, że gdy małemu Jerzemu czytano ten fragment „Ogniem i mieczem”, w którym Bohdan Chmielnicki obserwuje defiladę związanych polskich hetmanów, a Rzeczpospolita „krwawi u stóp kozaka”, mały zaczął gwałtownie płakać. Nawiasem mówiąc, dzieckiem specjalnie zdrowym nie był – cierpiał nie tylko na astmę, lecz także na chorobę Meuniera, której jednym z objawów są zaburzenia równowagi.

W 1897 roku rodzina przeniosła się do Warszawy, tu – jak zgodnie podkreślają wszyscy biografowie Stempowskiego – przez dom przewijała się regulaminie elita intelektualna stolicy: pisarz Stefan Żeromski, prof. Ludwik Krzywicki, Stanisław Posner i Wacław Sieroszew-

Józef Życiński wspomina anegdotę z okresu, gdy Jerzy studiował w Monachium („W krainie ocalałych”, „Rzeczpospolita” nr 166, 2004 rok). Otóż studentom dawano ankietę, w której jedna z rubryczek dotyczyła wyznania. Stempowski wpisał... wolterianin. Co zabawne, kiedy lata później czytał jakieś opracowanie dotyczące socjologii religii, ze zdumieniem odnalazł tam informację, że na początku XX wieku tyle to a tyle Niemców było wyznania katolickiego, tyle a tyle deklarowało się jako wyznawcy poszczególnych odłamów protestantyzmu, zaś jeden był wolterianinem.

Równie interesujący jest epizod berneński. Będąc studentem, Stempowski pracował zarazem w poselstwie tureckim (jako sekretarz posła). Co ciekawe, niedawny „wolterianin” został członkiem gminy muzułmańskiej. Grochowska zaznacza, że podczas okresu pracy w departamencie informacji MSZ-u Stem-

GDY JERZY STUDIOWAŁ W MONACHIUM, STUDENTOM DAWANO ANKIETĘ, W KTÓREJ JEDNA Z RUBRYCZEK DOTYCZYŁA WYZNANIA. STEMPOWSKI WPISAŁ... WOLTERIANIN.

ski. Nie tylko jednak na obcowaniu z intelektualistami polegała edukacja młodego Jerzego. W 1901 roku zaczął pobierać nauki w stołecznej Szkole Zgromadzenia Kupców. Jak pisze Andrzej Stanisław Kowalczyk w nocy biograficznej Stempowskiego zamieszczonej w „Internetowym Polskim Słowniku Biograficznym”, placówka ta charakteryzowała się tym, że rusyfikacja nie przebiegała tam tak intensywnie jak gdzie indziej. Uczęszczał tam przez cztery lata, do czasu powrotu na Ukrainę. Wówczas uczył się w gimnazjum w Odessie. Jakim był młodzieńcem? Cytowana Grochowska zaznacza, że już jako dziecko charakteryzował się swego rodzaju cierpkością obserwacji i zgorzknieniem. Jako ilustrację tej tezy podaje jego refleksje na temat Monte Carlo. Kurort był dla niego „kobyliłm jarmarkiem”, a przechadzające się deptakiem eleganckie kobiety to „wykockodanione baby”.

Z Odessy kolejny raz przeniósł się – tym razem wraz z matką i bratem Hubertem – do Warszawy. Egzamin dojrzałości zdał w Niemirowie. Także w czasie studiów nosiło go z miejsca na miejsce. Zaliczył uczelnie w Krakowie, Monachium, Genewie, Zurychu i Bernie. Od udziału w I wojnie światowej wyłączało go – jak zaznacza Kowalczyk – zaświadczenie o niezdolności do służby wojskowej.

Stempowski pełnił funkcję eksperta od tematyki bliskowschodniej. Jak dodaje, w ramach podróży po krajach Starej Europy zbierał informacje z jawnych źródeł dla krajowego wywiadu.

Zarówno Grochowska, jak i Kowalczyk wspominają epizod związany z misją, jaką Stempowskiemu zlecono w Rydze. Trwały tam wówczas rokowania z Sowietami, a Jerzy miał udawać zagranicznego dziennikarza, którego personalia brzmiały Rajmund Niholm. Z planowanego zbliżenia się pseudodziennikarza do przedstawicieli rosyjskiej delegacji nic jednak nie wyszło – bardzo szybko został bowiem zdekonspirowany.

Zgłosił się na ochotnika do wojska w czasie wojny polsko-bolszewickiej, jego biografowie są jednak zgodni, że raczej nie trafił na front. Od 1921 roku Stempowski przebywał na bezpłatnym urlopie w MSZ, udał się wówczas do Paryża jako przedstawiciel Polskiego Biura Prasowego. Jako dziennikarz obecny był także podczas obrad Ligi Narodów w Genewie. Z ministerstwa odszedł w 1923 roku. Później kontynuował przygodę z dziennikarstwem jako berliński korespondent Polskiej Agencji Telegraficznej. W czasach międzywojnia widoczna jest niechęć Stempowskiego do Sowietów. Grochowska przypo-

mina, że w latach 20. XX wieku dołączył do międzynarodówki antykomunistycznej, jaką był ruch prometejski. Inicjatywa wspierała ruchy niepodległościowe w krajach republik sowieckich.

► Wichuna

Z zagranicznych wojaży powrócił niedługo przed zamachem majowym. Jak zaznacza już cytowany przeze mnie Kowalczyk, w czasie, w którym premierem był Kazimierz Bartel, Stempowski najpierw pracował w Biurze Prasowym, następnie został ekspertem ds. mniejszości i członkiem tzw. małej rady ministrów, później zaś – szefem gabinetu Rady Ministrów. Dymisję złożył wtedy, gdy Bartel odszedł z rządu. W 1931 roku ukazał się esej „Pan Jowiański i jego spadkobiercy”, który właściwie można nazwać po prostu paszkwilem na rządy piłsudczyków. Widać wyraźnie, że Stempowski należał do tych, którzy popierali Marszałka do czasu przewrotu w maju, później zaś – zaczęli go krytykować.

Miedzy rokiem 1929 a wybuchem II wojny światowej Stempowski pracował w Państwowym Banku Rolnym. Cytowany już Życiński pisze, że w tym okresie mieszkańcy stolicy widzieli w nim pana z banku, który „podjął nudną pracę, aby zdobywać fundusze umożliwiające finansową pomoc dla chorej na raka Ludwiki Rettinger – kobiety jego życia”. Choć w jego życiu wcześniej bywały kobiety – w 1919 roku został nawet ojcem bliźniaczek Danuty i Hanny – to właśnie Wichuna – bo tak nazywano panią Rettingerową, żonę Mieczysława Rettingera, krytyka literackiego, publicysty i działacza politycznego – była tą najważniejszą. Jak podaje Wojciech Karpiński, w czasach międzywojennych Stempowski pomieszkował u Rettingerów w domu przy ulicy Flory. Zmagającej się z nowotworem Ludwice Jerzy towarzyszył wielokrotnie podczas wypraw w Karpaty, góry, które ukochała. Niestety, choć bardzo tego żałował, nie był obecny przy jej śmierci.

Marek Klecel („Stempowskiego zapiski dla zmarłych”, „Twórczość” nr 1, 2007 rok) zaznacza, że tuż po wybuchu wojny, gdy chciał wrócić do Ludwiki, dostał nagłego ataku paraliżu. Nieprzytomnego w górach odnaleźli przemysłowcy. Zabrali go ze sobą, a gdy znów stracił przytomność, ocknął się w szpitalu znajdującym się już po węgierskiej stronie granicy. „Leżał tam w absolutnej samotności, a znawstwo ośmiu języków na Węgrzech w głuchej dziurze nie było przydatne” – pisze Klecel. Uratowało go zaproszenie od przyjaciół ze Szwajcarii.

Nie mogąc pogodzić się ze śmiercią Ludwiki, pisał... do niej. „Zapiski dla zjawy”, które w Polsce ukazały się

dopiero w 2004 roku, nie są jednak wspomnieniami o Ludwice, lecz raczej opowieścią o tym, co dzieje się z ginącym w odmętach wojny światem, snutą dla kogoś, kogo już nie ma, choć cały czas wydaje się obecny.

W 1940 roku znalazł się w Muri, w którym to miasteczku spędził kolejne 11 lat. Jego warunki życiowe nie należały do najkorzystniejszych – w pewnym momencie zarabiał na utrzymanie, produkując szczotki. Później przeniósł się do Berna, w którym pozostał do końca życia. Warto zaznaczyć, że między 1951 a 1954 rokiem pracował jako tłumacz dla poselstwa argentyńskiego w Bernie. Właśnie tam po raz pierwszy spotkała go Janina Kościółowska, która wspominała („O Jerzym Stempowskim”, „Zeszyty Literackie” nr 1, 2004 rok), że członkowie poselstwa RP zapowiadali, że spotka kogoś interesującego, razem „mędrca” i „wiecznego tułacza”. Relacjonowała, że odniosła wrażenie, że osobę Stempowskiego – jeszcze wówczas nieznanego – otacza swego rodzaju aura, na którą składają się podziw, szacunek, ale zarazem także chęć przybrania ochronnego kamuflażu składającego się ze zdrowego rozsądku.

► Podróże i „Kultura”

Mimo iż przystania Stempowskiego pozostała Szwajcaria, wielokrotnie podróżował. Po zakończeniu II wojny światowej udał się do Niemiec i Austrii, pod koniec 1947 roku – do Włoch. Swoje impresje zapisywał w formie dzienników podróży. Niektóre z tych esejów były drukowane na łamach „Kultury” Jerzego Giedroycia, z którą Stempowski współpracował od 1948 roku. Swoje artykuły zamieszczał pod pseudonimem Paweł Hostowiec. Od 1954 roku jego teksty ukazywały się jako stała rubryka pod winietą „Notatnik niespiesznego przechodnia”.

Stempowski był przede wszystkim eseistą, jego publikacje są zróżnicowane tematycznie, choć pewne stałe motywy da się wyodrębnić. Jak czytamy na portalu Culture.pl, „jeden z najważniejszych to poczucie historyczności krajobrazu. Obok esejów przywołujących doznania zapamiętane z dzieciństwa (szum rzek we wschodnich Karpatach, odnajdywany potem w Szwajcarii) wymienić tu trzeba przede wszystkim książkę o »ziemi berneńskiej« jako znakomite przykład dogłębnej lektury krajobrazu, pozwalającej na wydobycie historii opisywanych terenów przez pokazanie kulturowego znaczenia poszczególnych elementów (np. platanów jako wyznacznika miast uniwersyteckich)”.

Teksty, w których Stempowski opisuje odwiedzane przez siebie miejsca, należą moim zdaniem do najlepszych w jego dorobku, ale może wynika to z faktu, że pewien bardzo bliski mi człowiek nauczył

mnie, że kiedy jedzie się do jakiegoś miasta, to poza „odhaczeniem” figurujących w przewodnikach za- bytków i muzeów, należy przede wszystkim przejść się po bocznych uliczkach, odnaleźć zaułki nieprze- znaczone dla turystów, zrobić zakupy w osiedlowym sklepiku, jak starczy czasu – pojechać na peryferia, zwiedzić dzielnice mieszkaniowe. Podobne maniere przed stuleciem miał – jak się zdaje – Jerzy Stempowski. Paweł Czapczyk zaznacza („Ostatni taki krytyk”, „Nowe Książki” nr 9, 2013 rok), że Stempowskiego w odwiedzanych miejscach interesowało wszystko: od slangu, jakim posługują się mieszkańcy biedniej- szych dzielnic, przez to, co i jak często się je, i to, co dziś nazwalibyśmy „modą ulicy”, na koncertach mu- zyki poważnej kończąc. W jego tekstach nie brak anegdot, streszczeń odbytych rozmów i czynionych *ad hoc* obserwacji.

Zaś cytowana już Janina Kościółkowska wspo- minała, że Stempowski był ekspertem w obcowaniu z tym, co nazywa się *genius loci*. Jak pisała, „Stem- powski miał w sobie coś z detektywa i eksploratora. Wierzył w związek człowieka z miejscem. Oderwa- nie się od swojego miejsca na ziemi, wykorzenienie przymusowe, jak np. wszelkie wysiedlanie i koloni- zacje, uważał za operację niebezpieczną, najgorszy dopust losu i źródło różnych schorzeń psychicznych”.

Z kolei Marek Zagańczyk („O pisaniu z podróży Je- rzego Stempowskiego”, „Zeszyty Literackie” nr 4, 2007 rok) pisał, że Stempowski miał zwyczaj przygotowy- wać się starannie do podróży. Lubił wiedzieć, dokąd jedzie i czego może się spodziewać. Interesowały go nie tylko własne impresje, lecz także wrażenia in- nych i konfrontacja z tymi wrażeniami.

► „Z mocy prawa, ale nie bez gniewu”

Trudno syntetycznie opisać stosunek Jerzego Stempowskiego do ojczyzny. Z jednej strony nie ule- ga wątpliwości, że szczerze kochał Polskę i z całą pe- wnością był polskim patriotą. Przytaczana już przeze mnie Grochowska podkreśla, że ze wspomnień za- przyjaźnionego ze Stempowskim Józefa Czapkiego wynika, że w 1945 roku Jerzy był głęboko przybity klęską ojczyzny. A kiedy pod koniec życia słuchał, jak jego gospodyni gra Chopina, zerwał się z okrzykiem, że ona czuje „rytm polski”. Z drugiej strony – wielo- krotnie krytykował rodaków i wady narodowe. Cyto- wana wcześniej Kościółkowska wspomina, jak pod- czas rozmowy o ukochanej przez Stempowskiego Huculszczyźnie ktoś zagadnął go o ojczyznę, przy- pominając, że przecież Stempowski jest Polakiem. Wówczas eseista odpowiedział z uśmiechem: „De iure, ale nie sine ira...” [„z mocy prawa, ale nie bez gnie- wu” – przyp. M.Z.].

Mamy więc Stempowskiego jakby dwoistego. Z jednej strony – już w okresie międzywojennym ra- cjonalnie oceniającego zagrożenie, jakim jest Rosja, z drugiej strony – opowiadającego się po stronie Ukraińców w konflikcie, jaki miał miejsce z władza- mi polskimi. „Po pokoju ryskim nastąpiły prześlado- wania Ukraińców i Białorusinów po obu stronach granicy rosyjsko-polskiej. Prześladowania te, równie okrutne, jak absurdalne, uchodziły wówczas za wza- jemne dowody lojalności obu rządów. Każdy z nich podejrzewał drugi o faworyzowanie na swoim tery- torium ruchów narodowych ukraińskiego i białoru- skiego, które mogłyby wywołać zamieszki po drugiej stronie granicy, toteż reagował zadowoleniem na wiadomości o aresztowaniach i egzekucjach dokony- wanych przez stronę przeciwną” – brzmi fragment je- go „Zapisków dla zjawy”.

Podobnie sytuacja wygląda po wojnie. Z jednej strony, kiedy Jerzy Borejsza czynił podchody, by ścią- gnąć pisarza do ojczyzny i – jak pisze Grochowska – w 1947 roku dwukrotnie spotkał się z pisarzem w Szwajcarii, a później w Paryżu i Londynie, by po- tem stwierdzić, że Stempowski wraca do kraju, autor „Zapisków dla zjawy” przytomnie ocenił te działania. „Widać dość jasno, o co mu chodzi. Mój przyjazd był- by powodem do pewnego rozgłosu jako punkt w róż- nych rozgrywkach” – stwierdził w jednym z listów. Z drugiej strony, kiedy w okresie odwilży powstał po- myśl, by Stempowski został redaktorem pisma neu- tralnego politycznie, które miałoby publikować tek- sty autorów emigracyjnych i krajowych, to wydaje się, że pisarz szczerze wierzył, że może to dojść do skutku. Nawiasem mówiąc, wówczas Czytelnik miał opublikować wybór pism Stempowskiego, do czego ostatecznie nie doszło.

Z całą pewnością duży wpływ na to, jak Stempow- ski postrzegał to, co dzieje się w Polsce Ludowej, mia- ła jego korespondencja z Marią Dąbrowską, wielolet- nią partnerką życiową jego ojca, Stanisława Stem- powskiego. Pisarka, znana przede wszystkim z „Nocy i dni”, ale także z „Dzienników”, po wojnie nie potra- fiła – jak pisał Tadeusz Drewnowski w wyborze „Dzienników” – odnaleźć się w ludowej rzeczywisto- ści, a chociaż uważała, że program społeczny komu- nistów jest właściwy – podobały jej się reforma rol- na i oddzielenie Kościoła od państwa – to jednocześnie nie ufała im, ponieważ nie umieli uniezależnić się od Związku Sowieckiego. Nie potrafiła identyfiko- wać się zresztą także z londyńską emigracją, „a nawet z opozycją PSL-owską, gdyż bazują one na interwen- cji Zachodu, której w widocznej perspektywie nie można traktować serio”. W późniejszych latach Dą- browska przyjęła postawę, którą można określić ro- bieniem dla kultury ile się da, ale zarazem zachowy-

wania w miarę poprawnych relacji z władzą. Oczywiście w „Dziennikach” krytykowała komunę bezpardonowo.

► Erudyta i nic więcej?

Świętej pamięci Grzegorz Eberhardt, pisarz i historyk, przypomina, że Stempowski tytułował Marię Dąbrowską „największym autorytetem moralnym” („Tyłko erudyta”, „Tygodnik Solidarność” nr 48, 2000 rok), co jeszcze był w stanie mu wybaczyć, choć sam uważał stwierdzenie za mocno przesadzone. Zdecydowanie mocniej krytykował sądy Stempowskiego o literaturze krajowej, którą Eberhardt nazywał „polskojęzyczną” („tak jak o literatach sowieckich można mówić jedynie jak o pisarzach rosyjskojęzycznych, a nie rosyjskich”). I dodawał, że całkowicie nielogiczne jest sugerowanie – co robił Stempowski – że owa literatura nie się ze sobą jakiegokolwiek wartości moralne. „Po prostu, mówiąc o kondycji ówczesnego świata pisarskiego w kraju, ostatnim zarzutem, jaki można mu stawiać, jest właśnie moralność!” – pisze Eberhardt.

Wypominał ponadto Stempowskiemu niezrozumienie dla doniosłości dyskusji o stosunku do sowieckiej Rosji. Jako przykład przytacza list pisarza do Jana Kota, w którym Stempowski pisze o wojnie między Jeanem-Paulem Sartre’em a Albertem Camusem, zaznaczając, że początkowo usiłował wgrzyźć się w istotę konfliktu, później jednak doszedł do wniosku, że „chodzi o sprawy mogące interesować tylko Paryż”. Tymczasem konflikt wynikał z tego, że Camus odciął się od Sartre’a ze względu na jego stosunek do Rosji sowieckiej. „Czy doprawdy banalna kwestia, jak sugeruje Stempowski, był wybór pomiędzy Moskwą (tą czerwoną) a prawdą, a opowiedzeniem się za wolnością?!” – zaznacza historyk.

Inną zastanawiającą wzmiankę znalazłam na łamach „Twórczości”. Pod koniec lat 90. wydrukowano tam artykuł sygnowany podpisem „Abe” („Dziwna pomyłka Jerzego Stempowskiego”, „Twórczość” nr 11, 1998 rok). Autor zwraca uwagę na dość – powiedzmy sobie szczerze – kuriozalne przemyślenia, jakimi Stempowski dzielił się w jednym z listów. Pisał mianowicie o procesie Anny Rewskiej. Przypomnijmy po krótko fakty. Rewska była członkiem Armii Krajowej, w 1958 roku skazano ją na trzy lata w tzw. zawiasach za kolportowanie „Kultury” Jerzego Giedroycia. Co zaskakujące, w owym czasie wydawnictwo owo było w Polsce dostępne legalnie, chociażby – na co wskazywała obrona – w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego. Chociaż wyrok wydano w zawieszeniu, później nastąpiła – wskutek interwencji samego Władysława Gomułki – jego rewizja, z której wynikało, że Rewska trafi jednak za kraty. Na odczytaniu wyroku

pojawiło się mnóstwo przedstawicieli świata kultury, sztuki, literatury. Wszystkie te ważne osoby, skrzyknięte notabene przez Jana Józefa Lipskiego, swoją obecnością protestowały przeciwko skandalicznemu orzeczeniu. A co o procesie napisał Stempowski? „Dodać, być może, nie zdawano sobie dokładnie sprawy z dwoistości »Kultury«, z jej oblicza literackiego i politycznego. Proces R. zwrócił uwagę na tę okoliczność. W Polsce nigdy nie odróżniano dobrze literatury artystycznej od politycznej, z okazji procesu R. przemysłano tę sprawę. [...] Przypuszczam, że manifestacja, jaka miała miejsce podczas procesu R., będzie ostatnim zjawiskiem tego rodzaju i że wszystkie próby mobilizacji autorytetów literackich na rzecz »Kultury« spotkają się z oporem tych osób, które w tej manifestacji brały udział” – pisał 18 sierpnia 1959 roku. Jak wyjaśnić takie zaskakujące stanowisko? Nie wiedział, co naprawdę dzieje się w kraju? Dotarły do niego relacje przekręcone i wypaczone? Czy też rzeczywiście oddzielał politykę od literatury ostrą linią, nie rozumiejąc, że ta pierwsza częstokroć warunkuje wolność tej drugiej? Trudno dziś jednoznacznie orzec. Wspomniany „Abe” zaznacza, że „Stempowski co bardzo wierzył Marii Dąbrowskiej, a już jego liczenie się z poglądami na tematy aktualne [Jana – przyp. M.Z.] Parandowskiego zakrawa na dużą wprost naiwność!”.

Z kolei Grochowska wspomina, że pisarz ze zgorznięciem przyjął oceny, jakie po śmierci Juliana Tuwima pojawiały się w londyńskich „Wiadomościach”. Prosił wówczas Giedroycia o uczciwe pożegnanie poety, podkreślając, że wiersze na cześć Stalina „charakteryzują nie twórczość, ale stosunki, więc nie mają znaczenia. Otóż mają: może nie dla oceny poezji, lecz poety jako człowieka – z pewnością. To już mój komentarz.

Przy tym wszystkim jednak Stempowski ma nieocenione zasługi w krzewieniu kultury, w tym w uświadamianiu znaczenia tradycji antycznej. Był też bez wątpienia wrażliwym, przesiąkniętym głęboko ludzkimi odruchami człowiekiem – nienarzucającym się, nieumiejącym walczyć o swoje. Zarazem jednak prawdopodobnie ów daleko posunięty humanizm sprawiał, że nie potrafił zdiagnozować tych momentów historycznych, które wymagały ostrych sądów i ostrych ocen. A może brało się to z faktu, że czuł się bezsilny wobec historii? Dziś na to pytanie trudno odpowiedzieć. I chyba – odpowiedzi na nie szukać nie warto. Wkład Stempowskiego w polską eseistykę z całą pewnością należy doceniać. Pisarz zmarł 4 października 1969 roku w Bernie. W 1994 roku jego prochy sprowadzono do Polski. Spoczął na warszawskich Powązkach. ■

Autorka jest pracownikiem Polskiego Radia SA.

POLACY NA KRAŃCACH ŚWIATA. KAJAKIEM DO INDII



Agnieszka Kowalczyk

„Kiedys byłem także człowiekiem pocziwym i statecznym, dopókim nie zwariował. [...] Nieostrożny zażyłem śmiertelną dawkę włóczegostwa i zginąłem” – tak oto pisał o sobie w debiutanckiej książce „Kajakiem do minaretów” (1935) Wacław Korabiewicz – pierwszy włóczęga II RP, globtroter z powołania, miłośnik kajakarskich wypraw, autor dziesiątków reportaży podróżniczych z przeróżnych zakątków świata, poeta, twórca powieści, opowiadań i wspomnień, a do tego lekarz okrętowy i kolekcjoner eksponatów etnograficznych.



Źródło: Arch. z książki W. Korabiewicza *Kajakem do mizantropów*

Zycie pełne przygód Wacława Korabiewicza zaczęło się od Akademickiego Klubu Włóczęgów Wileńskich, który założył w 1923 roku z kolegą Teodorem Nagurskim dla studentów Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Tej elitarniej organizacji młodzieżowej patronowała myśl o samodoskonaleniu intelektualnym, budzeniu energii do czynu i niebanalnym spędzaniu wolnego czasu pod hasłem „Humor z pracą, praca z humorem”. Do najbardziej znanych osobowości, które zapisały się w szesnastoletniej historii klubu, należeli m.in. Czesław Miłosz („Ja-yo”), Paweł Jasienica („Bachus”), Teodor Bujnicki („Amorek”) i Stefan Jędrzychowski („Robespierre”). Prawdziwym żywiołem „włóczęgów” były podróże w nieznane – pieszo, kajakem, rowerem, na nartach, bliższe lub dalsze wycieczki za miasto bądź zakrojone na szerszą skalę wyprawy do obcych krajów. Każda forma turystyki znajdowała aprobatę u członków działającej przy klubie sekcji ZNAJ – Zmarnowanej Niedzieli Ani Jednej, wśród których prym wiódł Wacław Korabiewicz, organizujący coraz to nowe wypadki kajakarskie, w tym podróż z Polski do Stambułu (1930).

Niesyty ekstremalnych wrażeń, już po czterech latach podjął się kolejnej wyprawy, tym razem z Polski do wód Gangesu. Celem stały się Indie, do których płynął kajakem wraz ze swoją równie nieustraszoną towarzyszką życia – żoną Janiną Haazówną, zwaną przez niego Pimpą. Wspomnienia z tego orientального szlaku opisał później w książce „Żaglem do jogów”.

► Przedsmak ciepłych krajów

Wielka, egzotyczna podróż na Wschód rozpoczęła się od małej, leżącej nad rumuńską granicą stacji Śniatyni – Żalucze. Wsiadłszy wraz z kajakami zwanymi „Pacyfistą” i załadowawszy go na chłopską furmankę, Korabiewiczowie przeprawili się przez tamtejsze błota wprost nad brzegi mulistego Prutu. „Klamka zapadła – oznajmił Wacław – płynie w świat maleńki kajak: nasz dom, nasze wszystko”.

Rzeka Prut miała swoją duszę. Płynących ujęła nieskalaną zielenią bujnej roślinności, „tęczą mieniących się ważek” i kwiatów, aromatem „miękkich szczotek najeżonego tataraku”. Za każdym zakrętem wylinało się coś nowego, niespodziewanego – a to stary młyn kryty słomianą strzechą, a to czaple brodzące na słonecznej mieliźnie, to znów pochylone nad rzeką płaczące wierzyby. „Zahipnotyzowani otaczającym nas pięknem [...] wchodzimy w nowy, jeszcze niewidziany świat, płyniemy godzinami, milcząc, wsłuchani w inne głosy, głosy ciszy” – opisywał swe przeżycia kapitan najmniejszego statku świata.

Po pierwszych radościach i uniesieniach, przyszedł czas na doświadczenie trudów żeglugi. Mimo iż co-

dzienną strawą podróżników wciąż było „słońce popijane powietrzem i doskonałym ciepłym jeszcze mlekiem”, to nie obyło się bez mniej i bardziej przyziemnych trosk i kłopotów, jak choćby nieustanna walka z lepiącym się do ciała brudnym mułem rzecznym. Postawienie bosej stopy na brzegu groziło natychmiastowym ugrzęźnięciem w „okropnym, czarnym »śniegowcu« błota”. Otoczeni zewsząd morzem „lepkiej kaszy” musieli nocować w kajaku. „Nie powiem, ażeby w łodzi było wygodne posłanie! – śmiał się Korabiewicz – szczególnie pierwsze dni dały się nam we znaki, dopóki nie dopasowaliśmy kształtu własnych kości do wygięć kajakowych żeber”. Zaciszny i swojski kajak był zarazem sypialnią, jadalnią i garderobą. Stół tworzyły dwie deski mieczowe, przykryte białą serwetką, z nieodłącznym kwiatem słonecznika, bez którego nie wyobrażali sobie żadnego posiłku. Stale jednak musieli mieć się na baczności, bo prąd w górze Prutu był bardzo silny, a najeżona krzemieniami ławica groziła „zmasakrowaniem” dna łodzi. Mierzenie się z kapryśną rzeką wymagało zatem prawdziwych akrobacji z użyciem wiosła i steru, który w końcu pękł przy zderzeniu z kamienną mielizną i „został ku wiecznej rzeczy pamiętce na dzień wartego Prutu”.

Na dłuższy odpoczynek zatrzymali się w Tulczy, kilkadziesiąt kilometrów od Morza Czarnego. Zaskoczyło ich to, że zamiast Rumunów, byli tu „sami tylko moksiewscy wieśniacy z brodami po pas i włosami à la Tołstoj z Jasnej Polany. Kolorowe jedwabne kosoworotki, rubaszki haftowane i podpasane sznurem. Długie, dziegiem śmierdzące buty, a na nich wyrzucone fałdy kozackich hajdawerów i czysty, najczystszy ruski język [...]. Słowem, miasteczko żywcem przeniesione z Priwołża, Tuły czy Riazania”. Słoneczna pogoda sprzyjała temu, że na romantycznie i średniowiecznie wyglądający rynek miejscowi wylegli w barwnych, satyną lśniących koszulach, zasiadając przed kawiarnianymi stolikami i pijąc czaj nalewany z malowanych w różę imbryków. I aż trudno uwierzyć, że gdy nagle lunął deszcz i rozpoczęła się sztormowa ulewa, ci sami staroświeccy brodacze, „już bez butów, na bosaka i z podwiniętą koszulą wypalując swoje krzesła, beczulki, kosze i ręczniki” z placu, na którym w okamgnieniu utworzyło się kwadrato- we jezioro.

► „Pacyfista” na polu walki

Pożegnawszy Tulczę, wpłynęli do krainy ryb i ptaków, posuwając się jedną z odnóg delty Dunaju, która prowadziła wprost do olbrzymiego jeziora Razin. Przed nimi „rozlatany, rozgwarzony, świergocący świat nieba”. Poranek na limanach kazał wsłuchać się w radosny hymn tysięcy trzepocących skrzydeł. Posuwali się bezszelestnie wśród gigan-

tycznych trzciny, plosząc dziobem łodzi chmury dzikich kaczek, geśi i niezdatnych czapli. Zanurzeni w nocnych ciemnościach, obierając za swoje przewodniczki gwiazdy i migocące światło latarni, wpłynęli na Morze Czarne. Wyczerpani męką wiosłowania zatrzymali się na piaszczystej wydmie. W oczy zaglądał im głód. Zjedli już ostatni kawałek chleba, nie mieli też cukru ani herbaty. Pimpę zaczęła palić gorączka, trzęsła się w konwulsjach, była półprzytomna i prosiła o wodę, która już się skończyła. „Patrzę na nią z przerażeniem – opowiadał Wacław – kajak, w którym leży, wydaje mi się trumną. Siadam obok [...] i lży jak groch wielkie toczą mi się po policzkach. Zalamuję się psychicznie. Bo i cóż mam teraz zrobić? Bez lekarstw, bez jedzenia, ba, nawet bez słodkiej wody [...]. Jesteśmy zgubieni w tej pierwotnej, dzikiej przestrzeni”. I tak mijały kolejne godziny. Nagle, ku wielkiemu zdziwieniu i nieopisannej radości, Pimpa wstała ze swojej „trumny” i najspokojniej w świecie powiedziała: „Chodź. Płyniemy dalej”. Potem dopiero Korabiewicz dowiedział się od rybaków, że grasowała tam malaria.

Zabrali się więc do wiosel i choć płynęli cały dzień, ludzkich siedzib nie było widać. Dopiero wieczorem dostrzegli w oddali jakąś rybacką łódkę, a obok trzcinowy szalas. Była woda pitna i olbrzymi kocioł zupy! Wkrótce gospodarz tego przybytku, poczciwy brodaty rybak, poczęstował niespodziewanych gości, krojąc grube pajdy chleba i podsuwając dopiero co zerwane winogrona. Z niemalym zdziwieniem słuchał opowieści Korabiewicza, „kiwał z politowaniem głową i myślał: »wariat«”. Nie mógł przecież uwierzyć, że ta wyprawa na drugi koniec świata była całkowicie bezinteresowna. Nie miał też pojęcia, co to jest Szanghaj i gdzie on leży.

Nazajutrz w jak najlepszych humorach obrali kierunek na port Konstanca. Minąwszy jednakże skalisty cypel Midiah, zupełnie niespodziewanie zaatakowani zostali przez olbrzymi, brutalnie napierający wał wodny, który porwał im żagiel i omal nie zatopił łodzi. I tylko dzięki zimnej krwi Wacława, który skoczył w wir wody i roztwarzając fale, pochwylił namokłe płótno, byli uratowani. Zaledwie jednak żagiel poszedł w górę, a już przed płynącymi wyrosła nowa przeszkoda – ostry wiatr bajdewind miotał kajakiem jak pudełkiem od zapalek, a w pobliżu portu pięciometrowe fale z wielką siłą biły o betonowe nadbrzeża. Choć woda przy molo niemal wrzała, udało się dokonać mistrzowskiego zwrotu kajaka i po odtańczeniu »żeglarskiego »matelota«, znękany „Pacyfista” zwycięsko wpłynął do portu. Sztorm szalał. Pół godziny później rozbila się tu olbrzymia łódź motorowa. Spienione bałwany targaly to rufą, to dziobem, aż w końcu pękł łańcuch kotwiczny i motorówka wpadła na skały. Załoga rozpaczliwie szukała ratunku w morzu, a świadkowie katastrofy rzucali rozbity

kom sznury i pokrwawionych wciągali na kamienną balustradę. W tych warunkach dobiecie do portu było nie lada wyczynem polskich żeglarzy, dla których walka z żywiołem ostatecznie się nie skończyła...

Po opuszczeniu Konstancy, która naszym żeglarzom wydała się miastem bez wyrazu, jakimś konglomeratem Wschodu i Zachodu, skierowali się na cypel Kaliakra, będący w odczuciu Korabiewicza jednym z najpiękniejszych miejsc na Ziemi. Ujmował widokiem wyrastającej z morza i pnącej się ku niebu skały, z której wystawały kamienne łuki i maczugi nawisłe nad wodą. Tu swe niezgłębione czeluści otwierały ciemne, nieznanne groty. Malownicza Kaliakra kryła w sobie tajemnicę sprzed wieków – płytę grobową, obok której widniał samotny krzyż i dwie ikony, w tym jedna bardzo cenna, bizantyjska, malowana na drewnie. Ponoć był to grób św. Mikołaja – „tu leży pochowany ten dobry, siwy staruszek, którego oczekujecie na Boże Narodzenie. Stąd, z Kaliakry, przychodzi on do was w noc wigilijną i nie sie jodelki...”.

Pokonywanie kolejnych mil rodziło w końcu wstręt do wiosła: bolała niemal każda kosteczka, dokucał każdy mięsień, w głowie mąciło się i luczało, wprost padało się ze zmęczenia. Na szczęście natura objawiła swe łaskawe oblicze i zesłała baksztąg, pomyślny wiatr, dzięki któremu, przecinając Zatokę Warneńską, mogli dotrzeć nad brzegi Bułgarii. Sztorm dopadł ich, gdy usiłowali wyrwać się z kolonii Monastyr st. Constantin, podwarneńskiej miejscowości kuracyjnej. Na bułgarskie okrzyki: „Mole wam! Mole wam!”, kapitan Korabiewicz chwycił czym prędzej za wiosło i siedząc okrakiem na ogonie kajaka, rwał naprzód ile sił. Uderzony murem wody tracił na chwilę równowagę, ale nie wypuszczał wiosła z rąk i przeskakiwał szczęśliwie jedną przeszkodę za drugą. Tymczasem Pimpa dopłynęła do łódki i zabrała się ostro do wychlustywania wody. Za chwilę mknęli już ku latarni morskiej Emineh. Groźne, burzowe chmury ścigały ich zawzięcie, wzmacniały się grzmoty i błyskawice, morze przybierało fioletowo-czarną barwę. Wszystkie znaki na niebie i ziemi zwiastowały szkwał. Czy zdążą dobić do brzegu? Wiatr stawał się coraz silniejszy, morskie grzywacze chlustały niemiłosiernie. Nagle pękła metalowa linka od steru, kajak przechylił się groźnie w bok, a wielka woda zalała pokład. Korabiewicz zdał sobie sprawę z powagi sytuacji, lecz o dziwo... morze uspokoiło się, bo szkwał jak szybko przyszedł, tak i szybko minął.

► Rajske wywczasy i zbrodnia szpiegostwa

Przed ocalałymi otworzyły się teraz wrota do „kran Mahometa” – cieśnina Bosfor ze swymi białymi latarniami, które górowały nad krawędzią przepaści. I tak ku swej największej radości dobili do Stambułu,

a dokładniej do przystani sportowej „Galata Seraj”, która miała swą siedzibę w dawnym pałacu baszy, w miejscu niesamowitym i na wskroś egzotycznym, z olbrzymimi, barwnie malowanymi salami, z szerokimi schodami i gankami ciągnącymi się aż do Bosforu. Na lazurowe wody spychało się tu regatowe czwórki i scullingi. Sam „Pacyfista” wnoszony był do pałacowych wnętrz na ramionach kilkunastu sportowców, a przed jego szacowną załogą zgodnie ze wschodnim obyczajem stawiało się filiżanki tradycyjnej tureckiej kawy. W klubowym holu rozpoznał Korabiewicz jedwabną banderę Akademickiego Klubu Włóczęgów Wileńskich, którą zostawił tu przed trzema laty. Sam Stambuł od tego czasu bardzo się zmienił – brak mu dawnego nastroju, „brak orientalizmu”, wszystko uległo sztucznemu zeuropeizowaniu: „cyklistówki na miejsce dawnych fezów, kapelusze zamiast turbanów, krzesła zamiast pufów, papierosy zamiast nargilów. Tylko sprzedawcy wschodnich owoców jak dawniej romantycznie podśpiewują na podwórkach prywatnych domów i roznosiciele kawy jednakowo dzwonią filiżankami. Ulice Stambułu zszarzały, spowszechniały, stopiły się we wspólny banal. Znikły prywatne cmentarzyki przy chodnikach miasta. Drobne meczety zabudowano nowoczesnymi drapaczami, a wiele starożytnych ruin rozwiało się w proch”.

Morze Egejskie witało ich natomiast wspaniałą pogodą. Wokół kojąca cisza, słońce i wyspa, przypominająca jakąś „małą Fudzi-jamę”, z której krateru buchał bukiet kipiącej zieleni. Wraz z malowniczym jeziorkiem, piaszczystą plażą i mnóstwem różnobarwnych palm tworzyło to iście rajska zakątek. „Woda zastygła w nieruchomą, szklaną, seledynową taflę [...], perłowa macica rozsianych na dnie muszli tęczowo mieni się w słonecznym odbiciu i czeredy ryb: płaskie, szerokie, fosforyzujące barwami najeżonych skrzel. Srebrzą się, złocą, wesoło, rozrutnie – bachanalia beztroskiego, radością przepełnionego życia [...]. Taki był nasz raj, z którego w końcu samiśmy siebie wygnali”.

Los jednak bywa zmienny, a kolejny dzień, szczególnie w podróży, nieprzewidywalny. Tak też było z naszymi zdobywcami mórz, którzy dotarłszy na nadbrzeże Foça, ku swojemu największemu zaskoczeniu zostali... aresztowani. Okazało się, że nieświadomie znaleźli się w zakazanej strefie wojennej, gdzie zabronione było surowo lądowanie bez przepustki. Po tym, jak u kapitana „Pacyfisty” znaleziono lornetkę i aparat fotograficzny, rzecz można *corpus delicti* zbrodni szpiegostwa, w urzędzie policyjnym spędzili trzy włokące się w nieskończoność dni, po czym przetransportowano ich do aresztu w Izmirze. I tylko dzięki wyrozumiałości komendanta i pomocy konsula francuskiego udało się im wybrnąć z tak poważ-

nych tarapatów. Aby jednak bezpiecznie przedostać się przez militarną zonę, zmuszeni zostali podróżować statkiem kursującym pomiędzy Stambułem a Mersinem, po brzegi wypełnionym tureckimi żołnierzami. Gdy układający się do snu Wacław, zaintrygowany tajemniczymi odgłosami, zszedł na międzypokładzie trzeciej klasy, jego oczom ukazał się taki oto widok: „umundurowane bractwo w porozpinanych kurtach leży pokotem pomiędzy skórą kawonów i słucha. Pośrodku siedzi czworo młodych i wyje monotonny rytm, jak zakłęcie węzowe, jak kołysankę wiedzmonwą bez końca. Śpiewają na przemian z przy-mrużonymi oczami, kiwając sennie głowami. Pasuje ten motyw do tła. Jedyny żółty płomyk maleńkiej lampki migoce na rozrzuconych kłamrach żołnierzy. Ot coś z »Zaporoża«, coś z tatarszczyzny”.

Wodowanie „Pacyfisty” odbyło się w sposób nader uroczysty: żołnierze zegnali polską załogę przyjaznym machaniem dłoni, kapitan salutował z mostku, a nasze wilki morskie spuszczały się po linie na pokład kajaka, zaopatrzone w podarowane im na drogę puszki papryki i butelkę cypryjskiego wina. Wreszcie byli panami samych siebie i obierali kierunek na Syrię. Miasto portowe Aleksandretta, do którego dotarli, było piękne i zadbane, chodniki wyłożone taflami betonu, oko cieszyły skwerki z klombami i mnóstwem świeżo zasadzonych palemek. Syryjczycy byli życzliwi i gościnni, zapewniali, że „już dawno minęły czasy beduińskich rozbójników”, i dali gwarancję bezpiecznej podróży przez ich kraj. „Pacyfista” został z namaszczeniem złożony na dachu autobusu, a jego załoga zasiadła na honorowych miejscach obok szofera, by ruszyć przez syryjską pustynię do Aleppo, jednego z najstarszych miast świata. To miasto-forteca ze starym tureckim fortem o zębatych murach, „ponurych oczach strzelnic”, szerokiej i głębokiej fosie „absorbującej, wchłaniającej, prowadzi w atmosferę bajki”. Położone nad rzeką Kuajk wykwita na piaskach pustyni niczym wyteśkniona oaza wabiąca lasem palm i bujną roślinnością. To tu właśnie, w 1850 roku, Arabowie urządzili rzeź chrześcijan, którym z pomocą przyszedł Murat Pasza – polski generał Józef Bem. W Aleppo Korabiewicz po raz pierwszy oglądał arabskie sukki, czyli typowe dla wschodniej kultury bazyry mieszczące się w szerokich ulicach, nad którymi wysoko rozpięte materiały układały się w łaciaty dach. Wszędzie roilo się od natrętnych malców wyciągających ręce z okrzykiem: „Bakszys! Bakszys!”. To oni zaprowadzili Wacława do bardziej ekskluzywnych sklepików ze starożytnościami przypominającymi sezam czterdziestu rozbójników, który krył w swym wnętrzu kunsztowną biżuterię i kamienie szlachetne w starych wschodnich oprawach. Miejsca te miały swój specyficzny klimat, „pewien szlachetny

nastrój, umiar estetyki i smaku, a siwobrodzi szejkowie-właściciele nie narzucali się, nie reklamowali towarów, tylko błyszczącym okiem znawcy milcząco przenizywali rozłożone na dłoni cacka”.

► Wśród czterdziestu rozbójników

Podczas żeglugi przez błotnisty Eufrat mijalo się monotonne, pustynne krajobrazy, daktylowe plantacje i małe palmowe wysepki, a wszędzie uderzał niewyobrażalny prymitywizm form tubylczego życia. Ludy znad Eufratu nie znały pieniędzy, kwitł tu jak przed wiekami handel wymienny. Spragniony chleba podróżnik z Polski otrzymał od umorusanych Arabek podpłomyki zwane „chobys”. Tamtejsze kobiety były ładne, choć niesłychanie brudne i oszpecone tatuażami, nosy miały podziurawione kolczykami, malowały się karmionową obwódka dookoła oczu, dłonie, paznokcie i brody barwiły na rudo. Z czasem na Eufracie robiło się coraz tłoczniej. Po dotarciu do celu obstarpi ich ciekawscy Arabowie, a jeden z nich zaprosił w gościnę do tamtejszego shejka. Tam otrzymali „czarną jak smoła” kawę, którą wszyscy zasiadający w kręgu pili jeden za drugim z tej samej filiżanki. Pewien nauczyciel angielskiego Selim Abdul Hussein ostrzegł Polaków przed niebezpieczeństwami czyhającymi na białych ze strony Beduinów, dla których „każdy, kto w polu, ten nieprzyjaciel”. Radził więc, by nie nocowali w polu ani na odludziu, a zatrzymawszy się w jakiejś osadzie, zawsze pytali o miejscowego shejka, bo „żaden mahometanin swemu gościowi krzywdy nie uczyni”.

Mając na względzie przestrogi Selima, płynęli dalej z duszą na ramieniu. Nocami czuwalni na przemian, a gdy któregoś razu trafili na beduińskie namioty, odszukali przywódcę tego na pół dzikiego ludu, zwracając się doń ze słowami: „Ana, thaiffak oh sheik!” (Jesteśmy twoimi gośćmi, shejku). Ten zaś odpowiedział: „Halbatt halil” i kazał iść za sobą do dużego jak hangar namiotu, gdzie paliło się ognisko i kilku starców składało ukołn napływającym do środka Beduinom, którzy, uzbrojeni w noże, wyglądali na czterdziestu rozbójników z „Baśni tysiąca i jednej nocy”. „Siedzimy vis-à-vis shejka i owych starych brodaczy – opowiadał Korabiewicz – [...] coś do nas mówią, tłumaczą na palcach. Najstarszy, widocznie ojciec shejka, wpada w złość, aż mu się w wściekłości kły świecą. Gniewa się, że go nie rozumiemy. Dookoła ognia robi się tymczasem ciasniej. Pijemy czaj. Wreszcie przynoszą wielką misę pełną jakichś rozmoczonych w kapuścianym sosie blinów [...]. Nie wiemy, jak jeść – nie ma ani łyżki, ani widelca [...]. Pimpa także siedzi jak ogłupiała, więc sąsiadujący z nią starzec bierze oczekującą liść kapusty i wkłada go w półprzymknięte usta Pimpy. – Kois, kitir kois!

– zasmakali wszyscy z uznaniem”. Gdy misę sprzątnięto, rozpoczęła się zabawa w pierścień. Młodzi Beduini poklekali obok siebie, osłonięci szerokim płaszczem utrzymanym w zębach, ponad który wznosiły się tylko iskrzące, czarne żrenice. Szejk zdjął z palca swój złoty pierścień, podał go któremuś z nich i rozpoczęło się zgadywanie, kto ma bezcenny klejnot. Przed beduińskimi chłopcami przycupnął w lamparce pozie, gotowy do skoku starzec – „wyciągnął przed siebie ramiona i krogulczo nastawił szpony. Zrywa się nagle, to znów przysiadła. Przypada twarzą w twarz do graczy. Zgięty wpół tupie piętami i opętańczo krzyczy. Błady strach padł na otoczenie. Co to? Kogo zarzynają? Zwariował? Dlaczego tak wrzeszczy?”. Korabiewicz nie mógł dociec przyczyny tego szaleństwa, gdy ten jak opętany biegał od gracza do gracza, przystawiał swój suchy palec do kolejnych nosów, wrzeszczał, piszczał, chrząkał na całe gardło, aż w końcu z jego ust wyrwał się przerażający okrzyk: „Daj!”. Posiadacza pierścienia zdradził lęk. Stary Beduin po mistrzowsku odegrał swą rolę, a przedstawienie, które wyreżyserował z talentem, było przepłynięcia kajakiem połowy świata.

► „Każdy raj trzeba zdobyć”

W Boże Narodzenie dotarli tam, gdzie Tygrys łączył się z Eufratem, i zanocowali w miejscu zwanym Shat al-Arab, a więc w biblijnym raju. Wieczere wigilijną spożyli wśród urokliwych bukietów daktylowych palm, na puszystej łące „pełnej żywotnych soków zaczerpniętych hojnie z obu wielkich rzek”. Pimpa rozłożyła biały obrus, a na nim wigilijne potrawy – rybną zupę, sardynki, ryż z roszkunkami, daktyle, pomarańcze, granaty, smażoną rybę, chobys (chleb arabski) i herbatę z cukrem. Byli zupełnie sami, a przed nimi srebrzyła się szeroka wstęga Eufratu. „Wszystkie nasze wysiłki warte są tej jednej nocy w raju!” – myślał Korabiewicz, wiedząc, że „każdy raj trzeba zdobyć”.

W Basra nocowali na barce z daktylami i tam też dowiedzieli się, że podróż kajakiem przez Zatokę Perską jest niemożliwa ze względu na całe zastępy grasujących tam piratów. Nie mieli więc wyjścia i dalej przez dwa tygodnie podróżowali bogato rzeźbionym „owocowym żaglowcem o przedpotopowych kształtach”, w towarzystwie sympatycznych Hindusów z Lahore. Spuszczeni w końcu na wody osłonięte skalnymi cyplami – Piszkan i Nuh, płynęli wzdłuż bezludnych i dzikich brzegów Beludżystanu. Wreszcie nowa przestrzeń z wystrzelającą stożkowatą kopułą bramińskiej świątyni. To bajecznie kolorowe Indie! „Żaden kraj nie wytrzyma z nimi konkurencji. Turbany: żółte, czerwone, niebieskie; szale: różowe, błękitne i lila – zachwycał się Korabiewicz – przejrzyste

muśliny i ciężkie, szczerem złotem haftowane jedwabie spleły się tu w mozaikę barw – pstrą, lecz nierzazą, jaskrawą, lecz przedziwnie piękną i harmonizującą z tłem otoczenia”. Każdy Hindus miał na sobie coś błyszczącego i brzęczącego, nawet ci w łachmanach nosili na stopach srebrne lub złote obrycze. W kobiecych nozdrzach pobłyskiwały kolorowe kamiki. Hinduska w jednym uchu potrafiła zawiesić nawet dziesięć dużych kolczyków. Ozdoby te dla ich właścicieli ważniejsze były od chleba, ryżu czy wody, stanowiły bowiem o statusie społecznym, a zarazem „tworzyły charakter kraju, jego duszę, jego wyraz”.

Pierwsze śniadanie w Indiach to kruche ciasteczka o smaku papryki „piekającej podniebienie, język, przełyk, żołądek, kiszkę i duszę”. Pierwszy odpoczynek to nocleg w hotelu bez sufitu, z gotyckim, podpartym krokiewiami dachem, przez który widać rozgwieżdżony firmament. Pierwszym zaś gościem był przystojny młodzieniec Hussein, syn najbogatszego w mieście kupca daktylowego, który zjawił się w pokoju Korabiewiczów z tacą pełną pomarańczy i daktyli jako znaku hinduskiej życzliwości.

Odtąd rozpocząć się miała wielka wędrówka polskich poszukiwaczy przygód po kraju pełnym tajemnic, paradoksów i niespodzianek, naznaczonym olśniewającym pięknem i zadziwiającą brzydotą, misterną sztuką i irytującą tandetą, po kraju, którego symbolami były maharadża, joga i kobra, Gandhi, Nehru, Tagore i Anna Besant. Korabiewiczowie mieli więc gościć na hinduskim weselu, obejrzeć prawdziwego sadhu – pustelnika zamieszkałego w ogromnym pniu stuletniego drzewa, przeprawić się przez Indus, balansując swym kajakiem pomiędzy ludożerczymi krokodylami, popłynąć też malajską pirogą, wreszcie zjeść obiad w kipiącym bogactwem pałacu najprawdziwszego maharadży i poznać mądrość jogów żyjących z dala od ludzi nad Gangesem, u stóp Himalajów.

W swojej książce „Żaglem do jogów” Korabiewicz okazuje się niezrównanym gawędziarzem i obieżyświatem obdarzonym literackim talentem. W opowieści swej nie tylko otwiera wrota do orientalnego świata i wnika w naturę Wschodu, lecz równocześnie wyklada filozofię życia-podróży właściwą człowiekowi, który w „łupinie orzecha” wyprawia się na największe wody świata i który pozostając za pan brat z przyrodą, przeżywa rozkosz odkrywców nowych lądów. „Dzięki kajakowi – pisze – stajemy się często posiadaczami [...] basenów o seledynowej wodzie, otoczonych bajką koralowych grot i girlandami stubarwnych ogrodów, przez które przenizują się szkarłatne zawołowane ryby. Czasami znów jesteśmy krezusami wolnej, nieograniczonej przestrzeni, atomową drobiną wielkiego wszechświata, wtopieni w jednolite tło nieba i wody”.

Historia Juliana Haraschina, sędziego wojskowego sądu w Krakowie, odpowiedzialnego za śmierć ponad 60 żołnierzy podziemia niepodległościowego, jest jedną z tych, które najczęściej mówią o tym, czym był w PRL i czym jest dziś uniwersytecki establishment. Oto po dokonaniu owych zbrodni Haraschin trafia jako wykładowca na Wydział Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie w latach 1955–1962 zajmuje stanowisko kierownika Studium Zaocznego. I gdyby nie wyrok za łapownictwo, fałszowanie wyników egzaminów i sprzedawanie dyplomów, zapewne pracowałby tam do emerytury. Ale i w więzieniu sobie poradził –

w zamian za ułatwienie warunkowego zwolnienia, zobowiązał się do współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa. Potem jako TW zajmował się m.in. inwigilacją kurii krakowskiej, rozpracowywał księży Karola Wojtyłę i Franciszka Macharskiego.

Przedrukujemy dziś artykuł dr. Józefa Wieczorka, walczącego z patologiami na polskich uczelniach (jest w tym numerze także jego tekst o tematyce bieżącej, s. 8), o Julianie Haraschinie. Jak pisze Wieczorek, sprawa Haraschina jest do dziś na UJ tematem tabu, a książkę o nim, zatytułowaną „Trzy twarze Juliana Haraschina”, opublikował nie zawodowy historyk, lecz muzyk i autor „Historii jazzu w Polsce” Krystian Brodacki.

Józef Wieczorek

Obecna twarz UJ widziana przez pryzmat twarzy Juliana Haraschina

Jak to było możliwe, że ktoś, kto jako wojskowy sędzia reżimu komunistycznego posyłał na śmierć polskich patriotów, robił następnie karierę „naukową” na prestiżowym polskim uniwersytecie? Poczynania Haraschina zwanego „Krwawym Julkiem” wobec podziemia niepodległościowego (60 wyroków śmierci) wcale mu nie przeszkodziły w akademickiej karierze „Nikodema Dyzmy” na UJ, i to po tzw. odwilży.

Po 50 latach w przestrzeni publicznej wróciło zainteresowanie sprawą Juliana Haraschina, osobnika o trzech twarzach, jak to ujął w tytule książki – „Trzy twarze Juliana Haraschina” (Wyd. Arcana) – Krystian Brodacki.

Szczególnie akademicka twarz Juliana Haraschina jest intrygująca. Bo w niemalym stopniu może przyczynić się do poznania obecnej twarzy jego uczel-

ni – Uniwersytetu Jagiellońskiego, a nawet sporej części środowiska akademickiego, rzecz jasna społeczności prawniczej w szczególności.

Takie skojarzenia ujawnił w swoim felietonie Jan Pietrzak, podnosząc na okoliczność sprawy Trybunału Konstytucyjnego, że obecne autorytety prawnicze UJ mogą się wywodzić z „wytwórni” Juliana Haraschina, sprzed około pół wieku.

Nie jest to jakieś wyjątkowe skojarzenie. Opisy tych wydarzeń, czy to w książce Krystiana Brodackiego, czy to we wspomnieniach b. rektora Stefana Grzybowskiego, siłą rzeczy skłaniają do porównań z czasami późniejszymi, a współczesnymi – w szczególności.

Jak to było możliwe, że ktoś, kto jako wojskowy sędzia reżimu komunistycznego posyłał na śmierć polskich patriotów, robił następnie karierę „naukową” na prestiżowym polskim uniwersytecie?

Fakty mówią, że było to możliwe, a przy tym w karierze ten komunistyczny zbrodniarz sądowy był wspomagany przez autorytety prawnicze i ofiary okupacji niemieckiej (prof. W. Wolter, więzień Sachsenhausen – w następstwie Sonderaktion Krakau). Niestety stosunek akademickich ofiar okupacji niemieckiej do ofiar okupacji sowieckiej był negatywny, co pokazał proces krakowski w 1947 roku, kiedy to rektorzy krakowscy potępiali tych, którzy walczyli niezłomnie o wolną Polskę.

W takim kontekście poczynania Haraschina zwanego „Krwawym Julkiem” wobec podziemia niepodległościowego (60 wyroków śmierci) wcale mu nie przeszkodziły w akademickiej karierze „Nikodem Dyzym” na UJ, i to po tzw. odwilży.

Haraschin nie tylko szybko awansował w hierarchii akademickiej, ale i założył swoistą wytwórnę lipnych dyplomów i nieźle na tym zarabiał. Pod fikcyjnymi zaliczeniami, dla fikcyjnych studentów, podpisy składali nader liczni i szanowani profesorowie. W lipnych egzaminach wyróżniali się solidarnością rzecz jasna – funkcjonariusze partyjni.

Gdyby nie wydarzenia w Grand Hotelu, na polu bynajmniej nie akademickim, to zapewne Haraschin doszedłby do profesury i uformowałby jeszcze liczniejsze zastępy utytułowanych – rzecz jasna – prawników.

Jakoś wybitni profesorowie szacownej uczelni zamieszani – mniej lub bardziej – w nieczne poczynania Juliana Haraschina, nie ponieśli konsekwencji, więc trudno się dziwić, że niecna twarz „Krwawego Julka” może być dostrzegana w twarzach obecnych autoritetów, uformowanych w tym środowisku.

Władze UJ do tej pory nie rozliczyły się z haniebną postawą wobec kolegów z podziemia niepodległościowego, historycy jakoś nie zdołali poznać historii studentów/pracowników wyrejestrowanych z uczelni / z życia w czasach instalacji systemu komunistycznego w Polsce, a tym bardziej w czasach schyłku systemu komunistycznego. [...]

Kadry wyselekcjonowane negatywnie pod batutą PZPR i SB i pozostających z nimi w symbiozie nomenklaturowych władz uczelni wcale nie mają zamiaru poznać najnowszej historii uczelni ani nie mają zamiaru zatrudniać/przywracać na etaty tych, któ-

rzy by prawdę chcieli poznać. To by stanowiło poważne zagrożenie dla uczelni – to by destabilizowało środowisko akademickie stabilne swoimi patologiami.

Zidentyfikowani tajni współpracownicy SB nadal pracują na uczelni, a nawet są poważani. Akademicy członkowie PZPR (na ogół nieznani w III RP!), którzy przez 10 lat pełnili funkcje dyrektorów w PRL – w III RP mogli je nadal pełnić [...]

Prawnicy UJ, których poprzednicy pilotowali karierę Juliana Haraschina, zdają się korzystać z prawa w sposób instrumentalny, bynajmniej nie dla dobra obywateli.

Twarz Juliana Haraschina starał się rozszyfrować Krystian Brodacki – nie profesor, nie historyk, nie prawnik, lecz publicysta, pianista... bez etatu na UJ! Naukowcy UJ, bez względu na to, jaką dyscyplinę reprezentują, takich niewygodnych tematów nie podejmują, i to nie tylko jeśli chodzi o twarz Haraschina, lecz także inne kadrowe twarze wzorcowej dla innych uczelni.

Wyjątkiem był co prawda b. rektor UJ – Stefan Grzybowski, ale jego książka „Wspomnienia” z rozdziałami o Julianie Haraschinie podobno natychmiast została wykupiona, aby pozostała nieznana.

Również w sprawie Trybunału Konstytucyjnego pojawił się wyjątkowy prawnik – profesor UJ, Andrzej Dziadzio, zarzucając Trybunałowi naruszenie standardów rzetelności i bezstronności. Ale to, co powinno być regułą, na UJ jest wyjątkiem. Naukowcy w sposób nonkonformistyczny winni dążyć do prawdy, ale na takie dążenia bynajmniej nie mają ochoty.

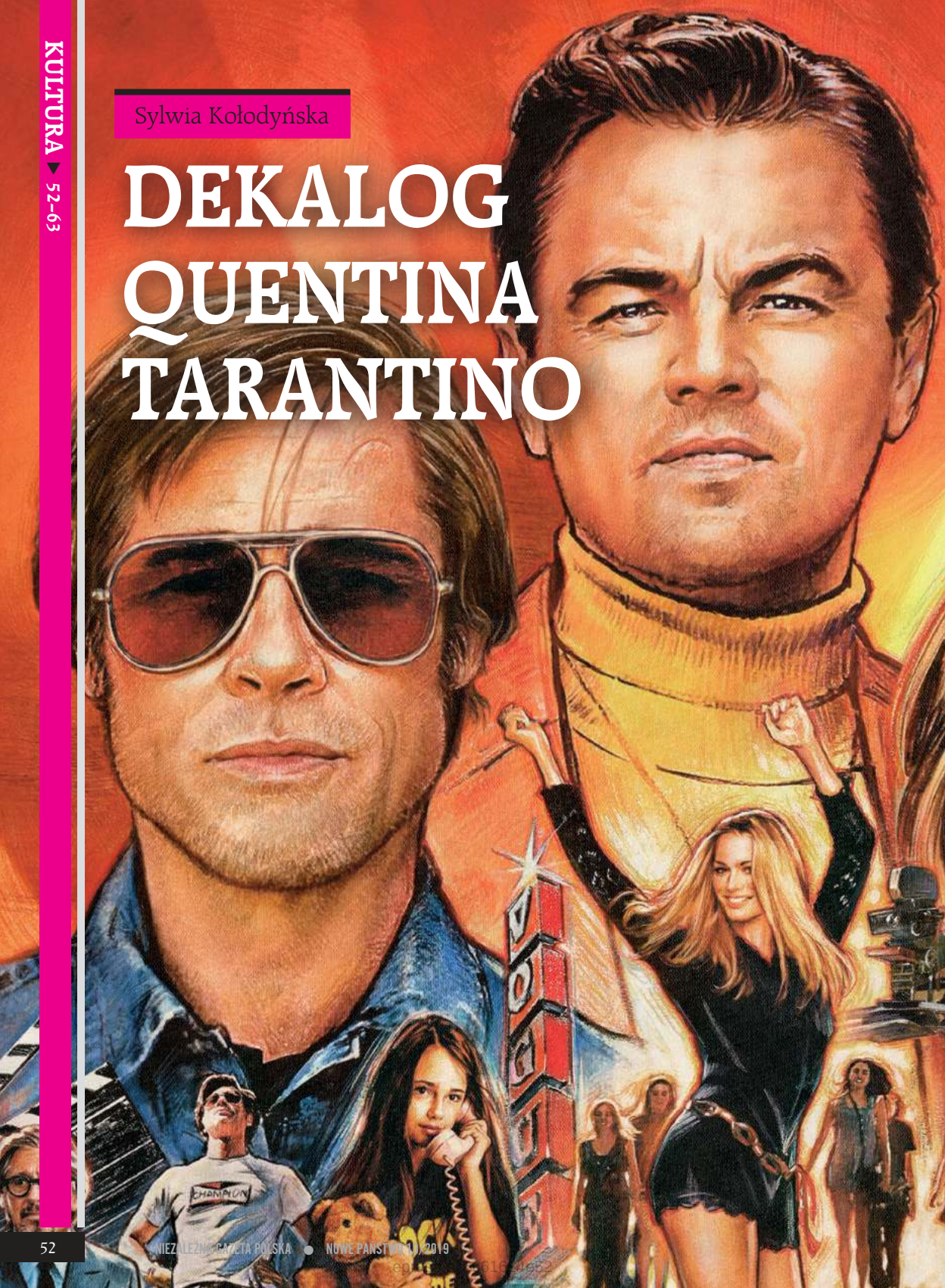
Konformistycznie podporządkowywali się też niecnym poczynaniom Haraschina, podobno z obawy przed konsekwencjami, także później, nawet u schyłku PRL-u podporządkowywali się aparatowi komunistycznemu, aby nie utracić szans na awanse, a także np. mgr. Ługanowskiemu, w czasach komunistycznych Naczelnikowi Departamentu Badań i Studiów Uniwersyteckich i Ekonomicznych w Warszawie, któremu rektor UJ grzecznie przedkładał moje grube teczki akademickie nagromadzone w latach 80. [...] Co prawda akademicy Uniwersytetu Jagiellońskiego twarz stracili (z małymi wyjątkami), ale etaty, awanse i formalne honory – utrzymali. Widać, że na uczelniach, w tym na uczelni wzorcowej dla innych, oplaca się nie mieć twarzy.

Chyba na długo jeszcze w twarzy(-nie)twarży Uniwersytetu Jagiellońskiego będzie odbijać się twarz Juliana Haraschina. ■

Przedruk za: Blog akademickiego nonkonformisty – Józefa Wieczorka.

Sylvia Kołodyńska

DEKALOG QUENTINA TARANTINO



„Zawsze mówiłem, że zrobię tylko dziesięć filmów. Teraz pokazuję dziewiąty i wcale się z dawnej deklaracji nie wycofuję” – zapowiedział Quentin Tarantino przy okazji premiery „Pewnego razu... w Hollywood”. Wydawać by się mogło, że chwytły, którymi zdobył światową kinematografię, zagwarantowały mu sukces, mimo że za każdym razem były... tanie.

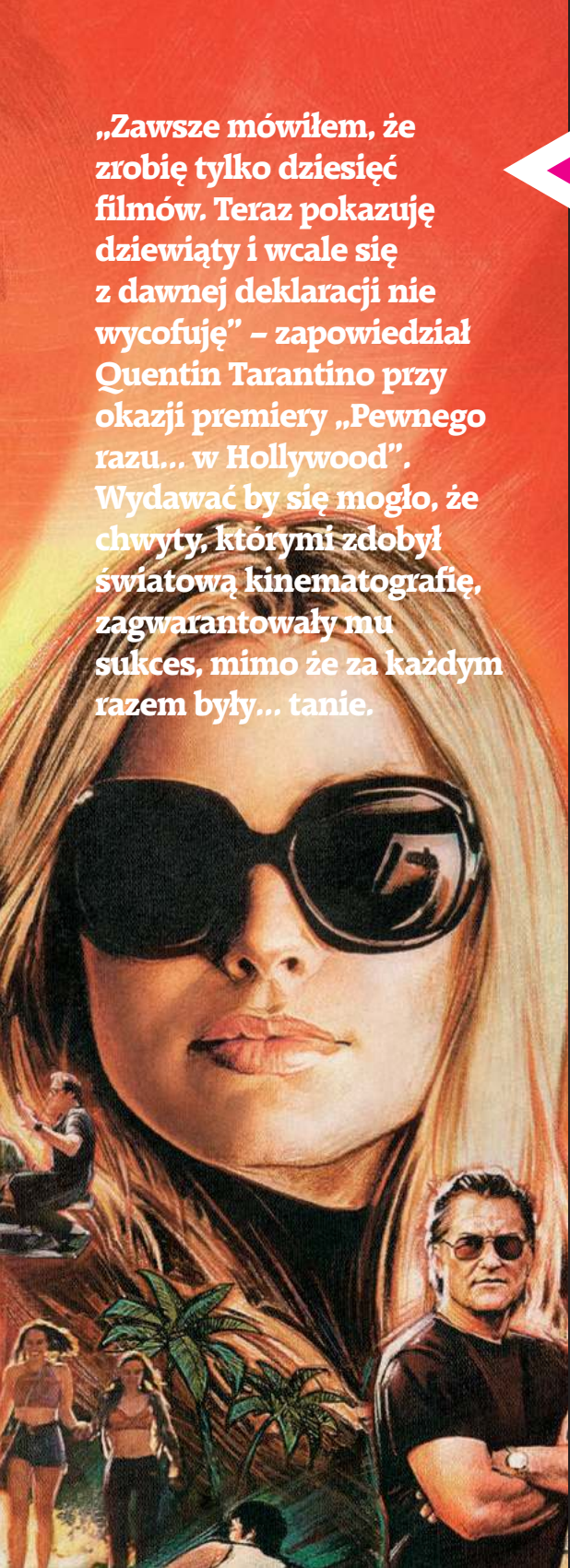
Udowodnił, że nieuk może zachwycić Hollywood. Że parodia taniego kina może być wyrafinowana. Że innowacje mogą wywodzić się z błyskotliwego obśmiania tradycji.

► Arcydzieło... w Hollywood

O ostatnim filmie Tarantino mówi się bez przesady, że to arcydzieło, które przeszło najśmielsze oczekiwania i przyćmiło „Pulp Fiction”. Ma mnóstwo odwołań i symboliki. Sharon Tate symbolizuje tu niewinność, Charles Manson – agresję filmowego przemysłu. „Pewnego razu...” miało być kroniką Hollywood lat 60. według ekscentrycznego amerykańskiego aktora. Jest więc tu surowa ocena rozchwieanej psychiki zmanierowanych aktorów, są też zachwyty nad ich talentem i ich urodą.

Aktor Rick Dalton (Leonardo DiCaprio) i jego kaskader Cliff Booth (Brad Pitt) to nierozłączny duet, który po pobycie w Europie wraca do Hollywood, gdzie po latach nieobecności bardzo trudno mu się odnaleźć. Na domiar złego Rick mierzy się ze swoimi słabościami, popadając w depresyjne stany. Czy kiedyś zagra u mieszkającego po sąsiedzku Romana Polańskiego, nazwanego w filmie pieszczotliwie „polskim kutasiną”? Czy uda mu się zaprzyjaźnić z uroczą Sharon Tate? I dlaczego każdy kolejny reżyser chce, by Rick był tak ucharakteryzowany, by nie przypominał siebie z poprzednich ról? Widzimy jego kolejne wcielenia w kolejnych filmach. A każda z nich jest następnym elementem składającym się na błyskotliwy przegląd kinowych trendów lat 60. Zabawę truje jednak cały czas wątek czającej się grupy Charlesa Mansona, która, jak przecież wiemy, dokonała makabrycznego mordu na żonie Polańskiego. Grupa zwichrowanych dzieciaków wkraczająca z nożami do strefy domów hollywoodzkich VIP-ów planuje rozprawić się z tymi, którzy swoimi filmami nauczyli ich przemocy.

Tarantino jednak znanym sobie sposobem, nawiązując do realnych wątków, postanawia przekierować historię na inne tory. Uciec w zaprojektowaną przez siebie strefę iluzji. Wszystko po to, by za chwilę mogło się okazać, że filmowiec postanowił podjąć filmową próbę rozprawienia się z mordercami Sharon Tate. Robi to absolutnie po mistrzowsku, budując sceny, które bez wątpienia przejdą do historii kina. Ale też wziął na siebie spore ryzyko i musiał zdawać sobie z tego sprawę. Aktualna żona Romana Polańskiego, Emmanuelle Seigner, napisała na Instagramie: „Jak można w taki sposób wykorzystać czyjeś tragiczne życie”. Aktorka zaznaczyła, że nie krytykuje filmu Tarantino, ale „system” i jego hipokryzję. Z jednej strony, jak zauważa, Hollywood czerpie garściami



for. Mar. pras.

z tragedii jej męża, a z drugiej traktuje go jak wyrzutka. Gdy jedni się obrażali, drudzy bili brawo. Bo chęć zmiany biegu tragicznej historii, choćby w filmie, ma w sobie coś bardzo uroczego. „I choć Tarantino nie zmienia biegu historii, to wciąż zmienia światowe kino. Tym filmem zdecydowanie na lepsze” – czytamy w „Gazecie Polskiej Codziennie”.

► Dziewięcioro przykazań

Żaden z przepisów na sukces Tarantino nie wydaje się jakiś szczególnie odkrywczy. Wręcz odnieść można wrażenie, że reżyser sięgał po tanie, jeśli nie banalne chwytty, idąc szarżą przez filmową karierę. A jednak nikt tak nie potrafi flirtować z nietaktem, kpić z przemocy i wykwinąć parodiować. Próbując to zamknąć w tytułowy dekalog, twórca po pierwsze postanowił czerpać z ży-

ci...!” – słyszymy w „Pulp Fiction”. Po ósme – umiał zaskakiwać, wyprowadzać widza w pole, wprowadzać mylące suspensy. Po dziewiąte – wyśmiewać i celebrować razem zepsucie. Tarantino rozprawia się ze swoim celebryckim środowiskiem, kpi z kompleksów gwiazd, wytyka miałość, flirtuje z wszechobecną pychą. I karmi się porażkami swoich bohaterów, jednocześnie potrafiąc schlebiać aktorskim talentom. Po dziesiąte... No właśnie. Ostatnie słowo należy do niego. A widzom pozostaje czekać na dziesiąty film Quentina Tarantino.

► Ostatnia prosta

„Właśnie się ożeniłem, chcę mieć dzieci. Dałem kinu wszystko, co mogłem. Czas powiedzieć »Do widzenia«. I pożyć prawdziwym życiem” – zapowiedział scenarzysta i reżyser. Jego filmowa kariera nie zawsze była usłana róż-

TARANTINO ZNANYM SOBIE SPOSOBEM, NAWIAZUJĄC DO REALNYCH WĄTKÓW, POSTANAWIA PRZEKIEROWAĆ HISTORIĘ NA INNE TORY. UCIEC W ZAPROJEKTOWANĄ PRZEZ SIEBIE STREFĘ ILUZJI.

cia, a nie z książek. Tarantino to niejedyny nieuk, który wspinał się na szczyty kariery w Hollywood. Dość wcześnie zerwał z edukacją, zamieniając ją na pracę w kinie wyświetlającym filmy pornograficzne. Filmu nauczył się... oglądając je. Po drugie, potrafił burzyć chronologię akcji, udowadniając, że w tym szaleństwie jest metoda. Oczywiście najznakomitszym przykładem jest legendarne „Pulp Fiction”. Widzowie bawili się równie dobrze jak reżyser, który wciąż prowadził ich na manowce. Po trzecie, mieszał style i kultury. Odwoływał się do tego, co znane i sprawdzone. Z pewnością przejdzie do historii jako autor najbardziej zdumiewających kolaży kulturowych, czego „Pewnego razu... w Hollywood” jest świetnym przykładem. Po czwarte, uwielbiał silne kobiety. Ich siła mogła iść w parze z brutalnością, jak w „Kill Billu”, ale mogła też być obezwładniającym urokiem, jak w „Pewnego razu...” w reakcji Sharon Tate. Po piąte – posiadał trudną i ryzykowną umiejętność śmiania się z tragedii. W „Bękartach wojny” bohaterami są amerykańscy żołnierze żydowskiego pochodzenia, zrzućni do Europy z zadaniem zorganizowania zamachu na Adolfa Hitlera. Film jest parodią kina wojennego. Jak widać udaną, bo Christoph Waltz dostał nawet Oscara za rolę oficera SS. Po szóste – potrafił naśladować. Na przykład westerny z lat 50, jak w „Django”. Po siódme – dialogi, najlepiej, by weszły do powszechnie używanego języka. „Schował ten skarb do najlepszego schowka na świecie, do własnej

zami. Próbując swoich sił jako aktor, wystawił się na ostrą krytykę. A było to już po sukcesie „Pulp Fiction”. Dziennikarze nie zostawili na nim suchej nitki, oceniając jego rolę w filmach „Cztery pokoje” (był też scenarzystą i reżyserem filmu), „Włącz się do gry” i „Od zmierzchu do świtu” (był scenarzystą filmu). Jednak późniejsze: „Kill Bill”, „Kill Bill II”, „Sin City: Miasto grzechu”, „Bękarty wojny”, „Django” i „Nienawistna ósemka” zapewniły mu miejsce w historii Hollywood, którego żadna siła nie zdetroniuje. Warto wspomnieć, że część publiczności oburzyła się na wieść, że „Pulp Fiction” wygrało wyścig o Złotą Palmę z „Trzema kolorami. Czerwony” Krzysztofa Kieślowskiego... Szczegół sprzyjało Tarantino na wielu najjaśniejszych galach światowej kinematografii. Poza wspomnianą palmą dostał m.in. dwa Oscary, dwa Złote Globy i dwie BAFTY za scenariusze do „Django” (2013 rok) i „Pulp Fiction” (1995 rok).

„Każdy film pochłania mnóstwo mojego czasu, energii, pomysłów i chwilami mam wrażenie, jakbym nakręcił ich już nie wiem ile. Każdy projekt jest dla mnie osobną przygodą, zupełnie jakbym za każdym razem wchodził na Mount Everest” – przyznał kiedyś Tarantino. I wszystko wskazuje na to, że czeka go już ostatnia wspinaczka na szczyt. Nawet jeśli złamie po drodze zasady, pójdzie inną ścieżką niż wyznaczona, a zamiast raków założy japoński i tak ten szczyt zdobędzie. ■

Rawa Blues



THE WORLD'S BIGGEST INDOOR BLUES FESTIVAL

NOSPR 11.10.2019 GODZ. 19.30

RICK ESTRIN & THE NIGHTCATS
IREK DUDEK

SPODEK 12.10.2019

JAMES BLOOD ULMER
MEMPHIS BLOOD BLUES BAND FEAT.
VERNON REID

VICTOR WAINWRIGHT
& THE TRAIN

THE DANIEL CASTRO BAND
LINDSAY BEAVER

HANNAH WICKLUND
& THE STEPPIN' STONES

CHRISTINE & THE BLUE DRAGS ★ WILLIE MAE UNIT
BLACKBERRY BROTHERS ★ BLUES JUNKERS

SCENA GŁÓWNA OD GODZ. 15.00

*Adam Zalewski Trio, Magda Hanausek, Lublin Street Band, Roxana Tutaj & Good Omen
Black Job, Blues Menu, Diapositive, Silesian Hammond Group, Tipsy Drivers, The Storks*

SCENA BOCZNA OD GODZ. 11.00

Prowadzenie koncertów: Piotr Baron, Jan Chojnacki i Marek Jakubowski

info: www.rawablues.com bilety: www.ticketmaster.pl



eprasa.pl 60-51452

Ja, obywatel i artysta

Dariusz Jarosiński



– Choć w Polsce mówi się o wolności sztuki, dla Adamasa nie ma miejsca w galeriach. Nieznalska i Markiewicz w sposób wyjątkowo wulgarny atakują Kościół w Polsce i oni są na topie. Mnie się nazywa bezkrytycznym wobec Prawa i Sprawiedliwości – jak napisał jakiś krytyk sztuki – i to jest powód, by mnie niszczyć, zamknąć przede mną drzwi galerii – mówi artysta Jacek Adamas.

Kultura w cywilizacji łacińskiej, do której Polska przynależy od ponad dwóch tysięcy lat, miała zawsze na celu dobro człowieka i jego wszechstronny rozwój jako osoby. Kultura była nośnikiem wartości intelektualno-poznawczych, moralnych, ideowych, narodowych, religijnych. Coraz częściej przy okazji różnych spektakli teatralnych czy wystaw sztuk plastycznych odzywa się bicie na alarm konserwatystów, że polska kultura została zdominowana przez ideologię lewacką, neomarksistowską, służącą niszczeniu wartości kultury łacińskiej, narodowej tożsamości, rozbijaniu więzi społecznych, po prostu ogłupianiu ludzi. Dyskusje na temat granic wolności niewiele obchodzą lewackich artystów, oni robią swoje, tym bardziej jeżeli za nimi stoją duże pieniądze zagranicznych sponsorów, jeżeli większość polskich teatrów, galerii sztuki należy do samorządów dużych miast. Każda próba przeciwdziałania spektaklom teatralnym zawierającym treści pornograficzne czy antyreligijnym „dziełom sztuki” kończyła się oskarżeniem o stosowanie cenzury, ograniczanie wolności.

Artur Grabowski, poeta, dramatopisarz, literaturoznawca z UJ, postawił w 2016 roku na łamach krakowskich „Arcanów” pytania, będące próbą diagnozy polskiej kultury: „Czy prawica ma coś do zaproponowania w sferze kultury? Czy ma coś do zaoferowania artystom? Tak jak udało się to lewicy? Czym ta druga skusiła ludzi sztuki? Dlaczego ta pierwsza nie umie ich odzyskać ani zatrzymać? Co mogą i co powinni zrobić polityczni konserwatyści, żeby swoją ofertę społeczną wzbogacić o sztukę najwyższego gatunku, a zarazem pociągającą dla Polaków i wzmacniającą ich poczucie podmiotowości? [...] Jak, innymi słowy, uczynić z kultury polskiej skarbiec duchowego życia Polaków? W jaki sposób zapewnić miejsce w łonie konserwatywnego światopoglądu artystom już przyznającym się do niego, tak żeby mogli się w nim swobodnie rozwijać i nawiązywać kontakt z różnorodną publicznością, nie będąc zarazem zmuszanymi do odgrywania roli partyjnych funkcjonariuszy? Jak odnaleźć wybitnych i odważnych twórców, którym, mimo różnych światopoglądów, bliska jest polska tradycja, oraz jak zapewnić im warunki pracy i obecność na artystycznej scenie, aby ośmielić ich aktywność w służbie Rzeczypospolitej?”.

Artur Grabowski w swojej diagnozie pisze, że „lewicy się udało” w sferze kultury. Zgoda, ale to przede wszystkim dzięki temu, że przez 30 lat tzw.

III RP dowartościowywała i finansowała niemal jedynie projekty lewackich artystów. Przez te 30 lat ukształtował się pogląd, że być prawdziwym artystą to znaczy buntować się przeciwko „ciemnogrodowi”, tradycyjnej polskiej rodzinie, wartościom chrześcijańskim, patriotyzmowi, Kościołowi katolickiemu – po prostu być przeciwko cywilizacji łacińskiej. Im większy skandal, im większa hucpa, tym lepiej.

► Artysta nazywa się Jacek Adamas

Niechaj moja opowieść o pewnym artyście będzie głosem w dyskusji na temat kondycji polskiej sztuki. Artysta nazywa się Jacek Adamas. To rzeźbiarz, performer, autor akcji i instalacji. Nazywany jest konserwatywnym awangardzistą, bo choć posługuje się w swojej twórczości tymi samymi lub podobnymi technikami co lewacy artyści, to dąży do zupełnie innego celu, przekazuje zupełnie inne przesłanie artystyczne i ideowe – walczy z patologiami społecznymi, lokalnymi sytuacjami, pobudza do zachowań patriotycznych, obywatelskich, chroni wartości narodowe. Mówi o sobie, że jest obywatel-em artystą.

Jacek Adamas uważany był za najbardziej utalentowanego studenta tzw. Kowalni, czyli pracowni prof. Grzegorza Kowalskiego na Wydziale Rzeźby Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Razem z nim studiowali wówczas Katarzyna Kozyra, Paweł Althamer, Jacek Markiewicz, Roman Stańczak, a trochę później Artur Żmijewski. Jacek było starszy od swoich kolegów i koleżanek z pracowni, oni mieli po 19–20 lat, kiedy zaczynali w 1988 roku studia na Akademii, on był w wieku Chrystusowym. Miał 33 lata i bogaty багаż doświadczeń związanych z opozycją antykomunistyczną. Jacek już na drugim, trzecim roku studiów uczestniczył w poważnych wystawach wraz z czołówką polskich artystów.

W 1993 roku, po ukończeniu Akademii, drogi artystyczne, a właściwie ideowe, Jacka i jego przyjaciół z „Kowalni” rozeszły się, choć nigdy nie zerwali kontaktów towarzyskich – trwają one do dziś. Jacek patrzył na polską rzeczywistość, tzw. transformację ustrojową, z perspektywy warmińskiej wioski, oni z perspektywy warszawskiego salonu. Wszyscy uprawiają sztukę zwaną sztuką krytyczną, która niczym media reaguje w tempie ekspresowym na to, co się dzieje w otaczającym nas świecie. Adamas, choć należy do czołówki polskich artystów, to ze względu na prezentowane poglądy, wartości rzadko jest zapraszany do udziału w wystawach, a od trzech lat, paradoksalnie, kiedy rządzi Dobra Zmiana, nie uczestniczył w żadnej wystawie. Nie znaczy to, że nie tworzy – bierze udział w organizowanych przez

siebie działaniach ulicznych, happeningach. Jak w latach 80. musi pracować w stolarni, bo inaczej nie utrzymałby rodziny, a ma czworo dzieci. Jego koleżanki, koledzy z „Kowalni” opowiedzieli się po lewackiej stronie, Paweł Althamer czy Katarzyna Kozyra święcą dzisiaj triumfy, zarabiają krocie, ich wystawy sponsorowane są przez zagraniczne firmy.

Żywiołem Jacka Adamasa jest ulica, czym pogardzają konserwatywni artyści, uważając, że to dobre miejsce dla anarchistów. Adamas jednak dobrze wie, że w dzisiejszym świecie, żeby polemizować z lewicowymi artystami, żeby stawiać czoła nowym wyzwaniom, trzeba używać podobnych technik, trzeba wyjść poza tradycyjną galerię. Artysta ten nigdy nie odrzucił zaproszenia przez środowiska lewicowe do dyskusji, gotów jest zawsze toczyć spór – byle na argumenty. Zdaniem Stanisława Rukszy, byłego już szefa Centrum Sztuki Współczesnej w Bytomiu, „Adamas jest dla lewicy zbyt prawicowy, a dla prawicy zbyt radykalny”.

► Prawdziwe życie zaczęło się na budowie

Jacek Adamas wychował się na warszawskiej Pradze. Po skończonej podstawówce poszedł do Technikum Budowlanego. Był to jak najbardziej naturalny wybór szkoły w rodzinie Adamasów, gdzie wszyscy chłopcy kończyli budowlankę. Jego ojciec i stryj byli inżynierami budownictwa, pracowali w biurach projektowych. Po ukończeniu technikum Jacek podjął pracę na budowie w dużym przedsiębiorstwie jako robotnik. Robotnicy zarabiali wówczas dwa razy więcej niż technicy budowlani. Po Sierpniu '80 roku przystąpił do tworzenia struktur NSZZ „Solidarność” w swoim przedsiębiorstwie, za co został wyrzucony z pracy.

Wspólnie z kolegą, filozofem przyrody, założyli firmę – stolarnię. Wtedy też zaczęła się edukacja humanistyczna, czytanie książek po nocach, dyskusje intelektualne. Poznał nowych kolegów, koleżanki – środowisko opozycyjne wobec PRL, antykomunistyczne, niezwykle ciekawe pod względem intelektualnym. Do grona bliskich kolegów należeli m.in.: Bogdan Kos, poeta, filozof, fizyk teoretyk, Wojciech Brojer, historyk, jego żona Ewa, obecnie profesor hematologii, Grzegorz Eberhardt, publicysta, dziennikarz, pisarz, reżyser, autor świetnej książki o Józefie Mackiewicz „Pisarz dla dorosłych”, zmarł niemal dokładnie pięć lat temu, Jarosław Kossakowski, dziennikarz, krytyk sztuki.

Po wprowadzeniu stanu wojennego nadal prowadzili działalność opozycyjną. W niewielkim mieszkaniu Jacka przy ulicy Lubelskiej, nieopodal Dworca Wschodniego, mieściła się drukarnia,

gdzie drukowano „Tygodnik Wojenny”, różne broszury, ulotki, znaczki, publikacje wydawnictwa „Los”, ukrywali się też ludzie podziemia. Niektórzy z przyjaciół Jacka, jak Ewa i Wojciech Brojerowie, byli internowani. – Zatarły się w tamtym czasie granice między życiem prywatnym a opozycyjnym – wspomina dzisiaj Jacek Adamas.

Jacek bardzo przeżył śmierć jednego z kolegów z podziemia – drukarza Norberta Pietrzaka. Norbert należał do najbardziej zasłużonych drukarzy Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOWA, drukował „Tygodnik Wojenny”, uczył tego rzemiosła przychodzących adeptów. Najprawdopodobniej funkcjonariusze SB wyrzucili go z dziewiątego piętra bloku przy ulicy Anielewicza w 1985 roku. Wiele lat później Jacek uczcił pamięć kolegi, stawiając mu w miejscu tragicznej śmierci oryginalny pomnik ułożony z ryz papieru w kształcie litery „N” (Norbert). Kartki papieru na wierzchu miały się związać i przypominać kwiaty. Pomnik długo jednak nie powstał – już następnego dnia zniknął.

Jacek swoją stolarnię wykorzystywał też do realizacji hobby – jako pracownię rzeźbiarską. Inspirowała go wówczas sztuka afrykańska. Rzeźby rozdawał znajomym. Któregoś razu znajomy koleżanki Jacka, widząc jego prace, zapytał, jaką pracownię ukończył. Jacek nie bardzo zrozumiał na początku, o co chodzi, dopiero później domyślił się, że ów człowiek wziął go za profesjonalnego artystę, który ukończył uczelnię artystyczną. Okazało się, że jego rzeźbami zainteresował się znany artysta, profesor warszawskiej ASP Grzegorz Kowalski. Profesor zaproponował Jackowi przyjęcie do Akademii na zasadach przyjaciela roku. Po roku zdał egzaminy i został przyjęty do Akademii.

I tak zaczął się nieoczekiwanie w 1988 roku, a właściwie już rok wcześniej, kiedy w 1987 roku został przyjacielem roku, nowy rozdział w życiu Jacka. Był wyróżniającym się studentem, pełnił funkcję starszego wydziału, uczestniczył w pracach komisji egzaminacyjnej. Między innymi dał dodatkowe punkty na egzaminie wstępnym Arturovi Żmijewskiemu, dzisiaj artyście związanym z „Krytyką Polityczną”.

– Pracownia prof. Grzegorza Kowalskiego była pracownią szeroko otwartą – opowiada Jacek Adamas. – Dużo się dyskutowało. Poza klasyczną rzeźbą, rysunkiem, były zadania kłauzurowe, wymagające natychmiastowej reakcji twórczej na wywołany temat. Trzeba było szybko wymyślić, jak się ustosunkować do cytatu, na przykład „drabina Jakubowa”. W naszej pracowni zebrała się rzeczywiste grupa utalentowanych ludzi, więc przychodziłi studenci z innych pracowni, aby nas obserwo-

wać. Nawzajem się inspirowaliśmy. Ja byłem od nich przynajmniej o dziesięć lat starszy, bardziej doświadczony życiowo, z kolei w środowisku opozycyjnym byłem najmłodszy. Studiowanie wymagało dużego zaangażowania z mojej strony. Dzień dzieliłem na pracę w stolarni i studiowanie. Nadrabiałem zaległości w nauce, nie miałem przecież wcześniej zbyt dużej wiedzy choćby z zakresu historii sztuki. Poświęciłem się sztuce. W czasie studiów ożeniłem się. Kiedy byłem na ostatnim roku studiów, urodził się syn Jonasz – mówi Adamas.

Akademii ukończył z wyróżnieniem. Nie miało to większego znaczenia w przyszłym życiu zawodowym – trzeba było mozolnie budować sobie przyszłość. Adamas w tamtym czasie tworzył dużych rozmiarów konstrukcje z naturalnych materiałów, więc niezbędna była duża pracownia i miejsce na deponowanie obiektów po wystawach – pojawiła się zatem myśl, aby zamieszkać na wsi. Przez dwa lata szukał z żoną odpowiedniego obiektu. Adamasowie zostali urzeczeni Warmią, jej urodą, historią, która nie bez powodu zyskała ongiś miano świętej Warmii – wybór padł na warmińską wioskę Worławkę w gminie Świątki.

► W interesie społecznym

Kiedy pierwszy raz w 1996 roku zobaczyli podupadające duże budynki gospodarcze, resztki dworskiego parku, stwierdzili oboje z żoną Katarzyną, że to jest ich miejsce na ziemi, że to „miejsce ich przywołuje” – jak mówią dzisiaj. Zamieszkali w zaadaptowanym na dom mieszkalny budynku gospodarczym, bo Sowici spalili budynek dworu w 1945 roku. W niedługim czasie po przeprowadzce przed ich dom w Worławkę zjechał samochód z niemiecką rejestracją. Przybyszem okazał się ksiądz katolicki, jeden z czterech synów ostatnich właścicieli majątku. Wychodząc z samochodu, zdjął buty i w milczeniu obśledł dawne rodzinne pielesze.

Życie na wsi nie okazało się sielanką. Protesty Adamasów słane do różnych instytucji przeciwko planom budowy gigantycznego wojewódzkiego wysypiska śmieci nieopodał wioski, ujawniły siłę lokalnych układów. Walka była niezwykle trudna, udało im się jednak uchronić mieszkańców okolicznych wiosek od budowy wysypiska, z którego śmieci miały być spalane w spalarni. Inwestycja miała kosztować pół miliarda złotych.

Aby walczyć o swoje prawa obywatelskie i sąsiadów, powołali do życia stowarzyszenie „Kochajmy Warmię”. Przez dziesięć lat toczyli spór sądowy z wójtem gminy Świątki, który wydobywał żwir z terenu potrójnie chronionego, gdzie znajdował się

park krajobrazowy, rezerwat przyrody i Natura 2000. Ostatecznie sędzia stwierdził, że wójt jest niewinny i „działał w interesie społecznym”.

Adamasowie przekonali się, że w III RP różne instytucje publiczne służyły obronie różnych nieczystych układów, powiązań, jeszcze ciągle peerelewskich. Kiedy Jacek Adamas po umorzeniu sprawy przez prokuraturę niższej instancji udał się do jednego z prokuratorów z Prokuratury Rejonowej Olsztyn-Północ, usłyszał od niego: „Tu się warszawiaków nie lubi, a wójtom spraw się nie robi”. Adamasowi pozostała tylko jedna forma walki z nadużyciami władzy: happening.

„Adamasowie domagają się przejrzystości działań władzy” – pisał krytyk sztuki Karol Sienkiewicz. Przed urzędem wojewody olsztyńskiego Adamas urządził akcję „Czyste ręce”, rozkładając białe ręczniki i mydełko. Protestując przeciwko bezosobowemu traktowaniu obywateli, w 2006 roku wykonał performance przed Urzędem Wojewódzkim w Olsztynie. Siedział przebrany w wiezienny strój, z zasłoniętą twarzą i numerem PESEL wypisanym na identyfikatorze jako „zinwentaryzowany przez państwo człowiek numer”. W 2008 roku przed tym samym urzędem rozłożył wielkie trójkąt i koło. Tłumaczył, że „trójkąt, bo swego czasu marszałek województwa umył ręce i wskazał trzy instytucje: prokuraturę, wojewodę i starostwo, które powinny mi pomóc w rozwiązaniu problemu, a koło, bo u wojewody sprawa wciąż kręci się w kółko”. Figury ułożył z woreczków z piaskiem – w każdym z nich umieścił kopię zawiadomienia z prokuratury o umorzeniu dochodzenia w sprawie nielegalnej żwirowni”.

Adamasowie nie mieli żadnych szans na znalezienie pracy na terenie gminy Świątki i sąsiednich gmin. Adamas starał się o pracę w szkole, w Gminnym Ośrodku Kultury, ale na przykład w GOK-u w Świątkach bardziej predystynowana do objęcia funkcji dyrektora była absolwentka szkoły masarskiej. W okresie od grudnia 2016 do lutego 2018 roku, czyli niewiele ponad rok czasu, pełnił funkcję dyrektora Gminnego Ośrodka Kultury w Gietrzwałdzie, kiedy wójt gminy była osoba o konserwatywnych poglądach. Nowy wójt zwolnił Adamasa z naruszeniem prawa, sąd pierwszej instancji odrzucił jednak pozew Adamasa. Długa jest historia wojny kulturowej w gminie Gietrzwałd i nie ma miejsca na jej opowiedzenie. Wójtowi i niektórym radnym przeszkadzało, że Adamas wspólnie z dyrektorką szkoły (też zwolnioną z pracy) – organizowali dla dzieci uroczystości patriotyczne; że do GOK-u byli

zapraszani „niewłaściwi” artyści, na przykład Wojciech Korcuć, wybitny plakacista.

► Postawić pytanie o wartości

Przekopałem wiele książek poświęconych sztuce, znalazłem kilka ciekawych opinii na temat twórczości Jacka Adamasa. Szczególnie jedną z nich uznałem za trafną i godną przytoczenia.

Profesor Stanisław Czekalski z Instytutu Historii Sztuki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu w tekście „Zjawy wspólnej sprawy. Sztuka według radykalnej demokracji” pisze m. in.: „Do najważniejszych [artystów – przyp. D.J.] należy Jacek Adamas, artysta definiujący siebie jako obywatela Polski zainteresowanego problemami własnego państwa i jego funkcjonowania w relacjach ze społeczeństwem, poczynając od lokalnych urzędów, na polityce najwyższych władz skończywszy. Z tej patriotycznej pozycji wchodzi on w polemiczny dyskurs z innymi artystami, którzy dotyczą kwestii jego zdaniem ważnych dla kraju i narodu.

Szczególną okazją do podjęcia takiego dyskursu na temat Rzeczypospolitej był udział Adamasa w przedsięwzięciu wymownie zatytułowanym »Wspólna sprawa«, które realizował jego kolega ze słynnej pracowni Grzegorza Kowalskiego, i kolejny artysta traktujący sztukę jako formę budowania więzi społecznych, Paweł Althamer, w dwudziestą rocznicę wyborów 1989 roku. Na przekór politycznym sporom rozgorzałym wówczas wokół odmiennych podsumowań polskiej transformacji i dwudziestolecia III RP zorganizował on spektakularną apologię jej sukcesu i zarazem zgodnego »euroentuzjazmu«: wyprawił ponad stu pięćdziesięciu sąsiadów z bloku i przedstawicieli świata sztuki, w złotych kombinezonach, złotym samolotem, do stolicy Unii Europejskiej. W tej manifestacji zadowolenia z drogi obranej przez niepodległą Polskę Adamas uczestniczył na własnych warunkach, zabierając językiem swojego happeningu głos odrębny: demonstrował złote kule z buddyjskim symbolem równowagi świata, by skojarzyć efekt wszechobecności złota we »Wspólnej sprawie« z mitem o Midasie i postawić pytanie o wartości, które znikają na drodze realizacji pragnienia materialnego dobrobytu.

Kiedy w lutym 2011 roku zdjęcie ze złotym samolotem Althamera i tłumem radosnych, spowitych w złoto uczestników jego lotu do Brukseli ukazało się na okładce miesięcznika »Artforum«, Adamas odpowiedział ponownie, ale mocniej. Zestawił z nim fotografię innego samolotu, który imię polskiej »Wspólnej sprawy«, czyli Rzeczypo-

spolitej, miał wypisane na kadłubie, a który w międzyczasie – dziesięć miesięcy po tamtej manifestacji i dziesięć miesięcy przed upamiętnianym ją wydaniem »Artforum« – rozbił się w Smoleńsku. Zestawienie to wydobyło dobitnie polityczne przesłanie akcji Althamera poprzez kontrast między jej pokazowym triumfalizmem a surową grozą smoleńskiej katastrofy. Zdjęcie roztrzaskanej rządowej maszyny, dające boleśnie prawdziwy obraz sytuacji, w której znalazła się III Rzeczpospolita, obnażało naiwność i fasadowość iluzji, jaką tworzyła tamta lotnicza alegoria, kreująca wyobrażenie Polski uszczęśliwionej i zintegrowanej wspólnym skarbem wolności, demokracji oraz przynależności do Unii Europejskiej. Przecistawienie obu fotografii na okładce, oryginalnej na froncie i doklejonej przez Adamasa na odwrocie, ujawniło również podział sfery wizualności między tym, na co kierował uwagę świat sztuki, wracając zimą 2011 roku do »Wspólnej sprawy« Althamera, jak gdyby od tamtego czasu nie stało się nic szczególnego i dezaktualizującego jej optymistyczny przekaz, a tym, co zarazem pozostawał poza polem widzenia, niebaczny na wciąż aktualną i otwartą sprawę niewyjaśnionej tragedii 10 kwietnia 2010».

REKLAMA

► Artysta o sobie i nie tylko

– Wybieram wolność, a nie pieniądze – mówi Jacek Adamas. – Czasami jest mi ciężko, brakuje pieniędzy na wiele rzeczy, muszę utrzymać rodzinę ze stolarstwa. Moje prace wymagają niestety dużych środków. W Polsce ukształtowało się jednorodne ideologicznie środowisko, które kreuje taką, a nie inną sztukę, i to środowisko panuje nad rynkiem sztuki w Polsce, zarządza galeriami. Od trzech lat nie mam żadnej wystawy, nawet jak rządzili postkomuniści czy PO z PSL, to miewałem wystawy. Mówi się o wolności sztuki, ale dla Adamasa nie ma miejsca w galeriach sztuki. Nieznalska i Markiewicz w sposób wyjątkowo wulgarny atakują Kościół w Polsce i oni są na topie. Mnie się nazywa bezkrytycznym wobec Prawa i Sprawiedliwości – jak napisał jakiś krytyk sztuki – i to jest powód, by mnie niszczyć, zamknąć przede mną drzwi galerii – mówi artysta.

– Od dawna zwracam uwagę na to, że młodzi ludzie, którzy w tej chwili są na akademiach, którzy niedługo będą artystami, będą chcieli w przyszłości wystawiać, cieszyć się ze swoich sukcesów, już na akademiach są ukierunkowywani, której strony mają się trzymać – im się zabiera wolność. Wiedzą, że galerie nie są otwarte na dyskusję, lecz na ideologię. Po ukończeniu akademii artysta jest dobrym rzemieślnikiem, ma opanowany warsztat rzeźbiarski, malarski, rysunkowy czy graficzny – może robić różne rzeczy – dodaje artysta.

Co mówi ta „właściwa” strona? – Mówi, że nie ma Boga, wartości, ucieka w absurd, degrengoladę. Należy dać szansę jednym i drugim. Niech odbiorca ma wybór. Proponuje się do granic obrzydliwości sztukę będącą atakiem na normalność, na polską tożsamość, na religię, Kościół. Robi się z tego rodzaj zaściankowości, zacofania, obciachu, a jednocześnie mówi się o wolności. Gęby pełne frazesów, a gdzieś tam spod spodu wylażą sierp i młot, i swastyka. Pod spodem jest antywartość. Artystów takich jak ja stygmatyzuje się. Może moje koleżanki, moi koledzy z „Kowalni” ulegli hasłu, że „wszystko wolno”? Może przyjdzie później refleksja? Artysta może przechodzić przecież różne fazy. Jeżeli mówimy o wolności sztuki, to otworzymy szeroko wrota galerii. Lubię dyskutować i chciałbym to robić ze swoimi kolegami i kolegami z dawnej pracowni, ale uniemożliwiają to galerie. Ten świat związany jest z pieniędzmi, pozycją w świecie sztuki. Mam nadzieję, że „marsz przez instytucje” zostanie powstrzymany. Jestem bardziej obywatelem niż artystą. Przeżyję to jakoś, że nie jestem zapraszany na wystawy, ale bardziej cieszy mnie to, że Polska zmienia się na lepsze – kończy Jacek Adamas. ■



Krzysztof Karnkowski

Czarne płaszcze wchodzą do gry

„I, the Inquisitor” – pod taką nawą ma być gotowa w 2022 roku gra oparta na serii książek z „Cyklu inkwizytorskiego” Jacka Piekary. Czas oczekiwania warto więc skrócić sobie lekturą poszczególnych pozycji, a jest z czego wybierać. Bowiem Piekara dostarcza sumiennie kolejnych części przygód głównego bohatera – Mordimera Madderdina.

Miedzynarodowe sukcesy gry „Wiedźmin”, których ostatnim jak dotąd akcentem są prace Netfliksa nad serialem według prozy Andrzeja Sapkowskiego, zaostriły apetyty fanów na kolejne próby łączenia świata gier z polską – bogatą przecież w dobrych autorów i popularne tytuły – fantastyką. Dlatego też bardzo duże zainteresowanie wzbudziła zapowiedź stworzenia przez firmę The Dust gry rozgrywającej się w uniwersum „Cyklu inkwizytorskiego” Jacka Piekary.

► Alternatywna wizja chrześcijaństwa

„Cykl inkwizytorski”, o czym mówi sam autor, rozbudowywany jest według reguł zbliżonych do najpotężniejszych telewizyjnych seriali. Obok głównej akcji mamy więc sequele, prequele, spin-offy, całość

zaś to do dziś już kilkanaście pozycji, na które składają się zbiory opowiadań i samodzielne powieści. Wszystko zaczęło się w początkach nowego tysiąclecia, gdy w piśmie „Science Fiction” ukazało się opowiadanie „W oczach Boga”, które później stało się częścią pierwszego „inkwizytorskiego” zbioru opowiadań „Sługa Boży”. Ten po raz pierwszy ukazał się nakładem Fabryki Słów w 2003 roku.

Cała opowieść, bardzo barwna, głównie od krwi rozmaitych grzeszników i heretyków, rozgrywa się w świecie bliźniaczo podobnym do naszego, przynajmniej tego z czasów średniowiecznych, lecz z zupełnie innym systemem wartości i alternatywną wizją chrześcijaństwa, w której Chrystus nie składa z siebie ofiary, lecz schodzi z krzyża, by mścić się na swoich prześladowcach. Baranka Bożego zastępuje więc Wilk Boży, zaś najstarsza modlitwa kończy się we-

zwaniem „...daj nam też siłę, abyśmy nie przebaczały naszym winowajcom. I pozwól nam odeprzeć pokusy, a zło niech pełza w prochu u stóp naszych”. Jak przyznaje sam Piekara, jest to efekt młodzieńczego niezrozumienia chrześcijaństwa jako ofiary i odkupienia, twórczo przekutego w literaturę na tyle dobrą, by stać się pewnego rodzaju guilty pleasure również dla wierzącego czytelnika. Który zresztą może w ten sposób sam odpowiedzieć sobie na podobne do będących udziałem pisarza rozterek. Bowiern świat, w którym los Syna Bożego nie jest w oczach ludzi trudnym do zrozumienia skandalem, bynajmniej nie jest od naszego świata lepszy... Dodajmy, że w tej okrutnej baśni zarówno anioły, jak i demony bezpośrednio i jawnie ingerują w sprawy i życie ludzi, pomagając, przeszkadzając, nagradzając lub karząc i trudno nieraz, przynajmniej na podstawie metod działania, odróżnić ich od siebie. Cóż, w tym świecie cel na pewno uświęca wszystkie środki. A główny bohater? Funkcjonuje w tym wszystkim jako postać dość plugawa, niestroniąca przy tym od uciech łoża i stołu, opowiadając nam siebie i swoje przygody z cynizmem godnym Franka Underwooda z „House of cards”, lecz czasem i jakąś Szwejkową jowialnością, za którą choćby wbrew sobie znajdziemy dla niego cień sympatii.

► Bardzo dużo wszystkiego

Radykalny w surowości ocen publicysta katolicki Mirosław Salwowski prowadzi portal Kultura dobra, na którym pod kątem wartości i zagrożeń (powiedzmy sobie szczerze – zagrożeń jest więcej) ocenia rozmaite współczesne i trochę starsze filmy. Każdy tytuł poddany zostaje klasyfikacji z uwzględnieniem następujących kryteriów: nieprzyzwoity język, przemoc/groza, nagość/nieskromność, wątki chrześcijańskie i fałszywe doktryny. Punktacja rozpięta zaś zostaje na skali: brak, niewiele, umiarkowanie, dużo, bardzo dużo. Gdyby według tej klasyfikacji przyjrzeć się opowiadaniom Jacka Piekary o inkwizytorze Mordimerze Madderdinie, chyba w każdej z dziedzin trzeba by zaznaczyć najwyższe wyniki, zwłaszcza przyglądając się starszym częściom cyklu. I tylko jakoś tak się dzieje, że Piekarze nawet konserwatywni czytelnicy potrafią to wszystko wybaczyć, choć oczywiście do konserwatywistów krąg fanów inkwizytora się nie ogranicza. Wręcz przeciwnie, popularność pisarza wykracza zdecydowanie ponad podziały polityczne czy światopoglądowe, choć on sam swojego konserwatyizmu i sympatii do prawicy nie ukrywa.

Piekara ma zresztą na koncie mocną antyutopię „Przenajświętsza Rzeczpospolita”, którą można odebrać jako projekcję świata „Cyklu inkwizytorskiego” na III RP. To wizja Polski, która „mogła wybrać wielkość, a wybrała

podłość”, zamordystyczne państwo, w którym liberalni złodzieje do rabowania kraju i jego obywateli wykorzystują ultrareligijną retorykę i błogosławieństwo równie jak oni przegniłego Kościoła. Wizja ta budzić może sprzeciw, lecz i przerażenie, gdy pomyśleć, jak niewiele tak naprawdę brakowało. W kolejnych wydaniach Piekara dodał do akcji drobny, lecz mocny fragment, będący reakcją na wynik wyborów w 2007 roku.

► Obiecujące początki

Ostatnie jak dotąd pozycje cyklu wydają się trochę spokojniejsze od wcześniejszych opowiadań. Choć zarówno w bardzo mrocznym „Kościanym galeonie”, jak i najnowszych „Przeklętych krainach” nie brakuje scen typowych dla pełnego czarnej magii horroru, całość wydaje się jednak dojrzała, tak jak dojrzewa główny bohater, który stopniowo wyzwała się z prostego wizerunku jednoznacznie czarnego charakteru, potrafiącego usprawiedliwić przed sobą i czytelnikiem swoje każde świństwo. „Przekłęte krainy” przenoszą nas z zachodu Europy do półdzikiej, a za murami miast naprawdę dzikiej Rosji. Minimalnie mniej jest tu i przemocy, i erotyki, tu Piekara wydaje się z czasem coraz więcej zostawiać wyobraźni czytelnika. W grze jednak wszystko wróci na swoje tradycyjne miejsce, sami twórcy właśnie w nagości i przemocy upatrują najatrakcyjniejszych dla gracza wabików i nie ma się co oszukiwać – mają rację. Przy czym plany mają bardzo ambitne. W świecie gry realia z książek Piekary (który z kolei dba zawsze o to, by wtedy, gdy nie wymaga tego jego alternatywna wizja średniowiecza, były odmalowane w zgodzie z wiedzą historyczną) mają zostać oddane wiernie. Gracz ma czuć silną identyfikację z postacią, czuć dumę z faktu uczestnictwa w świętym Oficjum, a przy tym mieć poczucie wagi każdego wyboru. Niczym bowiem w Netfliksowym „Bandersnatch”, eksperymentalnym, interaktywnym odcinku „Czarnego lustra”, znaczenie dla dalszego przebiegu gry ma mieć każdy, nawet pozornie najbardziej błahy wybór. Młodzi ludzie ze studia The Dust, które zając się ma stworzeniem gry, zaznaczają przy tym, że chodzi im o rozrywkę, w ramach której umieszczają również alternatywną duchowość świata Mordimera, natomiast na pewno nie jest ich celem obrażenie czyichkolwiek uczuć religijnych. Warto dodać, że gra będzie dla nich zarazem spełnieniem marzeń, jak i wielkim wyzwaniem, dotąd bowiem walczyli w segmencie reklamowym, notując coraz większe sukcesy, również finansowe, co pozwoliło po kilku latach skierować wzrok ku odważniejszemu i bardzo ambitnemu przedsięwzięciu. Początki – udane nawiązanie współpracy z samym Piekarą, pozyskanie inwestorów, wreszcie zapowiedzi, w których widać fanowskie podejście do serii – są obiecujące. ■

Najgłośniejsi desperaci

Nie Dawid Podsiadło, nie Krzysztof Zalewski ani nawet siostry Przybysz – świat nie chce słuchać popowej czołówki z polskich list przebojów. Zamiast tego coraz głośniej robi się wokół niszowej grupy gdańskich rockmanów. Trupa Trupa właśnie wydała swój piąty album.

„Wyberzmy się do Polski” – zaproponował na początku roku w swojej cotygodniowej audycji legenda punkrocka Iggy Pop, a po chwili słuchacze radia BBC 6 Music mogli usłyszeć psychodeliczne dźwięki gitar gdańskiego zespołu Trupa Trupa. Kilka dni później przez polskie media przewinęła się fala entuzjastycznych komentarzy, a wielu rodzimych słuchaczy zaczęło nerwowo wklepywać w wyszukiwarki nazwę tej tajemniczej grupy. To, co jednak w Polsce nie do końca znane, poza granicami świeci triumfy już od dłuższego czasu. Informacje o muzyce gdańszczan regularnie pojawiały się w takich serwisach, jak Pitchfork, „Rolling Stone”, NPR czy w amerykańskim „Newsweeku”.

Grają w czteroosobowym składzie. Najnowszy krążek „Of the Sun” to ich piąta płyta. Dwie pierwsze zostały wydane własnym sumptem, a rozgłos rozpoczął się od trzeciej – „Headache”, wydanej już przez angielską wytwórnię Blue Tapes and X-Ray Records.

Dzisiaj w wydawcach mogą już przebierać, z czego zresztą świadomie korzystają.

Choć liderem grupy jest poeta Grzegorz Kwiatkowski, mający na swoim koncie kilka dobrze przyjętych tomików, to jego muzyka wydaje się jednak ucieczką od poezji w stronę minimalizmu i prostoty środków wyrazu. Wszystko na dodatek tonie w mrocznej melancholii, która na szczęście nie zaraża i którą nie sposób się znudzić.

Po otwierającym album przebojowym „Dream About” uderza ciężkie, garażowe brzmienie „Mangle”. To, co przede wszystkim zwraca na siebie uwagę, to klimat nagrań, który jest zdecydowanie na pierwszym planie.

Do często ukrytych melodii trzeba się dopiero dogrzebać, przebić przez pozorny chaos chropowatych, ciężkich dźwięków. Warto podjąć jednak trud, wyteńczyć zmysły i zaakceptować specyficzną konwencję, gdyż pod warstwą muzycznego brudu kryje się wiele perełek, jak choćby w tytułowym utworze „Of the Sun”.

Rozstrojone pianino, w tle piski, głośnie kroki, szumy, jakby ktoś bawił się regulatorem głośności w krótkofalówce. A jednak te dźwięki coraz bardziej wkręcają w swoją tajemnicę, zaczyna intrygować sposób, w jaki się układają, i tak aż do końca, gdy przechodzą w dojmującą ciszę.

Trupa Trupa w sposób perfekcyjny bawi się nastrojem. W „Angle” dosłownie wieje nostalgią, dochodzące z tła dźwięki przenikają utwór niczym wiatr. Akustyczne brzmienie daje wytchnienie przed nadchodzącą eksplozją mocnego rytmu „Longing” i porównującym „Remainder”. Wściekłość w utworze „Turn” gładko przechodzi

w nostalgię pięknego „Satellite”. Trudno uwolnić się od ilości skojarzeń, które przychodzą do głowy w trakcie odsluchu. Choć jeszcze przed chwilą w „Of the Sun” słychać było wyraźną inspirację Radiohead, teraz rozbrzmiewa charakterystyczna maniera Nirvany. Na najnowszym albumie Trupy w poszukiwaniu śladów możemy bawić się w nieskończoność. Na pewno nie jest to płyta na jednorazowe przesłuchanie.

Przed zespołem napięty plan koncertowy, właśnie grają w Londynie, za chwilę pojawiają się w Nowym Jorku. W listopadzie na pięć występów wrócą do Polski – to doskonała okazja, by skonfrontować ich nowy album na żywo. Dalej, aż do końca roku, kontynuują światowe tournée. ■



Trupa Trupa, OF THE SUN, Glitterbeat 2019

Warszawa: **101 FM, DAB+**

Ostrołęka: **100,8 FM**

Płock: **101,9 FM**

Ostrów Maz.: **87,6 FM**

Radom: **89,1 FM**

Siedlce: **103,4 FM**



Posłuchaj nas: **101 FM**

www.rdc.pl/rdcplayer

Aplikacja **Radio RDC**



www.rdc.pl



facebook.com/radiordc



instagram.com/radiodlaciebie

eprasa.pl 6c61614e52



twitter.com/rdcpolskieradio



KURORT PONOWNIE ŚWIADKIEM DEBAT O POLITYCE I GOSPODARCE

Dyskusje o przyszłości, polityce surowcowej
i bezpieczeństwie Polski i Europy



Motto ostatniej edycji Forum Ekonomicznego w Krynicy-Zdroju brzmiało: „Europa jutra. Silna, czyli jaka?”. Uczestnicy tego spektakularnego wydarzenia mieli możliwość wzięcia udziału w ponad 200 debatach, sesjach i innego typu spotkaniach.



W tej największej konferencji w Europie Środkowo-Wschodniej wzięło udział ponad 4,5 tys. gości z Europy, Azji Centralnej i USA. Swoje poglądy dotyczące aktualnej sytuacji politycznej, gospodarczej i społecznej na świecie wymieniali szefowie rządów i parlamentów, ministrowie i parlamentarzyści z krajów naszego regionu, prezesi największych spółek, eksperci, przedstawiciele świata nauki, kultury oraz mediów z ponad 60 krajów.

Podobnie jak w latach poprzednich zostały wręczone nagrody Forum Ekonomicznego.

► Premier „Człowiekiem Roku”

Decyzją Rady Programowej w tegorocznej edycji Forum „Człowiekiem Roku” został premier Mateusz Morawiecki. Nagrodę wręczyła marszałek Sejmu Elżbieta Witek.

– W 2018 r. Polska pokazała lwi pazur, zawdzięczamy to przedsiębiorcom, którzy biorą byka za rogi, którzy biorą ryzyko na siebie. To także nagroda dla nich – mówił premier, odbierając nagrodę. Myślę, że możemy mieć nadzieję, że za kolejne czternaście lat będziemy mogli powiedzieć, że jesteśmy mniej więcej na poziomie rozwoju gospodarczego jak państwa Europy Zachodniej – podkreślił premier.

Nagrody przyznano także w trzech innych kategoriach. Tytułem firmy roku wyróżniono największy polski bank – PKO BP. Nagrodę Gospodarczą SGH w Warszawie (jednocześnie nagrodę specjalną Forum) otrzymała szefowa grupy Luxmed, Anna Rulkiewicz. Podczas gali wręczono także nagrodę Nowa

FOT. FOT. MARCIN PEGAZ/GAZETA POLSKA

Kultura Nowej Europy im. Stanisława Vincenza – za wybitne osiągnięcia w popularyzacji kultury naszego regionu. Jej laureatem został węgierski literaturoznawca i historyk kultury Csaba György Kiss.

► Głosy w debatach

Podczas inauguracyjnej sesji plenarnej tegorocznego Forum Paweł Borys, prezes Polskiego Funduszu Rozwoju, zauważył, że nie wszystkie kraje są zgodne w kwestiach integracji oraz wspólnego budżetu. Z tego powodu państwa członkowskie Unii Europejskiej powinny odnaleźć kwestie, które je łączą, dążyć do ich rozwoju i rozwiązywania problemów. Do takich dziedzin należy: bezpieczeństwo, zdrowie, edukacja, polityka energetyczna. Zdaniem szefa PFR strefa euro w ciągu 10 ostatnich lat łączyła się ze słabym wzrostem gospodarczym, rosnącym zadłużeniem i dodrukowywaniem pieniędzy. Obecnie sytuacja ta zaczęła ulegać polepszeniu. Mimo wszystko jest jeszcze wiele problemów do rozwiąza-

min. Piotr Naimski, pełnomocnik rządu ds. strategicznej infrastruktury energetycznej. Polityk przypomniał o niedawno podpisanym przez Polskę z Ukrainą i USA dokumencie „Memorandum Of Understanding”. – Wyraża on intencję współpracy między tymi krajami w sytuacji, gdyby Ukraina potrzebowała więcej gazu na wypadek kryzysu – tłumaczył minister. – Wówczas Ukraina mogłaby dokonać zakupu tego paliwa w postaci LNG z USA i przesłać go z gazoportu w Świnoujściu przez gazociąg i interkonektor już istniejący lub nowo wybudowany, w ilości nawet do 5–6 mld m³ rocznie.

W opinii Zbigniewa Leszczyńskiego, członka zarządu ds. rozwoju PKN Orlen, system zapewnienia bezpieczeństwa energetycznego w naszym kraju działa prawidłowo. Jego zdaniem przyczynia się do tego coraz większa dywersyfikacja dostaw surowców energetycznych. – Dzięki temu, poprzez zapewnienie importu ropy z Arabii Saudyjskiej, USA, Angoli czy Nigerii, uniezależniamy

PAŃSTWA CZŁONKOWSKIE UNII EUROPEJSKIEJ POWINNY ODNALEŹĆ KWESTIE, KTÓRE JE ŁĄCZĄ, I DAŻYĆ DO ICH ROZWOJU.

nia, w tym 3 mln młodych osób w Unii, które pozostają bez pracy, oraz odnalezienie się wobec relacji USA i Chin.

Występujący w debacie poświęconej rozwojowi kolei wiceminister infrastruktury Andrzej Bittel zauważył: – Musimy rywalizować z gwałtownie przysrastającym ruchem samochodowym. Uruchomiony przez władze Fundusz rozwoju przewozów autobusowych pozwoli m.in. przybliżyć dostępność kolei zwłaszcza do mniejszych miejscowości, w których nie jest obecna, poprzez skorelowanie rozkładów jazdy autobusów dojeżdżających do miast, do których dociera kolej. Rozwój kolei powinien też przyspieszyć w związku z budową Centralnego Portu Komunikacyjnego, dzięki któremu powstaną szybkie, 1–2-godzinne połączenia kolejowe głównych miast w Polsce z CPK. Także uruchamiany program Kolej Plus przyczyni się do wsparcia rozwoju i rewitalizacji linii kolejowych, zwłaszcza o znaczeniu lokalnym, i powstrzymania ich degradacji.

► Bezpieczeństwo energetyczne

W innej debacie, poświęconej transformacji rynku dostaw gazu ziemnego do Europy, wystąpił

się od dostaw z Rosji, jeszcze nie tak dawno dominujących w naszym imporcie – dodał Leszczyński.

Artur Zawartko, wiceprezes Gaz-System SA, mówił o planach rozbudowy systemu sprowadzania gazu. Chodzi m.in. o realizację rurociągu, częściowo podmorskiego, Baltic Pipe, który umożliwi bezpośrednie dostawy gazu do Polski z Norwegii przez Danię. – W najbliższych dniach rozpoczynamy także budowę interkonektora na granicy polsko-słowackiej, dzięki któremu gaz będzie mógł płynąć w obu kierunkach. Zaczynamy również postępowanie przetargowe na połączenie z Litwą.

– Stoimy na progu rewolucji technologicznej w zakresie IT – mówił Wojciech Drożdż, wiceprezes ds. innowacji i logistyki Enea Operator. – W obecnych czasach najważniejsza staje się przewaga w dostępie do wiedzy. Ci, którzy ją osiągną, będą mogli spać spokojnie. Dążymy do tego, by w naszych sieciach funkcjonowało jak najwięcej automatyki. Przełożenie infrastruktury pod ziemię pozwoliłoby się uniezależnić od kapryśności pogody i poprawić wskaźniki ciągłości dostaw.

Organizatorem Forum Ekonomicznego w Krynicy jest Fundacja Instytut Studiów Wschodnich. ■



Kamil Goral

Z ZUS-em trzeba ostrożnie

Pomysłów na zmiany w ZUS dotyczących przedsiębiorców jest mnóstwo. Jedni w ogóle zlikwidowaliby tę instytucję. Twierdzą bowiem, że to bankrut jadący na oparach i tylko patrzeć, jak w eter pójdzie informacja, że nie ma środków na wypłaty świadczeń. Furore robią „ekonomiści” drwiący do rozpuku, że ten system nie ma sensu, jest tylko piramidą taką samą jak ta, którą wymyślił włoski cwaniak Ponzi.

Są też stanowiska bardziej umiarkowane, zakładające, że dla przedsiębiorców ubezpieczenia na ZUS powinny być dobrowolne. Chcesz? Płać. Nie chcesz? Nie płać. Jeśli wybierasz tę drugą opcję, pamiętaj jednak o tym, że

a 2020 rokiem będzie większy, co przełoży się na wyższe o niemal 10 proc. składki. Dlatego pojawiają się pomysły, aby składki nie były uzależnione od prognoz, te bowiem mogą się nie ziścić, co dla przedsiębiorców może mieć bardzo poważne następstwa.

Wśród idei proponowanych przez dążących do poprawy doli firm placących ZUS jest także ta rządowa, aby składka, przynajmniej w wypadku mniejszych firm, uzależniona była od wysokości dochodu. Faktycznie obecnie obowiązujący ryczałt jest dla mniejszych przedsiębiorców dużym ciężarem. Bo czy jest zysk, czy go nie ma – to państwowego ubezpieczyciela nie interesuje. Przelew musi

FAKT, ŻE PROPOZYCJI ZMIAN DOTYCZĄCYCH ZUS JEST TAK DUŻO,
POKAZUJE, JAK WAŻNY TO TEMAT.

na emeryturę oszczędzić musisz we własnym zakresie. Taka alternatywa opiera się na założeniu, że ludzie postępując racjonalnie, nie będą masowo rezygnować z państwowego ubezpieczyciela. A nawet jeśli z niego zrezygnują, to zabezpieczą się, korzystając z bogatej oferty, jaką zapewnia rynek finansowy. W końcu przedsiębiorcy powinni być przewidujący i patrzeć kilka kroków naprzód. W tym również na kwestię „jesieni życia”. Na to rozwiązanie nie ma jednak w chwili obecnej większych szans. Lansujący je Adam Abramowicz – rzecznik małych i średnich przedsiębiorców – nie uzyskał bowiem od rządu konkretnych deklaracji wsparcia swojego pomysłu. Wydaje się zatem, że Zjednoczona Prawica akurat na jego realizację w swoim programie specjalnie nie stawia.

Inna propozycja to zmiana metodologii obniżania składki na ZUS. Obecnie fundament algorytmu to przewidywana przeciętna wysokość wynagrodzeń w gospodarce narodowej. To zaś oznacza, że wysokość składki zależy od poziomu tej zmiennej w przyszłości. To z kolei może być źródłem poważnej niepewności, a nawet skutkować znacznym wzrostem obciążeń. W przyszłym roku mają one wzrosnąć o 127 zł, bo rząd na ten rok nie doszacował wzrostu płac, stąd przeskok między 2019

być, koniec, kropka. Dlatego propozycja rządu przynieść może wielu firmom ulgę. Oczywiście także tutaj pojawiają się pytania, na przykład co w przypadku, kiedy firma notuje straty? Albo czy możliwość skorzystania z proporcjonalnej od dochodu stawki będzie opcjonalna, czy uzależniona od jakiegoś progu, a jeśli ma to być próg, to w jakiej wysokości i czy będzie się on zmieniał wraz na przykład ze zmianą jakiegoś innego wskaźnika w gospodarce? To niezwykle istotne szczegóły, bo od nich zależeć może los milionów polskich przedsiębiorców.

Nie da się wyczerpać tematu zmian w ZUS w jednym tekście, pewne rzeczy można jedynie zasygnalizować. Fakt, że propozycji tych zmian jest tak dużo, pokazuje jednak, jak ważny to temat. I że z tymi zmianami trzeba być bardzo, bardzo ostrożnym. Zamiast pomóc, można bowiem zaszkodzić. Tu potrzebna jest chirurgiczna precyzja. Rozmawiajmy zatem o zmianach, ale tylko wtedy, kiedy na stole są konkrety.

Rada Gospodarcza
STREFY WOLNEGO SŁOWA



Ryszard Czarnecki

Komisja Europejska: w cieniu afer czy „afer”?

Gdy panią minister rozwoju regionalnego aresztowano pod zarzutami korupcyjnymi, w więzieniu spędziła miesiąc. A później, przez ostatnie pięć lat była eurokomisarzem. Teraz znów jej rząd zgłosił ją do Komisji Europejskiej. Chodzi o Vêre Jourovą. Brzmi sensacyjnie? Jasne. Tyle że bądźmy bardziej wnikliwi niż tabloidy: Czeszka została uwolniona z zarzutów, a nawet wypłacono jej odszkodowanie za czas spędzony za kratami.

Inna historia. Gdy reprezentowała swój kraj w Parlamencie Europejskim, zatrudniała asystenta, który jednak nie pracował w Brukseli – jak to przedstawiała i jak wymagały tego przepisy – tylko w Paryżu, i to na rzecz jej partii. Europejskie CBA, czyli OLAF, wszczęło w związku z tym wobec owej europosłanki z Francji postępowanie – a była nią Sylvie Goulard. Zakończyło się ono sensacyjną dymisją nie tyle z funkcji eurodeputowanego – bo to formalnie niemożliwe – tylko ze stanowiska... ministra obrony. Pełniła je zaledwie trzy tygodnie i była bodaj najkrótszym stażem ministrem „od czasów wojny”. A dziś po dwóch latach od owej dymisji jest kandydatem Francji na komisarza. Myślę, że ma 99 proc. szans na wybór. Skądinąd podobnie jak Czeszka. Co do Francuzki to istnieje hipoteza, że Macron stanowisko komisarza obiecał jej już w 2017 roku, gdy jej dymisja posłużyła z kolei do wymuszenia dymisji z rządu na Francois Bayrou, jednym z liderów liberalnego centrum, który poparł Macrona, ale potem stał się dla niego balastem. Manewr się powiódł, a Goulard będąca elementem rozgrywki między Macronem a Bayrou, straciła stanowisko szefa resortu obrony, by zapewne po niespełna 2,5 roku zyskać stanowisko komisarza.

Kolejny przypadek. Były minister spraw zagranicznych jest posądzony o korupcję i pranie brudnych pieniędzy. Nie byłoby to może czymś nadmiernie sensacyjnym, gdyby nie chodziło o kraj będący jednym z ojców założycieli Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali, a potem EWG. Ba, ów minister Didier Reynders to kandydat na komisarza z ramienia Belgii. „Jego” afery wiąże się z budową belgijskiej ambasady w Kinszasie, którą nadzorował właśnie szef MSZ. Jednak przyglądając się temu bliżej, okaże się, że Monsieur Reynders to Walon, frankofon, a atak na niego przypuściła flamandzkojęzyczna „De Tijd”. Belgijski kandydat na komisarza ma w swoim politycznym CV bycie wicepremierem,

ministrem obrony i długi czas ministrem finansów. Być może zatem cała „afery” jest elementem rozgrywek między Walonami a Flamandami. Przypomnijmy, że podobne zarzuty antykorupcyjne były stawiane innemu byłemu szefowi MSZ Belgii, też komisarzowi – i też Walonowi! – Louisowi Michelowi (skądinąd jego syn Charles Michel był premierem Belgii, a teraz jest kandydatem na szefa Rady Europejskiej).

Kolejny paszтет dla przewodniczącej von der Leyen jest produkcji portugalskiej. Kandydatka na komisarza Elisa Ferreira – teka: fundusze strukturalne – ma problem, bo jej mąż jest prezydentem CCDR, czyli struktury odpowiadającej za podział... funduszy strukturalnych w północnej Portugalii. Klasyczny konflikt interesów z rodziną w tle.

Następny przypadek. Czy możliwe jest, aby minister wraz z mężem przez cały rok utrzymywała się tylko z... emerytury męża? Tym tematem żyją rumuńskie media w kontekście kandydatki na komisarza. Majątek Rovany Plumb ma być niezgodny ze środkami, które realnie zarabia. Co ciekawe, kandydatka na reprezentanta Rumunii w KE stwierdziła, że prawie cały swój dochód za 2016 rok przekazała w formie pożyczki... macierzystej partii socjalistycznej. Dodatkowo media wyciągały jej sprawę sprzedaży wyspy (sic!), w co miała być ponoć zamieszana.

Na koniec. Gdy był ministrem w swoim kraju, oskarżano go o udział w aferze korupcyjnej. Sprawa została umorzona. Teraz podnosi się kwestię, że z fundacji, którą współkieruje, miało wyparować 300 tys. euro. Mimo to Josep Borel, były szef PE (2004–2007), socjalista, jest kandydatem Hiszpanii na High Representative, czyli komisarza odpowiedzialnego za politykę zagraniczną i bezpieczeństwo.

Wszystkich tych kandydatów zgłosiła już wybrana przewodnicząca Komisji Ursula von der Leyen. Ona sama jest atakowana za zawieranie przez resort obrony RFN, którym kierowała w latach 2013–2019, wielomilionowych kontraktów bez przetargów.

Pamiętajmy jednak o zasadzie domniemania niewinności. A w polityce robi się różne „numery”, aby wyeliminować politycznych przeciwników... ■



Jesteśmy liderem w produkcji miedzi i srebra.
Umożliwiamy rozwój nowoczesnego świata.

KGHM Polska Miedź S.A. | ul. M. Skłodowskiej-Curie 48 | 59-301 Lubin | www.kghm.com



Hanna Shen



Kiedy nasze DNA trafi w ręce Chińczyków



Opublikowany w sierpniu 2019 roku raport Center for Study of Existence Risk (CSER) na Uniwersytecie w Cambridge ostrzega, że niebawem powstanie broń biologiczna, która dzięki analizie ludzkiego DNA będzie oddziaływać na osoby z określonej grupy etnicznej. Mocno zaangażowana w gromadzenie materiału genetycznego i rozwój takiej broni jest Chińska Republika Ludowa (ChRL). DNA to dla Pekinu „nowa magiczna broń”^{*}.

^{*} W przemówieniu z sierpnia 2014 r. prezydent Chin Xi Jinping wymienił „trzy magiczne bronie”: Chińską Armię Ludowo-Wyzwoleńczą, propagandę i taktyki Zjednoczonego Frontu (agencji Komitetu Centralnego KPCh, której głównym zadaniem jest sprawowanie kontroli nad „niepartyjnymi” organizacjami w Chinach i za granicą oraz tworzenie organizacji wpływu). Dziś jako 4. magiczną broń Chin eksperci wymieniają DNA.

Chiny gromadzą, analizują i przechowują DNA ogromnej liczby swoich obywateli. Istnieje kilka programów poboru DNA, a celem jest pozyskanie go od całej 1,4-miliardowej populacji Państwa Środka. Wiadomo, że jeden z programów dotyczy tzw. kłopotliwych mniejszości jak Ujgurowie czy Kazacy.

► DNA od „kłopotliwych”

W lutym tego roku 38-letni Ujgur Tahir Imin opowiedział swoją historię dziennikarce „New York Timesa”^{*}. Mężczyzna został wezwany na sprawdzenie stanu zdrowia, ale nie zbadano jego serca czy nerek. Zeskanowano za to jego twarz, nagrano głos i pobrano krew oraz odciski palców. Podobnie brzmi historia innego Ujgura – Tahira Hamuta. W maju 2017 roku ten zamieszkały dziś w USA filmowiec pod nadzorem policji poddany został badaniom, które polegały na pobraniu krwi, odcisków palców, zeskanowaniu twarzy i nagraniu głosu. Hamut mówi, że w kolejce za nim na podobne badania czekało mniej więcej 20–40 innych Ujgurów. Filmowiec nie wierzy, by przyszli tam z własnej woli. Podobne „badania” przeszła większość z ponad miliona Ujgurów uwięzionych w tzw. obozach reedukacji w chińskiej prowincji Xinjiang.

„Badania dla wszystkich” to oficjalna nazwa programu testów medycznych w Xinjiangu. W latach 2016–2017 objął on, według komunistycznej agencji Xinhua, 36 mln osób. Ujgurowie mówili, że podczas badań pobierane były od nich próbki DNA. Władze Xinjiangu temu zaprzeczyły, a na pytanie o zakup sprzętu do badań DNA odpowiedziały, że to na „użytek wewnętrzny”.

Dostępne są informacje o podobnych badaniach w innych prowincjach. 2 grudnia 2017 roku „Wall Street Journal” („WSJ”) pisał o tym, że od dzieci w przedszkolach i szkołach w prowincji Sichuan w powiecie Qianwei, gdzie mieszka mniejszość etniczna Yi, pobierano próbki śliny. Ślina jak krew może być wykorzystana do wykonania badania DNA.

Jednak według „WSJ” „badania” nie dotyczą tylko mniejszości etnicznych. Duży odsetek stanowią krytykującą partię komunistyczną na platformie społecznościowej Weibo^{**}, również ci, którzy nie mają przy sobie dowodu tożsamości, i członkowie

^{*} Artykuł pt. „China uses DNA to track its people, with the help of American Expertise”.

^{**} Weibo to chiński odpowiednik zablokowanego w ChRL Twittera.

grup, które według policji „zagrożają stabilności społecznej”, czyli na przykład migrujący pracownicy, górnicy i wynajmujący mieszkania.

Zdaniem Stevena W. Moshera, szefa amerykańskiego Instytutu Badań nad Populacją i autora książki „Azjatycki tyran”, kiedy w całym Państwie Środka będzie już obowiązywał nowy chiński system kredytów społecznych***, następnymi „dawcami” DNA będą ci z najniższą oceną kredytu społecznego. Wspólnicy z Zachodu.

Osiągnięcie przewagi w biotechnologii to jeden z punktów strategii Made in China 2025. Plan ten ma sprawić, że ChRL stanie się superpotęgą gospodarczą i będzie krajem tak rozwiniętym pod względem produkcji nowych technologii, że zdominuje

niu amerykańskiej technologii do łamania praw człowieka przez chińskie władze. Ostatecznie w lutym 2019 roku Thermo Fisher ogłosił, że zaprzestaje sprzedawania sprzętu do Xinjiangu.

Chińskie firmy uzyskują dostęp do amerykańskiej technologii także poprzez zakup firm z USA. Ta metoda wykorzystywana jest również przez firmy biotechnologiczne. W 2010 roku Pekijski Instytut Genomiki (BGI) otrzymał wsparcie od rządu Chin w formie 10-letniej pożyczki w wysokości 1,5 mld dolarów, co m.in. umożliwiło mu zakup 128 sztuk sprzętu do sekwencjonowania DNA. BGI szybko stał się światowym liderem w tej dziedzinie. Aby ulepszyć technologię, BGI kupił Complete Genomics, amerykańską firmę zajmującą się se-

CHINY ZACZĘŁY GROMADZIĆ, ANALIZOWAĆ I PRZECHOWYWAĆ DNA OGROMNEJ LICZBY NIE TYLKO SWOICH OBYWATELI, LECZ TAKŻE AMERYKANÓW.

światowe rynki zaawansowanych technologii i wyprze zagranicznych rywali. Osiągnięcie tego celu, a przy tym budowa aparatu totalnej kontroli i być może w przyszłości eliminacja niewygodnych obywateli, odbywa się z udziałem zachodnich firm.

Jak podała organizacja Human Rights Watch (HRW), w 2017 roku do programu „Badania dla wszystkich” w Xinjiangu wykorzystywano sprzęt do sekwencjonowania DNA amerykańskiego koncernu laboratoryjnego Thermo Fisher. Gdy HRW skontaktowała się z koncernem, usłyszała, że nie jest on w stanie monitorować wykorzystania lub zastosowania wszystkich wytwarzanych przez niego produktów.

Sprawą zainteresowali się amerykańscy politycy, przede wszystkim senator Marco Rubio, który od lat postuluje, aby położyć kres wykorzystywa-

niem DNA. To dodatkowo sprawiło, że chińska firma zapewniła sobie dostęp do bazy danych DNA zawierającej prywatne informacje genetyczne dużej liczby Amerykanów.

► Amerykańskie DNA już w Chinach

I tak Chiny zaczęły gromadzić, analizować i przechowywać DNA ogromnej liczby nie tylko swoich obywateli, lecz także Amerykanów. Raport przedstawiony w lutym tego roku przez Komisję ds. oceny sytuacji gospodarczej i bezpieczeństwa w relacjach USA-Chiny w Kongresie USA stwierdza, że BGI „wszedł w liczne partnerstwa z amerykańskimi dostawcami opieki zdrowotnej i organizacjami badawczymi w celu zapewnienia sekwencjonowania genetycznego na dużą skalę”. Steven W. Mosher w artykule**** na łamach angielskiego wydania gazety „Epoch Times” pisze, że BGI może oferować swoje usługi tanio, ponieważ tak jak Huawei jest subsydiowany przez państwo. Ta tania usługa zapewnia BGI, a tym samym chińskim władzom, dostęp do danych o sekwencji genetycznej, a także do danych medycznych Amery-

*** Ostateczne wprowadzenie systemu kredytów społecznych władze Chin zapowiedziały na 2020 rok. System ma oceniać m.in. aktywność jednostki w mediach społecznościowych, siatkę znajomych, miejsca, które odwiedza (w sieci, w realu). Zachowanie zgodne z aktualną linią partii komunistycznej będzie oznaczało ocenę pozytywną. Negatywna przypadnie za posiadanie odmiennego zdania w dowolnej kwestii lub zachowanie odbiegające od normy.

**** Art. pt. „What will China do with your DNA?”.

kanów. I jest to ogromna baza, ponieważ pochodzi z wielu amerykańskich projektów badawczych.

W Stanach bardzo popularna jest też genealogia genetyczna pozwalająca na wykonanie testów DNA określających pochodzenie przodków. Mosher zwrócił się do trzech czołowych firm amerykańskich wykonujących takie testy – MyHeritage, AncestryDNA, and 23andMe – z pytaniem, gdzie dokonywana jest analiza próbek. MyHeritage odpowiedziało, że w Teksasie. AncestryDNA przyznało, że analizy mogą się odbywać w innych krajach niż USA, a trzecia z firm nie odpowiedziała w ogóle.

W internecie można znaleźć także chińskie firmy, które oferują testy DNA, na przykład WeGene. W umowie, która znajduje się na stronie firmy, WeGene przyznaje, że jeśli będzie taka konieczność, to przekaze informacje dotyczące analizowanych danych odpowiednim organom państwowym. Steven W. Mosher zauważa, iż „działania państwa-partii na rzecz stworzenia ogromnej bazy danych DNA oznaczają, że taka »konieczność« już istnieje”. A obowiązkiem udostępniania danych komunistycznym władzom nakładają na chińskie firmy Ustawa o bezpieczeństwie narodowym z 2015 i Ustawa o cyberbezpieczeństwie z 2016 roku.

► Magiczna broń w akcji

Mosher w artykule na łamach „Epoch Times” słusznie alarmuje, że zgromadzona przez Chiny ogromna baza amerykańskich danych genomowych i innych kwestii zdrowotnych może zostać wykorzystana do celów wojskowych i cywilnych. A to sprawia, że „zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego jest realne”.

Raport przygotowany przez Komisję ds. oceny sytuacji gospodarczej i bezpieczeństwa w relacjach USA-Chiny stwierdza, że będąc w posiadaniu takich danych i wykorzystując wiedzę na temat podatności na zagrożenia czy słabości zdrowotne konkretnych jednostek, ChRL może przeprowadzić na nie atak biologiczny. Jednostki, które szczególnie są tu zagrożone, to dyplomaci, politycy, wysocy rangą urzędnicy federalni lub przywództwo wojskowe.

Mosher pisze o jeszcze bardziej drastycznym scenariuszu, w którym obiektem ataku nie będzie jednostka, lecz na przykład jedna rasa. „Czy możliwe byłoby poddanie bioinżynierii bardzo złośliwej wersji powiedzmy ospy, która byłaby łatwo przenoszona, śmiertelna dla innych ras, ale na którą Chińczycy mieliby naturalną odporność? Chociaż

nie informuje się jeszcze o zastosowaniu zaawansowanej, genetycznie ukierunkowanej broni biologicznej, to z pewnością nie będzie ona poza zasięgiem rozwijającego się szybko chińskiego przemysłu biotechnologicznego. Biorąc pod uwagę naszą obecną zdolność do manipulowania genomami, jeśli można wyobrazić sobie taką broń biologiczną, prawdopodobnie można ją – przy wystarczającym czasie i zasobach – wprowadzić w życie” – pisze autor książki „Azjatycki tyran”. To byłaby prawdziwa broń masowego rażenia.

Mosher zadaje pytanie, czy KPCh mogłaby mieć jakieś moralne opory powstrzymujące ją od opracowania i wykorzystania takiej broni. A czy może je mieć organizacja, która zabiła w swoim kraju prawie 100 mln obywateli, która nadal tworzy obozy koncentracyjne, stosuje politykę kontroli urodzeń, która zakłada przymusowe aborcje i sterylizacje, która dokonuje przymusowego pobierania organów od więźniów sumienia czy która prześladowa za wiarę i krytykę partii? Odpowiedź jest jasna.

► W Polsce problem nie istnieje?

9 września tego roku na Wydziale Elektroniki i Technik Informacyjnych Politechniki Warszawskiej otwarto Szanghajsko-Warszawskie Laboratorium Sztucznej Inteligencji. Jak podaje Biuletyn PW, laboratorium powstało w ramach projektu „Nowy jedwabny szlak”, a jego partnerami są Shanghai Science & Technology Innovation Resources Data Center oraz Instytut Informatyki Politechniki Warszawskiej. Nowo powstała instytucja będzie mieć swoje siedziby na Politechnice Warszawskiej oraz w Szanghaju i będzie się zajmować rozwojem algorytmów sztucznej inteligencji oraz ich wykorzystywaniem do analizy danych. Przyszłe projekty będą dotyczyć analizy sekwencji DNA, analizy obrazów medycznych oraz danych finansowych.

Partnerstwo zawarte między polską uczelnią a stroną chińską to nic innego jak powtarzanie scenariusza, który przerabiali już Amerykanie dziś alarmujący, że kooperacja ta doprowadziła do zwiększenia zagrożenia dla bezpieczeństwa ich państwa i obywateli. Owo doświadczenie USA, ale i cele Chin, są dość dobrze opisane i powinny być znane polskim naukowcom, uczelniom i służbom. Czy udajemy, że problemu nie ma? Czy przypadkiem przysmykając oczy na zagrożenie, nie jesteśmy na drodze, by stać się nieświadomymi partnerami w chińskim programie masowego pobierania DNA i niewykłuczone, że jego ofiarami? ■



Olga Doleśniak-Harczuk



Poparcie dla AfD nie bierze się z powietrza

Tygodnik „Spiegel” zadał pytanie, jak to możliwe, że 80 lat od zakończenia II wojny światowej Niemcy skłaniają się ku takiej ekstremie jak AfD. Zaproponowałem wtedy, by zmienić perspektywę i raczej zadać pytanie, jak dalece pewna część społeczeństwa nie zgadza się z kierunkiem politycznym obranym przez niemieckie elity. Poparcie dla AfD nie bierze się z powietrza – z **Borisem Reitschusterem** rozmawiają **Olga Doleśniak-Harczuk** i **Antoni Opaliński** (PR24).

► **Alternatywa dla Niemiec (AfD) jest uważana za partię prorosyjską, nie bez podstaw zresztą. Jednak to nie AfD zainicjowała budowę Nord Stream II, dokonał tego polityczny establishment Republiki Federalnej Niemiec. Jednych się stygmatyzuje za prorosyjskość, w przypadku innych temat pomija się milczeniem. Skąd się wzięły te podwójne standardy?**

W przypadku AfD stygmatyzacja nie łączy się z ich proputinowskim odchyłem. Członków i sympatyków AfD określa się w Niemczech mianem rasistów, nazistów, co zresztą uważam za groźną tendencję. Owszem, w AfD są i mało strawne postaci, ale przypisywanie całej partii gęby nazistów to fatalne rozwiązanie i błąd. Władimir Putin doskonale wyczuł ten nastrój, on ma nosa do takich dwuznacznych sytuacji i potrafi je doskonale rozegrać na swoją korzyść. Służby rosyjskie zadbały o dobre samopoczucie wielu członków AfD, zapraszano ich do Moskwy, stworzono wrażenie, że są ważni, wpojono im przekonanie, że Putin jest obrońcą zachodniej cywilizacji. Ostoja tradycyjnych wartości, kimś, kto stawi opór postępującej homoseksualizacji etc.

Putin osiągnął mistrzostwo w instrumentalizowaniu AfD dla swoich celów, ale to też nie oznacza, że wszyscy w AfD dali się na to nabrać. Poza tym AfD istniałaby i bez Putina, on nie stworzył jej struktur, tylko umiejętnie je wykorzystuje, tak jak od lat czyni to z postkomunistyczną partią Linke. Z drugiej strony bawi mnie, kiedy członkowie innych partii z pewną kategorię zarzucają AfD prokremlowskie sympatie, zwłaszcza socjaldemokraci potrafią się w tym względzie zachować groteskowo. Nie znam ani jednego byłego członka AfD, który oficjalnie pracuje dla Putina. Kiedy „Spiegel” poświęcił kilka stron na swoich łamach trzeciorzędnemu politykowi AfD jeżdżącemu do Moskwy, pomyślałem: „OK, a gdzie jest artykuł o Gerhardzie Schröderze?”.

► **Na ile prorosyjskość części niemieckiego społeczeństwa i elit jest związana z ich antyamerykanizmem?**

Zastanawiałem się w jednym z tekstów nad źródłami prokremlowskich sympatii Niemców i nakreśliłem wtedy 19 punktów. antyamerykanizm był jednym z nich. Inne to pokutujące od czasu Bismarcka wśród Niemców przekonanie, że z Rosją zawsze warto trzymać, ja to nazywam kompleksem Ribbentropa-Mołotowa. Do tego dochodzi jeszcze silne poczucie winy za niemieckie winy wobec Rosjan z czasu II wojny światowej. Istnieje cały szereg powodów decydujących o prokremlowskim nastawieniu Niem-

ców i Putin potrafi je świetnie zagospodarować. Wyczuwa każdą słabość i obraca ją na swoją korzyść, jest w tym niesamowicie sprawny. Dużym ułatwieniem jest podatność niemieckich elit na korupcję, pojęcie „szrederyzacji elit” nie wzięło się znikąd. To zatrważające, ilu polityków w Niemczech marzy o tym, by dostać posadę u Putina w Gazpromie czy w Rosnieftie. Bez żadnej refleksji nad przestępczym charakterem tego systemu.

► **System ten zatacza też medialne kręgi. Sukces Russia Today tylko to potwierdza.**

Tak, ale trzeba pamiętać, czemu Russia Today zawdzięcza pośrednio swoje powodzenie. Niemieckie media publiczne przemilczają tematy trapiące dużą część społeczeństwa, a Russia Today je wtedy podejmuje i szczegółowo omawia. Gdyby media publiczne w Niemczech były bardziej zrównoważone i pluralistyczne, Russia Today nie miałaby pola do działania.

► **Niedawno w mediach publicznych skandal wywołała wypowiedź prezenterki, która określiła CDU i AfD „partiami obywatelskimi”. Podniósł się larum, że nie wolno stawiać AfD na równi z żadną partią, bo to ją niepotrzebnie nobilituje.**

Skandal skandalem, ale proszę sobie wyobrazić, że w środowisku dziennikarskim pojawiło się nawet żądanie, by zakazać tej prezenterce wykonywania zawodu. Przez jedno zdanie wypowiedziane na antenie. Na dziennikarkę przypuszczono wściekły atak. W wolnym państwie, w mediach publicznych zobowiązanych do dochowania wszelkiej staranności w obiektywnym informowaniu widza nie może być takich sytuacji, a są. Wczoraj wyborczy w telewizji publicznej po wyborach w Brandenburgii i Saksonii był nie lada wyzwaniem dla rozumu. Jeżeli ktoś wcześniej nie interesował się specjalnie kampanią, to mógł na podstawie tych relacji telewizyjnych wysnuć wniosek, że w Niemczech ścierają się ze sobą dwie partie. Partia światła, tolerancji, dobra i różnorodności oraz partia mroku, w której roi się od nazistów, i dzięki Bogu, że ta pierwsza jednak zwyciężyła. Nie mówiono o problemach trawiących landy, można było zapomnieć o merytorycznych treściach, wszystko kręciło się wokół starcia mocy ciemności z mocami światła. Nie ma się co dziwić mieszkańcom landów wschodnich, że w takiej atmosferze głosują na AfD, oni mają doświadczenia z NRD, pamiętają metody reżimu autorytarnego, zakazy i nakazy. Nie, nie uważam, że dzisiejsze Niemcy są jak NRD, mam na myśli jedynie pewien bardzo niebezpiecz-

ny mechanizm, który sprawia, że ludzie w pewnym momencie boją się mówić, co myślą.

► **Może to jednak przesada, może Niemcy po prostu nie chcą rozmawiać o polityce, nie każdy musi przecież ekscytować partyjnym boksowaniem.**

O nie. Dużo podróżuję po Niemczech, rozmawiam ze zwykłymi obywatelami i z urzędnikami i odnoszę wrażenie, że 80 proc. społeczeństwa mocno stąpa po ziemi, nie życzy sobie dyktatu ideologów ani z prawej, ani z lewej strony, ale i tak ulegają pewnemu terrorowi opinii. Ludzie starają się jednak zachować swoje poglądy dla siebie z obawy przed wykluczeniem, utratą pracy, przed tym, że za wyrażenie opinii niezgodnej z obowiązującym kanonem zapłacą ich dzieci. Na przykład szyszanami w szkole. Znam takich, którzy powiedzieli za dużo i potracili potem źródła dochodu. Niedawno opublikowano badania, z których wynika, że co szósty Niemiec boi się mówić, co myśli. To przecież nie jest normalna sytuacja. A potem jeszcze dziennikarze mediów lewicowo-liberalnych chwalą te wyniki, argumentując, że to przecież dobrze, że „rasiści muszą trzymać gęby na kłódkę”. Chodzi oczywiście głównie o wyrażenie aprobaty dla AfD, która jest w Niemczech sprowadzana do tabu. Gdyby przestano jej przyklejać etykietkę ekstremy, mogłoby się okazać, że 50 proc. społeczeństwa popiera jej program. Takie są realia.

► **To rodzaj obrony AfD?**

Nie jestem przyjacielem AfD, ale nie uznaję deminimizacji przeciwnika politycznego. W Rosji naprzyłem się wystarczająco długo, do czego prowadzi mechanizm odczłowieczania. To niebezpieczna droga. Tygodnik „Spiegel” zadał pytanie, jak to możliwe, że 80 lat po zakończeniu II wojny światowej Niemcy skłaniają się ku takiej ekstremie jak AfD. Zaproponowałem wtedy, by zmienić perspektywę i raczej zadać pytanie, jak dalece pewna część społeczeństwa nie zgadza się z kierunkiem politycznym obrany przez niemieckie elity.

Jeżeli debacie publicznej i temu, co wolno i czego nie wolno, ton nadają ideowi spadkobiercy Stalina, którzy zawsze wiedzą, co jest najlepsze, i ogólnie sterują nastrojami, to coś poszło w złym kierunku. A kiedy takie państwa jak Polska mówią „nie”, nie godząc się chociażby na narzucenie niekorzystnych rozwiązań w polityce imigracyjnej, to są od razu uznawane za odszczepieńców godnych pożałowania. Albo jesteście z nami, albo przeciwko. Rewolucyjnie.

Wracając do AfD, mówi się o niej w Niemczech ściszym głosem. Dorośli boją się szczerze rozma-

wiać przy własnych dzieciach z obawy, że te powtórzą treść rozmów w przedszkolu czy szkole i będą z tego potem kłopoty, jakieś oskarżenia o rasizm czy nazizm. Byli mieszkańcy NRD potrafili lepiej czytać między wierszami, wyrosli w zniewoleniu. Na zachodzie ludziom się wydaje, że autorytaryzm jest tylko wtedy, gdy z dnia na dzień pakuje się niepokornych do więzienia, ale to nie działa w ten sposób, istnieje pewien porządek, proces. Ja to dostrzegam. Jak również sposób, w jaki moje państwo potrafi traktować sąsiadów, i uważam to za krzywdzące.

► **Ma Pan na myśli również Polskę?**

Niedawno „Neue Zürcher Zeitung” napisała, że kiedyś Niemcy wkraczali ze stalowymi hełmami, dziś wkraczają ze swoją moralnością. I kiedy patrzy się na przekaz w niemieckich mediach ukazujący sytuację w Polsce, trudno pozbyć się wrażenia, że Polska jest państwem na wpół rasistowskim, dyktaturą niewolącą obywateli. A potem rozmawiam z Polakami i dowiaduję się, że macie media od lewa do prawa, przekaz jest więc bardzo różnorodny, są gazety prawicowe i lewicowe, nikt nikomu nie zabrania pisać i mówić, czego chce. I muszę przyznać, że przeraża mnie panujące w Niemczech przekonanie, że tu jest wolność, a za miedzą dyktatura. Niewyobrażalny egocentryzm i fatalna skłonność do pouczenia innych. Narzucanie niemieckiej wizji świata wszystkim dookoła. Nie podobają mi się te skłonności. I kiedy analizuję historię, jestem sobie w stanie zwizualizować, jak wszystko się kiedyś zaczęło, gdzie były źródła.

► **A w jakim punkcie stoją dzisiejsze Niemcy?**

Ostatnio miałem okazję rozmawiać z Vytautasem Landsbergisem i powiedział mi, że Niemcy po raz trzeci robią podchody do socjalizmu. Najpierw to był socjalizm, potem narodowy socjalizm, a dziś kolorowy socjalizm. I proszę spojrzeć, jak to się wszystko potrafi pomieszać. Podczas wyborów do landtagu Brandenburgii i Saksonii postkomuniści buntowali przeciwko AfD, spadkobiercy Stalina pouczali, co należy myśleć i jak działać. I społeczeństwo przyjmuje to jako pewną oczywistość. W CDU są ludzie skłonni wejść w koalicję z postkomunistami, nie mają najmniejszego problemu z ich przeszłością. Na łamach „Die Zeit” ukazał się natomiast artykuł postulujący luźniejsze podejście do NRD, a kilka tygodni później autorka tego tekstu jest przyjmowana na audjencji w Kanzleramcie przez Angelę Merkel. I pani kanclerz udziela jej jeszcze wywiadu, lukrowanego jak wywiady z Putinem w prokremlowskiej prasie. Nie porównuję Rosji do Niemiec, Rosja to reżim autorytarny, ale Niemcy

jako kraj demokratyczny powinny hołdować wysokim standardom demokracji, startowaliśmy z innego pułapu, więc standardy powinny być odpowiednio wysokie. Jeszcze 15 lat temu mieliśmy w Niemczech pluralistyczną demokrację, dziś mamy coś na kształt totalitaryzmu opinii. Lewicowcy w Niemczech wzruszają ramionami i mówią: „No przecież w Niemczech można wszystko powiedzieć”. Oczywiście, im wolno. Jakbym był putinowcem w Moskwie, też mógłbym opowiadać, co chcę. A sytuacja jest dziś taka, że w prywatnych rozmowach Niemcy muszą zważać na słowa, nawet w rodzinach ludzie starają się powstrzymywać od rozmów na kontrowersyjne tematy. Znam emerytów, z którymi wnuki zerwały kontakty po tym, jak się okazało, że dziadkowie popierają AfD. Fanatyzm. Nie znajduję innego słowa. Niemiecki historyk Heinrich August Winkler stwierdził, że w Niemczech debaty mają znamiona wojen religijnych, wszystko na ostrzu noża. I zadaję sobie pytanie, czy Niemcy naprawdę wyciągnęli wnioski z własnej historii.

► I jak Pan sobie na to pytanie odpowiada?

Trafne jest porównanie Niemców do przechodnia, który został przejechany przez brunatną ciężarówkę i w reakcji na to wydarzenie wypowiada walkę wszystkiemu, co ma brunatny kolor, zamiast uważać na jezdni. Coś w tym jednak jest.

► Wracając do niemieckich mediów, jest w nich cenzura czy nie? Niemieccy dziennikarze w rozmach zazwyczaj podkreślają, że im wszystko wolno i w sumie jedyny problem, z którym się borykają, to brak zainteresowania pewnymi tematami ze strony wydawców.

Podam przykład z pogranicza mediów tradycyjnych i społecznych. Całkiem dobrze znam Hansa-Georga Maassena, byłego szefa Urzędu Ochrony Konstytucji, który jest jedną z najbardziej znienawidzonych postaci w środowiskach lewicowych. W połowie sierpnia portal netzpolitik.org, bliski zielonym środowiskom w Niemczech, opublikował raport dotyczący użytkowników Twittera, którzy podają dalej wpisy Maassena i śledzą jego konto. I tych użytkowników uznano za przedstawicieli „ekstremalnej prawicy”, sporządzono ranking osób najaktywniej wchodzących w interakcję z komentarzami Maassena. Na tej liście zająłem miejsce trzecie. Ja, stary elektorat socjaldemokratów! Na liście znalazł się też m.in. dziennikarz „Frankfurter Allgemeine Zeitung” i FAZ przedrukował tę listę, nie zwracając uwagi na fakt, że jest tam wymieniony ich własny dziennikarz. Gazeta, która zawsze miała opinię bardzo rzetelnej, przeoczyła coś takiego.

► Może uznali, że ich dziennikarz najzwyczajniej ma prawo do własnej opinii...

Różnie to bywa z tym uznawaniem prawa do opinii. Stowarzyszenie Dziennikarzy Niemieckich opublikowało na łamach swojego magazynu wywiad z szefem programu „Monitor” [produkcja ARD], Georgiem Restle. Restle uchodzi za dziennikarską ikonę niemieckiej lewicy. I on powiedział w tym wywiadzie, że „trzeba skończyć ze złe pojętą równowagą opinii”. Coś takiego mówi moderator telewizji publicznej w magazynie branżowym. Tego dnia wystąpiłem ze Stowarzyszenia Dziennikarzy. Nieraz przysmykałem oko na działania stowarzyszenia, które od pewnego czasu zachowuje się jak jednostka bojowa. Przecież to czysty Orwell. Stowarzyszenie dziennikarzy, które powinno stać na straży pluralizmu, przestrzega przed różnorodnością opinii.

► Nie ma nadziei na powstrzymanie tego trendu?

Jest światełko w tunelu. Po tym agresywnym ataku na dziennikarkę, która nazwała AfD partią obywatelską, posłanka Zielonych stwierdziła publicznie, że nie wolno wykluczać dziennikarza za to, że wyraża swoje poglądy. Mam nadzieję, że ta posłanka nie będzie odosobniona, że znajdują się inni, którzy ją poprą.

Na własnej skórze przeżyłem, jak to jest, gdy robi się coś spoza tolerowanego schematu. Opublikowałem artykuł, który powstał w oparciu o rozmowę z pewną kobietą. Jej przyjaciółka została zgwałcona przez imigrantów i ona nie mogła się z tego otrząsnąć, bała się. Po publikacji, w sieci pojawiły się memy, na których przedstawiono mnie jako „brunatną muchę na fekaljach”. Grono moich facebookowych znajomych znacznie się wtedy przedzerdziło. Opisałem prawdę i pewien stan ducha osoby, która obawia się o swoje bezpieczeństwo, i zostałem za to zganiony. Przecież aby coś zrozumieć, z czymś polemizować, wpierw trzeba to coś nazwać. Nie ma innej drogi. ■

Boris Reitschuster (ur. 1971) – niemiecki dziennikarz, publicysta, autor wielu książek dotyczących Rosji i Władimira Putina. Pracował m.in. dla agencji prasowych AFP i DPA. W latach 1999–2012 był szefem moskiewskiego biura magazynu „Focus”, opuścił Rosję po serii pogroźek. Dziś mieszka i pisze w Berlinie. Współpracuje z wieloma mediami w Niemczech i Stanach Zjednoczonych.

Antoni Rybczyński

Po co Amerykanom Grenlandia

Kolejny dziwaczny pomysł Donalda Trumpa – tak wiele mediów i polityków w Europie przyjęło informację o zainteresowaniu Stanów Zjednoczonych zakupem Grenlandii. W rzeczywistości jest to całkowicie zrozumiała część szerszego planu przeciwstawienia się przez Amerykę wpływom rosyjskim i chińskim w strategicznie ważnej części świata.

W połowie sierpnia tego roku „The Wall Street Journal” napisał, powołując się na swoje źródła w administracji, że Donald Trump już wiosną 2018 roku powiadził swym doradcą, że myśli o kupnie Grenlandii. Dania miała akurat poważne problemy z finansowaniem tego terytorium. Budżet autonomicznej wyspy w 2/3 jest zasilany z Kopenhagi – to 500 mln dolarów rocznie. Prezydenta USA miały przekonać argumenty doradców o zasobach naturalnych największej wyspy świata, a przede wszystkim o jej geopolitycznej wadze. Nie wiadomo, ile dokładnie Trump byłby gotów zaoferować Duńczykom. Pojawiała się suma 600 mln dolarów rocznie plus duża jednorazowa wypłata przy zawarciu umowy. W Kopenhadze zareagowano na te doniesienia z niedowierzaniem, kpina, złością. „Jeśli Trump naprawdę to rozważa, jest to ostateczny dowód na to, że oszalał” – napisał na Twitterze były premier Lars Lokke Rasmussen (Partia Liberalna). Søren Espersen z Partii Ludowej ocenił, że pomysł sprzedaży obywateli Danii jest „niedorzeczny”. Szefowa rządu nazwała plan Trumpa „absurdem”. – Grenlandia nie jest na sprzedaż. Grenlandia nie jest duńska. Grenlandia należy do Grenlandii. Mam nadzieję, że amerykański pomysł nie jest poważny – oświadczyła Mette Frederiksen. Rząd Grenlandii, która wchodzi w skład Królestwa Danii na prawach szerokiej autonomii, zajął takie samo stanowisko.

► „Powinniśmy kupić Grenlandię”

Trump wcale nie zdementował doniesień prasowych, ale po tygodniu demonstracyjnie odwołał spotkanie z premier Danii, bo ta „nie była zainteresowana omówieniem transakcji w sprawie Grenlandii”. Frederiksen oznajmiła, że jest „zdziewiona i rozczarowana” decyzją Trumpa o rezygnacji z planowanej na 2–3 września wizyty w Kopenhadze. Jednak powstrzymała się od mocniejszych komentarzy, mówiąc, że to i tak nie popsuje dobrych relacji duńsko-amerykańskich. Na Trumpa spadła fala krytyki na świecie, zakup Grenlandii stał się zaś obiektem wielu żartów. Wydawało się, że na tym koniec sprawy. Tymczasem w Stanach Zjednoczonych pomysł zakupu Grenlandii od Danii wciąż jest dyskutowany i wcale nie postrzega się go jako kolejnego głupiego wybuchu Trumpa. W rzeczywistości byłby to praktyczny i bardzo ważny dla USA ruch. Wśród argumentów zwolenników transakcji, a nie jest ich mało, pojawia się też motyw rosyjskiego zagrożenia. Szereg znanych polityków i przedstawicieli amerykańskiego establishmentu poparł prezydenta. Na łamach „The New York Times” artykuł w takim tonie (pt. „Po-

winniśmy kupić Grenlandię”) zamieścił senator z Arkansas, Tom Cotton. Takich wystąpień w amerykańskich mediach pojawiło się dużo więcej. Wielu kongresmenów mówi wprost, że głosowałoby za zakupem Grenlandii, pojawiają się głosy, żeby nie rezygnować z tego pomysłu.

Po co w ogóle Trumpowi i Ameryce największa wyspa świata? Waszyngton chciałby wykorzystać Grenlandię dla wzmocnienia swych pozycji militarnych w Arktyce. USA są poważnie zaniepokojone rosnącymi wpływami ekonomicznymi i wojskowymi Rosji i Chin w tej części świata. Rosja buduje tam kolejne bazy wojenne, chce zwiększać wydobycie ropy naftowej i gazu z szelfu arktycznego, a Północny Szlak Morski uczynić jedną z głównych transportowych arterii świata. Globalne ocieplenie sprzyja tym planom. Kurczy się pokrywa lodowa, więc łatwiej dostać się do zasobów naturalnych i łatwiej żeglować. Co prawda Stany Zjednoczone są militarnie obecne na Grenlandii od czasów zimnej wojny, ale to już za mało. Na północy wyspy leży baza powietrzna Thule – w ramach długoterminowej dzierżawy od lat 50. XX wieku. Baza jest ważnym elementem obrony przeciwrakietowej Stanów Zjednoczonych oraz systemu obserwacji kosmicznej i kontroli satelitów. W Thule stacjonuje około 550 żołnierzy i cywilów. O ile o 821 Bazie (oficjalna nazwa obiektu) wiedzieli wszyscy, o tyle ścisłą tajemnicą było funkcjonowanie bazy Camp Century, leżącej około 240 km od Thule. Oficjalnie był to ośrodek naukowy, ale tuż obok Amerykanie rozbudowali system podziemnych wyrzutni rakiet nuklearnych dalekiego zasięgu, połączonych tunelami o łącznej długości 21 km. O tej bazie nawet Duńczycy, sojusznicy w NATO, dowiedzieli się przypadkiem dopiero w 1995 roku, gdy prowadzono śledztwo w sprawie katastrofy bombowca B-52 z pociskami nuklearnymi.

► Bogactwo pod lodem

Grenlandia kryje ogromne zapasy metali rzadkich, niezbędnych dla produkcji elektroniki. To nawet 38,5 mln ton – cała reszta świata kryje 120 mln ton. Obecnie 90 proc. tych metali na światowy rynek dostarczają Chiny. USA chcą tymczasem zmniejszyć tę zależność, szczególnie że znajdują się w stanie wojny handlowej z Pekinem. W czerwcu Amerykanie podpisali z rządem Grenlandii list intencyjny w sprawie wydobycia metali rzadkich. Grenlandia posiada też jedne z największych zasobów uranu na świecie. Jedno tylko złożo w miasteczku Kvanefjeld ocenia się na 228 tys. ton i jest ono uważane za piąte pod względem wielkości na świecie. Oczywiście wyspa posiada też duże i nie do końca jeszcze oszacowane

złota, wolframu, cynku, wanadu i tytanu. Grenlandzki szelf kryje natomiast duże zapasy ropy i gazu. Szacunkowe oceny Służby Geologicznej USA mówią o około 17 mld baryłek ropy i 4 mld m³ gazu. Dla porównania, całe zapasy Rosji to 80 mld baryłek ropy i 47 mld m³ gazu. Jest jednak problem z dostępem do grenlandzkich węglowodorów. Ze względu na surowe zimy prace badawczo-wydobywcze można prowadzić tylko przez cztery miesiące w roku. Żeby wydobyć było ekonomicznie opłacalne, baryłka ropy na świecie powinna kosztować minimum 50 dolarów. Niemal 80 proc. powierzchni Grenlandii jest pokryta lodem. To utrudnia dostęp do minerałów i zwiększa drastycznie koszty ich wydobycia. Ale od czego mamy globalne ocieplenie. Prawda jest taka, że pokrywa lodowa na wyspie topnieje, i to szybko. NASA informuje, że zaobserwowano dwa największe topnienia w historii wyspy.

„Rosjanie nie byli wystarczająco mądrzy, aby więcej wyciągnąć z Alaski, właściwie ograniczali się do łowienia wielorybów i fok. Dlatego gdy William Seward [ówczesny szef dyplomacji USA – red.] zaproponował rosyjskiemu carowi dwa centy za akr – łącznie 7,2 mln dolarów za wszystko – ta mistrzowska transakcja uczyniła Amerykę większą, lepszą, bezpieczniejszą i bogatszą” – pisze w swoim artykule na łamach portalu Breitbart była gubernator Alaski Sarah Palin. Dziś gospodarka tego stanu zamieszkanego przez 700 tys. ludzi oceniana jest na 50 mld dolarów rocznie. Zakup Grenlandii to kontynuacja dzieła Sewarda, inaczej wyspa dostanie się w ręce Chin – uważa Palin. I wzywa do zakupu Grenlandii. Jej opinie podziela senator Tom Cotton: „Będąc największą gospodarką świata, Stany Zjednoczone z łatwością mogłyby wziąć na siebie odpowiedzialność za okazanie pomocy społecznościom Grenlandii, inwestując znaczące środki w jej przyszłość. Przekazanie suwerenności Grenlandii zmniejszy obciążenie finansowe narodu duńskiego i jednocześnie poszerzy możliwości Grenlandczyków. Tylko popatrzenie, co oznacza amerykańska suwerenność dla mieszkańców Alaski w porównaniu z warunkami na Syberii, która znajduje się pod kontrolą Rosji”.

Dziś niewątpliwie, gdy mowa o amerykańskich aspiracjach do Grenlandii, jako główne zagrożenie należy wskazać właśnie chińskie ambicje gospodarcze, transportowe, wcale nie rosyjski militarizm. Grenlandia jest tylko częścią ogromnych apetytów Państwa Środka w Arktyce. W 2013 roku ChRL uzyskała status obserwatora w Radzie Arktycznej, organie międzynarodowym skupiającym kraje arktyczne: USA, Kanadę, Rosję, Islandię, Danię, Norwegię, Szwecję i Finlandię. Strategiczne interesy Chin w Arktyce są związane głównie z gospodarką. Chodzi

o dostęp do złóż gazu i nowe możliwości transportowe. Obecnie na przykład chińskie koncerny kontrolują szereg dużych projektów górniczych na Grenlandii. W Kvanefjeld spółki z Państwa Środka planują rozpocząć wydobywanie nie tylko uranu, lecz także innych rzadkich minerałów, których produkcję Pekin usiłuje zmonopolizować. Chińskie firmy inwestują też w kopalnię cynku i żelaza. ChRL planowała także zbudować na wyspie kilka naraz lotnisk na zamówienie duńskich władz. Ten największy infrastrukturalny projekt w historii Grenlandii udało się jednak Amerykanom zablokować. Gdyby Chiny uzyskały możliwość kontrolowania portów i lotnisk Grenlandii, oznaczałoby to poważne problemy dla operacji NATO na północnym teatrze. Tak zwany przesmyk GIUK (Grenlandia-Islandia-Wielka Brytania) ma kluczowe znaczenie w planach zachodnich admirałów na wypadek konfliktu NATO z Rosją w Europie. Z drugiej strony Grenlandia może być użyta do przeprowadzania operacji mających na celu neutralizację rosyjskich sił w Arktyce. W tym bastionie sił nuklearnych na Półwyspie Kola. W czerwcu Pentagon opublikował „Strategię Arktyczną”, w której mowa o tym, że morskie przejście na wschód od Grenlandii to „strategiczny korytarz” dla całej Arktyki i Północnego Atlantyku, bardzo ważny w kontekście rywalizacji z Rosją i Chinami. Ten szlak może mieć też ogromne handlowe znaczenie dla USA. Jeszcze w maju sekretarz stanu Mike Pompeo mówił, że czas rejsu z Azji na Zachód można skrócić do 20 dni, a „arktyczne szlaki morskie mogą stać się Sueskim i Panamskim Kanałami XXI wieku”.

► Dolarowa geopolityka

Grenlandia geograficznie jest częścią kontynentu amerykańskiego, ale politycznie i kulturowo od tysiąca lat jest związana z europejskimi krajami: Danią, Norwegią, Islandią. Formalnie Grenlandia należy do Królestwa Danii od 1814 roku. Wcześniej, od XVI wieku, Dania władała wyspą w unii z Norwegią. W wyniku referendum w 1979 roku Grenlandia uzyskała samorządność w ramach monarchii. W 2008 roku odbyło się kolejne referendum, w którym mieszkańcy wyspy powiedzieli się za samodzielną kontrolą ochrony porządku i granic Grenlandii, autonomicznym sądownictwem i sprawami finansowymi, decydowaniem o wydobyciu minerałów i kontrolą lotnictwa cywilnego. W gestii rządu Danii pozostaje polityka zagraniczna, obronna i walutowa. Na wyspie do tej pory w obiegu jest duńska korona. Grenlandczycy są obywatelami UE, choć wyspa nie podlega jurysdykcji Unii, mając specjalny status terytorium zamorskiego jednego z krajów członkow-

szych UE. Formalnie głową państwa w Grenlandii jest królowa Danii Małgorzata II. Wyspa liczy niewiele ponad 57 tys. mieszkańców (0,027 osoby na kilometr kwadratowy). Dziewięciu na dziesięciu z nich to Inuici, których przodkowie przybyli z terytorium współczesnej Kanady w XIII wieku. Całe polityczne, gospodarcze i kulturalne życie Grenlandii skupia się w wąskim, wolnym od wiecznego lodu przybrzeżnym pasie wyspy – łącznie najwyżej 15 proc. powierzchni wyspy – głównie na jej południowym zachodzie. Tam leży stolica Nuuk (duńska nazwa Godthåb). Pierwszą pozycję eksportową zajmują produkty przemysłu rybnego, przede wszystkim krewetki, w wydobywaniu których Grenlandia jest światowym liderem. Grenlandia lideruje też jednak w innej, niechlubnej kategorii. Ma najwyższy wskaźnik samobójstw na świecie: 83 na 100 000 mieszkańców rocznie. W czym połowa przypada na młodzież. Rocznie na każde 700 urodzonych dzieci przypada też około 800 aborcji. Wśród populacji Grenlandii, szczególnie rdzennej, panuje też wysoki poziom bezrobocia i alkoholizmu. Wyspa jest uzależniona od dotacji z Kopenhagi. Gdyby przeprowadzono powszechne referendum w sprawie ewentualnej zmiany przynależności państwowej, wcale nie jest powiedziane, że większość byłaby za utrzymaniem status quo.

Co ciekawe, Stany Zjednoczone już dwa razy w przeszłości próbowały kupić Grenlandię. Raz w pakiecie z Islandią. Był to rok 1867. Ówczesny sekretarz stanu USA William H. Seward, który już prowadził rozmowy o zakupie Alaski z Rosją, uznał za „godną poważnego rozważenia” koncepcję zastąpienia jej Grenlandią i Islandią. Na jego zlecenie powstał raport na temat perspektyw zakupu Grenlandii (i Islandii). 72-stronicowy dokument – autorstwa inżyniera-górnika Benjamina M. Pierce’a – w Senacie jednak wywołał śmiech i kpiny, więc w rezultacie o pomysle zapomniano. Po raz drugi kwestia Grenlandii pojawiła się po zakończeniu II wojny światowej. W 1946 roku USA zaproponowały Danii 100 mln dolarów w sztabach złota (równowartość obecnych 1,3 mld dolarów). Idea przejścia wyspy wyszła od wojskowych, którzy uważali, że kontrola nad Grenlandią jest krytycznie ważna dla Stanów Zjednoczonych, a dla Danii „praktycznie niepotrzebna”. Oczywiście chodziło o położenie wyspy i jej znaczenie dla możliwości prowadzenia przez USA operacji wojskowych za kręgiem polarnym – w pierwszej kolejności przeciwko Sowietom. Już sam fakt złożenia oferty Kopenhadze był ściśle tajny. Odpowiedź Kopenhagi brzmiała: „nie”. „Jesteśmy bardzo zobowiązani USA, ale nie mam wątpliwości, że byśmy byli im winni całą Grenlandię” – miał powiedzieć minister spraw zagranicznych Królestwa Danii Gustav Rasmus-

sen w grudniu 1946 roku w Nowym Jorku, podczas spotkania z sekretarzem stanu Jamesem Barnesem. Jednak pięć lat później USA i Dania w ramach NATO podpisały dwustronną umowę o współpracy w sferze bezpieczeństwa, co pozwoliło Pentagonowi uzyskać dostęp do Grenlandii i zbudować bazę wojskową w Thule – do dziś jest ona ważną częścią amerykańskiego systemu wczesnego ostrzegania przed możliwym atakiem jądrowym Rosji. Dopiero w 1991 roku, gdy w Danii otwarto archiwa, gazeta „Jyllands-Posten” napisała o propozycji USA z 1946 roku.

Stany Zjednoczone nieraz w swej historii rozszerzały terytorium, kupując po prostu ziemię od innych państw. W 1803 roku nabyły od Francji Luizjanę za 15 mln dolarów (dziś odpowiadałoby to 310 mld dolarów). Kupiona wtedy Luizjana (2,1 mln km²) to dziś ogromny obszar, na którym leży 15 stanów, od Montany po Teksas – 23 proc. obszaru współczesnych USA. Szesnaście lat później Florydę sprzedała Stanom Zjednoczonym Hiszpania za 5,5 mln dolarów. Z kolei w 1853 roku USA kupiły od Meksyku terytoria, które weszły w skład stanów Arizona i Nowy Meksyk. Około 77 tys. km² terenów leżących na południe od rzeki Gila River i na zachód od Rio Grande kosztowało amerykańskiego podatnika 10 mln dolarów (dziś byłoby to około 230 mld dolarów). Oczywiście najbardziej znana jest jednak transakcja nabycia od Rosji w 1867 roku Alaski za 7,2 mln dolarów. Obszar o powierzchni ponad 1,5 mln km² kosztował 7,2 mln dolarów (dziś około 122,6 mld). Krytycy kpili, że William H. Seward, sekretarz stanu w gabinecie prezydenta Andrew Johnsona, kupił „ogród niedźwiedzi polarnych”. Kpiny skończyły się, gdy w latach 90. XIX wieku odkryto na tych terenach ogromne pokłady złota. Przypominając historię „dolarowych podbojów” USA, warto też przypomnieć – w kontekście obecnego spięcia z Kopenhagą w sprawie Grenlandii – że już raz w przeszłości Dania bez problemu dogadała się z Amerykanami w podobnej kwestii. Otóż w 1917 roku USA zakupiły Duńskie Indie Zachodnie. Założona w 1672 roku duńska kolonia obejmowała szereg karaibskich wysepek, na które przywożono z Afryki niewolników pracujących na plantacjach cukru i tytoniu. Dopiero w 1848 roku Duńczycy znieśli tu niewolnictwo. Z początkiem XX wieku w Kopenhadze zrozumiano, że wyspy nie przyniosą żadnych dochodów, trzeba wręcz do nich dokładać. Choć Dania po wybuchu I wojny światowej ogłosiła neutralność, pojawiło się zagrożenie, że wyspy zajmą Niemcy chcące zagrozić żegludze przez Kanał Panamski. Więc Duńczycy sprzedali swą kolonię Amerykanom za 25 mln dolarów. Dziś wyspy te, znane pod nazwą Amerykańskie Wyspy Dziewicze, żyją z turystyki – co roku odwiedza je ponad 3 mln gości z USA i Kanady. ■

Plaża w Nazaré jest jedną z najczęściej fotografowanych na całym zachodnim wybrzeżu Półwyspu Iberyjskiego



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Prastara figurka nad trzydziestometrową falą

O tym miejscu wie niewielu. Nie wiedział o nim średniowieczny rycerz Don Fuas Roupinho. Nie wiedział odkrywca Vasco da Gama. Nie wiedział amerykański surfer Garrett McNamara. A wszyscy oni gdy dowiedzieli się o nim i wreszcie tu trafili, od razu znaleźli to, czego szukali. I nie zawiedli się.

– Ile spódnic masz dzisiaj na sobie?
 – Siedem – odpowiada nie bez dumy.
 – Moi znajomi pytają, czy pokażesz – upewniam się z pewną dozą zażenowania odnośnie do złożonej własnej propozycji. – Bo twierdzą, że to niemożliwe...

– A, proszę bardzo! Raz, dwa, trzy... – kobieta nachyla się nad rąbkami koronkowo zakończonych spódniczek i zaczyna liczyć. – Cztery, pięć, sześć... I ostatnia. Siedem. Jest jak mówię!

– Tłumaczyłem wam. Zawsze tu stoi – zwracam się tym razem po polsku do swoich znajomych. – Nie tylko ona zresztą.

Fakt. Wystarczy tylko nieco się rozejrzeć. Na nasłonecznionym w tej chwili placu podobnych kobiet widać przynajmniej pięć. Wszystkie ubrane w jednakowym stylu. Długie, sięgające kolan skarpety. Cienka, przewiewna koszula z długimi rękawami z bufką. I koltarzykiem zakończonym koronką. Czasem w tkany sweterku. I oczywiście ubranych w siedem spódnic. Bez wyjątku. Niekiedy przykrytych dodatkowo jeszcze ozdobnym fartuszekiem. Oto kobiety z Nazaré. Cierpliwie oczekujące. Bacznie obserwujące morze. I ciągle tęskniące. Z tym samym pytaniem na ustach. Kiedy wrócą?

► Bliźniaczki

Gdyby próbować wyznaczyć symetryczny środek portugalskiego wybrzeża atlantyckiego, najpewniej wypadłby właśnie gdzieś tutaj. Piętnastotysięczne Nazaré. Miasto portugalskich wczasowiczów. Od wieków podzielone. Na część, która wysoko, oraz na tę znacznie niżej. Przy samej wielkiej wodzie.

Znajdująca się na stromym, studziesięciometrowym klifie część miasteczka była niegdyś zupełnie odrębną wsią. Nazywali ją Sítio. Tutaj zaczynają się dzieje potomków dzisiejszych mieszkańców całego Nazaré. Pionowa ściana klifu odgradzała wieś od groźnych fal Atlantyku. Ale nie tylko od nich. Także od wojennych galer napływających tymi wodami. Okrętów pod banderami algierskimi, francuskimi, angielskimi. A także przed holenderskimi piratami. Dziś ciężko oszacować, których ówczesni sítioańczycy bali się najbardziej.

Część położona na dole to już współczesność. W odróżnieniu od zażytkowej starodawnej zabudowy Sítio tutaj ducha czasów dawnych raczej nie ma. Trudno bowiem o niego w jasnych, murowanych domkach letniskowych, wybudowanych już pod koniec XX wieku. Albo w kolejnych restauracjach usytuowanych nad morskimi pasażem. Czy nawet we współczesnej stacji kolejki szynowej łączącej Praia da Nazaré z górnym miastem.

Wszystko to prawda. Dolne miasto to oddech młodości. Nowoczesności i świeżości. W górnym zostało to, co cenne. Co dziejowe i wartościowe. Prawda jest jednak taka, że dziś to właśnie w dolnej części miasta trud-



Figurka Nossa Senhora da Nazaré pochodzi prawdopodobnie jeszcze z I wieku po Chrystusie

no o wolny kawałek plaży. O wolne miejsce w knajpie. O chwilę ciszy i spokoju. Turnieje piłki plażowej, gwizdki ratowników zakazujących wchodzenia do wody (jednej z najbardziej niebezpiecznych w całej Portugalii), głośna gawęda stołujących się w letnich ogródkach turystów. Tak. Praia da Nazaré ze swym majestatycznym, szeroko-piaszczystym wybrzeżem – obiektem zazdrości całej pozostałej części Portugalii – zdecydowanie zepchnęła swą ulokowaną nieco wyżej siostrę bliźniaczkę w cień. Dla mnie to może nawet lepiej.

► Od św. Józefa przez mnicha po króla

Jest przepiękna. Niewielka. I cała z drewna. Nieco ponaddwudziestocentymetrowej wysokości. Przedstawiająca Matkę Bożą Karmiącą. Na lewym ramieniu podtrzymuje małego Jezusa. Tradycja mówi, że wysłała spod rąk samego świętego Józefa. Być może strugał ją, podpatrując, jak umiłowana Żona opiekuje się Dzieciątkiem? Możemy jedynie snuć domysły. Ale jakże miłe stojąc właśnie tu, w sanktuarium Nossa Senhora da Nazaré.

Historia figurki fascynuje. Wystrugana najprawdopodobniej w samym Nazarecie trafiła najpierw do Konstantynopola. Tutaj około wieku IV wybuchła słynna herezja obrazoburstwa, wskutek której gorliwi jej wy-



Kościół Naszej Pani w Nazaré na centralnym placu w Sítio

znawcy zaczęli niszczyć wszelkie święte obrazy i rzeźby. Nie widząc innego wyjścia, mnich o imieniu Ciriaco porwał więc figurkę i udał się z nią aż do zachodniej Hiszpanii. A konkretnie do klasztoru w pobliżu Méridy. Tutaj nie skończyły się burzliwe losy Nossa Senhora da Nazaré, jak dziś nazywają figurkę Portugalczycy.

Okolo roku 714 pewien pobożny pustelnik o imieniu Romano w obawie przed jej sprofanowaniem z rąk atakujących miasto Saracenów przetransportował ją jeszcze dalej. Znów na zachód. Wędrując z figurką, trafił na koniec kontynentu. Nad sam ocean. Tutaj, nad stromy klif, gdzie za kilkaset lat miała powstać niewielka wieś Sítio. I tutaj też zdecydował się osiąść. Po śmierci mnicha towarzyszący mu ostatni król Wizygotów, Roderyk, pochował go, zgodnie z jego życzeniem, nad samym klifem. Budując jednocześnie grootę z ołtarzem, w której umieścił figurkę. Stała tutaj samotnie jeszcze przez kilka wieków. A dokładnie do roku 1179 roku, kiedy to przypadkowo odkrył ją jeden z okolicznych pasterzy.

Minęły jeszcze trzy lata, zanim figurka zaczęła na nowo być sławiona przez wiernych. A wszystko dzięki pewnemu rycerzowi. Wasalowi króla Alfonsa Henryka. Pierwszego króla Portugalii. Króla zwanego Zdobywcą.

► Wspomnienie pasterza

Był 14 września 1182 roku. Tego dnia Kościół obchodził rocznicę odnalezienia przez świętą Helenę relikwii



Puste uliczki dzisiejszego Nazaré

Świętego Krzyża. Tego samego, na którym umarł Chrystus. Dzień ten obchodzony był jako święto Podwyższenia Świętego Krzyża. Tego właśnie dnia w okolicy dzisiejszego Sítio zawędrował polujący na dzikiego zwierza rycerz. Nazywał się Don Fuas Roupinho. Nie był to jednak dla Portugalczyków rycerz anonimowy. Wsławił się bowiem w całym kraju bohaterskimi walkami o wolność Portugalii. W tamtej chwili nie był jednak na polu walki. W ten wrześniowy wtorkowy poranek zapragnął nieco odpocząć. Pobyć sam w leśnej głuszy.

Tego dnia pobliskie lasy spowijała gęsta mgła. Rycerzowi jednak to nie przeszkadzało. Cichutko przemierzał knieje, bacznie wypatrując zwierzyny. Cierpliwość się opłacała. Przed Roupinho pojawił się naraz piękny, dorodny jeleni. Rycerz spał konia i ruszył w pościg. Po kilku chwilach był już za rogaczem. I wtedy stało się najgorsze. Don Fuas zorientował się, że jeleni wbiega na skaliste urwisko. Na gigantycznych rozmiarów pionowy klif. Rozpędzony koń gnał za nim. Nie było sposobu, aby go zatrzymać. Wydawało się, że wszystko zmierza ku tragicznemu finałowi. Rycerz dobrze wiedział, że zaraz spadną z ponadstumetrowej ściany. Gdy koń znajdował się już nad samą krawędzią przepaści, Roupinho przypomniał sobie opowieść niedawno spotkanego pasterza. Mieszkańca tych ziem. Mówił o pewnej cudownej figurce Czarnej Madonny karmiącej Jezusa. Figurka miała znajdować się nieopodal miejsca, gdzie właśnie się znajdował. Rycerz prędko wzбудził intencję. Wołając do Maryi o pomoc. O ulitowanie.

Wtedy wydarzyło się coś zupełnie nieprawdopodobnego. Wierzchowiec, który na skutek siły ciężkości zaczynał coraz bardziej wychylać się w stronę przepaści, stanął dęba. I zaczął powoli, acz systematycznie przestępować z nogi na nogę. Cofając się z wolna w kierunku bezpiecznego ładu. Aż wreszcie powrócił do zwykłej pozycji, stając na czterech kopytach. Don Fuas Roupinho był uratowany.

► Vasco da Gama też już wiedział

Z tej wielkiej wdzięczności zaczął szukać owej figurki, o której mówił mu pasterz. Gdy wreszcie ją znalazł, wznosił dla niej zupełnie nową, niewielką kaplicę. Nazwał ją „Ermida da Memória”, co znaczy po portugalsku „Kaplica Pamięci”.

Z czasem chętnych, aby zobaczyć cudowną Madonnę z Nazaré, było coraz więcej. Na tyle dużo, że w 1377 roku król Portugalii Fernando zdecydował o wybudowaniu w tym miejscu świątyni. Do małej Ermida da Memória mogło bowiem wejść naraz zaledwie kilkanaście osób. Okazały kościół stanął zaledwie 90 metrów od Kaplicy Pamięci. Na drugim końcu głównego placu w Sítio. Kaplica również się ostała. I jest do dziś. Nadal więc można sprawdzić, ilu pielgrzymów naraz zmieści się w jej ciasnych ścianach. Chętni na końcu wąskich schodków zobaczą za



Wnętrze świątyni, nad ołtarzem której umieszczona jest słynąca łaskami figurka Matki Bożej

szklaną osłoną kopię Czarnej Madonny Karmiącej. Oryginał znajduje się w pobliskim sanktuarium. Tym samym, do którego pielgrzymowali i królowie, i legendarni żeglarze. Wśród tych ostatnich choćby Vasco da Gama. Modlił się przed Nossa Senhora da Nazaré także przed słynną wyprawą do Indii. Nie zapomniał przybyć tu również po powrocie. Aby podziękować za szczęśliwą eskapadę.

Vasco da Gama nie był jednak odosobniony. Kult Matki Bożej z Nazaré był bardzo powszechny wśród innych portugalskich żeglarzy. Wyruszający w dalekie wyprawy bardzo często zabierali ze sobą kopię ukochanej Madonny z niewielkiego Sítio. W taki właśnie sposób kopia figurki trafiła do brazylijskiego sanktuarium Belém do Pará. Miejsca, do którego rocznie przybywa dziś ponad milion pielgrzymów. Miejscowi twierdzą, że tak-
że u nich objawiła się sama Matka Boża.

► Wdowia tradycja

Przez lata to właśnie skaliste Nazaré stanowiło pierwsze pątnicze miejsce na mapie Portugalii. Dopiero później zdegradowała je Braga, nazywana dziś Portugal-ską Częstochową. By w 1917 roku oddać palmę pierwszeństwa najmniejszej z nich wszystkich: ubogiej wiosce Cova da Iria. Leżącej po sąsiedzku z Fatimą.



Ponadstumetrowy klif w Nazaré robi wrażenie na każdym, bez wyjątku

Tak, to fakt. Pielgrzymom jest w Portugalii dobrze. Zwłaszcza tym z Polski. „Bo tu jest tak maryjnie...” – zachwala spaceru po portugalskich wioskach pochodząca spod Rzekunia pani Iwona. Pielgrzymuje z marianami. Zakonnicy szczególnie poświęceni Niepokalanemu Poczęciu Najświętszej Maryi Panny coraz częściej organizują wyjazdy do wciąż egzotycznego dla Polaków kraju. – Te kapliczki. Ten spokój na ulicach. No i ci ludzie. Czuję się tu troszkę jak u siebie w wiosce. Naprawdę mi tu dobrze.

I chyba nie tylko jej. Jest w tej dzisiejszej Portugalii coś, co sprawia, że jako Polacy czujemy się tutaj nieco bardziej rażno aniżeli chociażby w pobliskiej Hiszpanii. I nie przeszkadzają nam nawet tak egzotyczne zwyczaje, chociażby związany z ubieraniem się nazareńskich kobiet w siedem spódnic naraz.

„Powiedz mu, że jestem zamężna” – zwraca się do mnie kobieta, gdy jeden z moich znajomych prosi o kolejne zdjęcie z barwnie ubraną kobietą. Portugalka dobrze wie, że jej strój stanowi atrakcję dla przyjezdnych. Zresztą inaczej by go nie zakładała. Podobnie jak pozostałe panie. Handlujące w większości migdałami, orzechami i innymi chrupkami słodkościami na głównym placu Nazaré.

Tych siedem spódnic to echo dawnego zwyczaju obowiązującego nazareńskie kobiety oczekujące na mężów wypływających na połów w morze. Zwyczaju polegającego na tym, że z każdym dniem oczekiwania na ukochanego wpatrzona w horyzont kobieta zakładała na siebie kolejną spódnicę. Gdy nie było go całe siedem dni, zaczynała cały proceder od początku.

► Największe fale świata

– Powiedz im, że to mój syn – kobieta, u której kupujemy orzechy nerkowca, z dumą prezentuje zdjęcie, które zdobi jej stragan.

– Naprawdę? Jest surferem? – pytam przez grzeczność, widząc na zdjęciu przystojnie opalonego chłopaka z deską surfingową pod pachą.

– Tak. Uczy ludzi pływać. Prawdziwy pasjonat. Mój! – pełna dumnej ekspresji twarz kobiety raz jeszcze uświadamia mi niezwykłą rolę, jaką nadal w Portugalii odgrywają tradycyjne więzy rodzinne.

Słowo „surfing” nabiera w Nazaré wyjątkowego znaczenia. To nie tylko rażąca zabawa na spienionych falach w poszukiwaniu tej największej. W Nazaré, gdy mówi-

my o surfingu, najczęściej mamy na myśli prawdziwą walkę z żywiołem. Nieprawdopodobnym wręcz ekstremum. Tutaj surfing oznacza również igranie z życiem.

Między listopadem i grudniem nad nazareński cyfel z charakterystyczną latarnią morską przyjeżdżają kolejne wozy transmisyjne największych europejskich stacji telewizyjnych. Ustawiają się fotoreporterzy. Zjeżdżają gapie. Gdy tylko przez media przejdzie informacja o zbliżającym się sztormie, huraganie czy orkanie, wszyscy fani ekstremalnych przeżyć i widoków jadą nad wybrzeże środkowej Portugalii. Tutaj. Do Nazaré.

Geolodzy odkryli, że skalisty cyfel, nad którym wznosi się miasteczko, sąsiaduje z nieprawdopodobnym wręcz podwodnym kanionem. Przerwa w płycie litosferycznej, ciągnąca się na długości 170 kilometrów. I mającej miejscami nawet 5 kilometrów głębokości. Miejsce nazywane popularnie Nazaré Canyon staje się w ten sposób przyczyną anomalii falowych. Długie fale zamiast łagodnie wyhamowywać na dużej głębokości, naraz stykają się z gwałtownym podwodnym uskokiem. Przy jednocześnie silnym wietrze skutkuje to powstaniem gigantycznych grzywaczy. Sejsmolodzy są zdania, że właśnie w Nazaré są największe fale na świecie.

► Spieniona bitwa o rekord

Był listopad 2011 roku, gdy słynny amerykański surfer Garrett McNamara przyjechał do Nazaré, spodziewając się pojawienia się tu w krótkim czasie wielkiej fali. Cekał i nie zawiódł się. Udało mu się trafić na falę mierzącą 78 stóp (czyli 23,77 metrów). Amerykanin załapał się na jej grzbiet i utrzymał kurs. Ustanawiając w ten sposób światowy rekord. Potwierdzony oficjalnie przez specjalną komórkę Światowej Ligi Surfingu. Dwa lata później, w styczniu 2013 roku, raz jeszcze wypłynął deską na Atlantyk. Ponownie wybierając wybrzeże Nazaré. Wedle swoich pomiarów natrafił tym razem na falę ocenianą na około 100 stóp (30 metrów) wysokości. Tym razem wynik nie został jednak potwierdzony przez komisję zasiadającą przy Światowej Lidze Surfingu.

8 listopada 2017 roku jego konkurent, brazylijski surfer Rodrigo Koxa, utrzymał się na fali, której wysokość wynosiła „zaledwie” 80 stóp (24,38 metrów). Jego wynik oficjalnie uznała Światowa Liga Surfingu. Przekazując tytuł rekordzisty Brazylijczykowi.

► Ziemia Święta Maryi

– Ziiiimna... – spacerująca brzegiem dziewczyna z zarzuconym przez ramię ręcznikiem prędko wybiega z wody. Zdażyła w niej zanurzyć ledwie kostki.

– Czyli nici z kąpiele?... – ze smutkiem konstatuje jej koleżanka. Po stroju można wnioskować, że liczyła choćby na krótką chwilę ochłody w oceanie. Na plaży dziś prawdziwy



Żona rybaka w Nazaré ubrana w siedem spódnic

upał. Jest przynajmniej 25 stopni w cieniu. Tyle że na piaszczystej plaży (poza wynajmowanymi schronami) nie ma na niego najmniejszych szans. W słońcu temperatura osiąga pewnie ponad 40 stopni. Zaś woda w Atlantyku nie ma w tej chwili więcej jak 13–15 stopni. Zresztą, taka temperatura oceanu to dla okolic Nazaré zupełna normalność.

– Zostawcie tę kąpiel – woła dziewczyny starszy od nich mężczyzna. – Idziemy do knajpy. Być w Nazaré i nie zjeść ryby? To byłoby jakieś zupełne nieporozumienie. Wypikujemy się w Bałtyku.

Rzeczywiście, u nas w morzu woda jakby nieco cieplejsza. I ludzie też zwykle uśmiechnięci. Życzliwi. Zupełnie jak w Portugalii. I tylko Czarnej Madonny w znaku pradawnej drewnianej figurki żal. Tego u nas raczej nie znajdziemy. I dlatego dobrze jest raz na jakiś czas przyjechać do Nazaré. I pomyśleć ciepło o Maryi. Niekoniecznie dopiero wtedy, gdy wszystko się u nas wali i czujemy, że zaraz spadniemy z klifu, jak niejaki rycerz Roupinho. Można tu przyjechać, jak wszystko jest dobrze. I podziękować. Podobnie jak dziękowali Matce Bożej żeglarze po szczęśliwych powrotach. Jak wyrażali Jej wdzięczność potomkowie Zakonu Templariuszy, którzy nieopodal stąd, w twierdzy Tomar, znaleźli po konkwiście zakonu bezpieczną dla siebie przystań. W końcu gdzieś jak gdzieś, ale w „Ziemii Świętej Maryi”, jak niektórzy nazywają dziś Portugalie, pokoju nikomu nie zabraknie. ■

Olga Doleśniak-Harczuk



Ze skrajności w skrajność

Jak zareagować, kiedy wujek Heiner w dyskusji o neonazistach atakujących ośrodki dla uchodźców, nagle zadaje pytanie o przyczyny bezkarności nie mniej agresywnych lewicowych bojówek? Jak to jak? Należy wujka upomnieć, że temat nie dotyczy lewicy, tylko prawicy, więc niech nie relatywizuje i nie odwraca kota ogonem. A jak Udo, nieznosny kolega z pracy, zaczyna się uskarżać na politykę imigracyjną państwa i w imieniu narodu niemieckiego żąda uszczelnienia granic? Trzeba kolegę poprosić, by wpierw zdefiniował pojęcie narodu. W końcu kto dał mu prawo do formułowania tak rasistowskich tez w imieniu ogółu.

Te i inne rady mają wesprzeć niemieckie społeczeństwo w walce z uprzedzeniami, rasizmem, ksenofobią i szowinizmem, zwolennikami AfD, islamofobami, genderofobami etc. Pomysłodawcą wirtualnego poradnika komunikacji nazwanego „Radykalna uprzejmość” jest grupa młodych aktywistów skupiona wokół inicjatywy „Kleiner Fünf”. Dzieło bazowe, służące im za źródło wiedzy o pożądanych reakcjach w kontaktach z „prawicowymi populistami”, to z kolei książeczka Anny Otte, zatytułowana „Skąd bierze się nienawiść”. Dla porządku, przedmiotem sprawy jest mowa nienawiści rozumiana jako kwestionowanie prawd lewicowej wiary. Agresja werbalna jest już samo wyrażenie wątpliwości co do kierunku polityki imigracyjnej państwa niemieckiego, jest nią również podważenie ideologii gender, a nawet wypowiedź matki samotnie wychowującej dzieci, która zali się, że nie jest w stanie utrzymać na godziwym poziomie swojej rodziny, ponieważ „elity państwa zabierają część jej dochodów”. Wszystko może podpaść pod kategorię mowy nienawiści. Na szczęście istnieją ludzie, którzy wiedzą, jak stosownie odpierać te ataki. I uczynili misję z pouczenia innych. W miejscu pracy, szkole, w kręgu znajomych. A jak ktoś nie posłucha, to najlepiej odciąć się od niego, skazać na towarzyską banicję. Rozmowa umarła. Albo się ze mną zgadzasz w 100 procentach, albo rozwalę ci czaszkę. To jest mechanizm, o którym mówi w wywiadzie dla „NP” (s. 76) Boris Reitschuster.

► W internecie można obrażać

Patrzac na tak gorliwe zaangażowanie aktywistów w naprawianie niepoprawnych wujków, kolegów z pracy i przypadkowo napotkanych gości przyjąć sąsiedzkich, trudno uwierzyć w wyrok sądu w sprawie polityk Zielonych Renate Künast, jaki zapadł 19 września w berlińskim sądzie okręgowym. Künast od kilku lat otrzymuje listy, w których ktoś wyzywa ją w sposób tak wulgarny, że oszczędzę Państwu cytatów. To samo dzieje się w Sieci. Była minister rządu federalnego jest wprost zalewana falą tego, co przyjęło się w nowomowie doby internetu określać hejtem. Kobiety w polityce nie należą z reguły do najdelikatniejszych, przywykłe do wyrywania sobie stołków zębami rzadko cierpią na syndrom ofiary. To one łowią. Bywają jednak sytuacje, gdy nawet twarda sztuka potrzebuje ochrony. W tym przypadku sądu, prawa. I pani Künast zgłosiła organom ścigania swój problem. W państwie tak wyczulonym na rasistowskie komentarze różnych wujków Heinerów nie ma przecież miejsca na wieloletnie dręczenie. A jednak jest. Wyrok sądu zbił z tropu wszystkich i zbulwersował nawet politycznych przeciwników Zielonych. Okazało się bowiem, że wyzwiska nie są naruszeniem dóbr osobistych czy godzeniem w dobre imię, lecz zwykłym wyrażeniem opinii. I można dręczyć kogoś latami, życząc mu śmierci, i uciekać się do odczłowieczających porównań. Kropka.

Konsekwencji nie będzie. Pani Künast dalej będzie mieszana z błotem. Legalnie.

► Zderzenie ze ścianą

W niemieckim kodeksie karnym istnieje paragraf 166 znany jako „paragraf za bluźnierstwo”. Jeszcze dwa lata temu szacowano, że rocznie z paragrafu 166 wyrok skazujący zapadał co najwyżej w 15 przypadkach. I były to kary łagodne, żeby nie powiedzieć – symboliczne. Zgodnie z paragrafem 166 osoba, która publicznie obraża uczucia religijne lub światopogląd innych i czyni to w sposób zakłócający spokój społeczny, podlega karze do lat trzech pozbawienia wolności lub karze pieniężnej. Paragraf 166 istnieje w niemieckim KK od 1881 roku i do dziś budzi emocje. Lewica, Zieloni, FDP, Towarzystwo Humanistyczne, a nawet niemiecki PEN-Club lobują na rzecz zniesienia „średniowiecznego paragrafu”. CSU żąda lepszego egzekwowania tego prawa, a nawet jego zaostrzenia, zaś kanclerz Merkel i SPD od lat unikają debaty na ten temat. Sam paragraf nie cieszy się sympatią prokuratorów i sędziów, rzadko kiedy sprawy o bluźnierstwo trafiają na salę rozpraw, a nawet jeżeli do tego dochodzi, to sędzia, powołując się na wolność słowa, sztuki, prasy, wyrazu etc., szybko sprawę zamyka, a w przypadkach budzących wyjątkowe wzburzenie opinii publicznej orzeka karę grzywny. Przy czym opinia publiczna i jej aktywność odgrywają tu rolę kluczową, moc karząca paragrafu 166 nie uwalnia się bowiem wraz z zaistnieniem bluźnierstwa, ale dopiero z chwilą, gdy bluźnierstwo to spotka się z protestem. Nie karze się więc *de facto* osoby bluźniącej za to, że obraża Boga lub uczucia religijne innych, lecz za to, że jej zachowanie generuje ryzyko zamieszek, niepokoju społecznego etc. A ponieważ Niemcy poza naprawdę chlubnymi wyjątkami rzadko kiedy są skłonni do wychodzenia na ulicę w obronie wartości chrześcijańskich, większość spraw z paragrafu 166 ląduje w koszu. W 2013 roku na przykład na 60 odnotowanych w statystykach policyjnych przypadków zaledwie kilka przeszło przez prokuratorskie sito. Paragraf za bluźnierstwo jest na wpół martwy od lat 60. XX wieku, współczesnym Niemcom kojarzy się bardziej z islamem i karą cielesną, ale krytyka islamu podpada przecież pod ksenofobię i islamofobię. Błędne koło. Renate Künast wywodząca się z ateizujących kręgów Zielonych to reprezentantka tych, którzy walczą o zniesienie paragrafu 166, w imię wolności słowa. Wolności jako takiej. A zatem również prawa do bezkarnego obrażania uczuć religijnych innych. Künast sama już jako ofiara nienawiści, którą w dodatku pouczone, że to, co ją dotyka, nie jest wcale obrażą tylko wyrazem wolności słowa, zderzyła się ze ścianą. Niemiecka lewica, również ta zielona, przewraca się o własne nogi. Tutaj żadne poradniki nie pomogą. ■

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

► Chiny

10 września w dniu swoich 55. urodzin Jack Ma (Ma Yun), założyciel firmy Alibaba Group, odszedł z funkcji prezesa koncernu. Alibaba to największa chińska platforma sprzedaży detalicznej.

Według oficjalnej wersji Jack Ma to geniusz, który jako jeden z pierwszych w Chinach założył firmę internetową, mimo że sam nie potrafił nawet wysłać e-maila. „Pożyczyłem 2 tys. dolarów, by uruchomić firmę” – tak wspominał swoje początki w ChRL-u sam Ma, skromny nauczyciel, który bez żadnych koneksji partyjnych, a tylko dzięki wytrwałości i ciężkiej pracy odniósł sukces. Tyle wersja życiorysu rodem z „Baśni tysiąca i jednej nocy”. W 1997 roku Jack Ma, z wykształcenia anglista, rozpoczął pracę w chińskim ministerstwie handlu zagranicznego i tam otrzymał zadanie rozwoju handlu chińskimi produktami on-line. W 1999 roku opuścił ministerstwo i założył Alibabę – firmę, która promuje i sprzedaje głównie chińskie produkty on-line. Czy to zbieg okoliczności, że początki działalności Ma są podobne do karier szefów wielu dzisiejszych chińskich gigantów, którzy z wysoko postawionych urzędników państwowych czy wojskowych stali się biznesmenami? Takiej transformacji doświadczył na przykład Ren Zhengfei, były oficer Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, który w 1987 roku założył firmę Huawei.

We wrześniu 2012 roku firma Jacka Ma ogłosiła, że za 7,6 mld dolarów odkupi 50 proc. udziałów, jakie Yahoo miał w Alibabie. Spółka zdobyła pieniądze, sprzedając swoje udziały 16 instytucjom, w tym China Investment Corporation (CIC), China Development Bank Capital (CBDC), Citic Capital i Boyu Capital. Według raportu opublikowanego w „The New York Times”, czołowe pozycje w tych instytucjach zajmują członkowie rodzin obecnych i byłych przywódców KPCh, w tym wnuk byłego prezydenta ChRL Jiang Zemina.

Firma Jacka Ma nie tylko dawała zarobić chińskim komunistom. Jej twórca potrafił bronić w mediach polityki KPCh. I tak na przykład w wywiadzie dla gazety hongkońskiej w 2013 roku Ma określił jako „śluszną” decyzję Deng Xiaopinga o wysłaniu armii na protestujących na placu Tiananmen studentów w czerwcu 1989 roku. W tym samym wywiadzie określił komunistyczny rząd w Pekinie jako „wspaniały” i mimo istnienia projektu Złota Tarcza zaprzeczał, aby władze kontrolowały internet w Państwie Środka.

Jack Ma, członek KPCh, uważany był za biznesmena związanego z Jiang Zeminem, który jest szefem tzw. frakcji szanghajskiej w KPCh i głównym wrogiem obecnego prezydenta Chin Xi Jinpinga.

Według Guo Wnenguia, chińskiego miliardera ubiegającego się o azyl w USA i współpracującego w tej chwili m.in. z byłym doradcą prezydenta Donalda Trumpa Steve'a Bannona w celu ujawniania korupcyjnych działań komunistycznych Chin, Jack Ma nie odszedł na własne życzenie, lecz został zmuszony do odejścia na emeryturę przez wiceprezydenta Chin Wang Qishana, najbardziej zaufanego człowieka prezydenta Xi. Jack Ma oddał pełną kontrolę nad swoją firmą ludziom Xi Jinpinga w zamian za zachowanie życia. Nie chciał skończyć tak jak inny miliarder Wang Jian, współzałożyciel i prezes chińskiego giganta, firmy HNA Group, który w połowie 2018 roku robiąc sobie selfie, spadł z wysokiego muru we francuskiej miejscowości Bonnieux i zmarł. Przybyły na miejsce zdarzenia pierwszy świadek zobaczył przy ciele Wangu innego Chińczyka, a w ciele miliardera igły.

Według Guo Wnenguia i Steve'a Bannona śmierć Wangu to nie wypadek, lecz morderstwo na zlecenie Wang Qishana. Wang Jian zginął, bo wiedział zbyt wiele o powiązaniach HNA z chińskimi służbami specjalnymi.

Według Guo równie niebezpieczną wiedzę ma Jack Ma i mimo odejścia na emeryturę nadal może go spotkać podobny los jak Wang Jiana.

► Tajwan

16 września Wyspy Salomona zerwały stosunki dyplomatyczne z Tajwanem, by nawiązać je z komunistyczną Chińską Republiką Ludową. W reakcji na tę decyzję Tajwan ogłosił, że likwiduje wszystkie placówki dyplomatyczne na Wyspach Salomona.

Według tajwańskiej agencji prasowej CNA Wyspy Salomona rozważały zmianę frontu, odkąd po kwietniowych wyborach szefem rządu został Sogavare. Tajwańskie media podawały, że delegacja z Wysp Salomona spotkała się w Pekinie z szefem chińskiego MSZ Wangiem Yi i zgodziła się zabiegać w swoim rządzie o zerwanie stosunków z Tajwanem w zamian za pomoc finansową w wysokości 500 mln dolarów od Chin.

Na konferencji prasowej szef tajwańskiego MSZ Joseph Wu zarzucił Chinom, że naciskały na tę zmianę, by wpłynąć na wybory prezydenckie i parlamentarne, które odbędą się na Tajwanie w styczniu 2020 roku.

Wyspy Salomona są już szóstym krajem, który zerwał stosunki dyplomatyczne z Tajwanem od momentu dojścia do władzy w 2016 roku prezydent Tsai Ingwen z proniepodległościowej partii DPP. Tsai stara się o reelekcję w 2020 roku.

Niezadowolone ze zmiany sojuszy przez Wyspy Salomona okazały Stany Zjednoczone.

„Decyzja Wysp Salomona, aby wycofać uznanie Tajwanu na rzecz Chin, będzie mieć konsekwencje. [...] Dają priorytet krótkoterminowemu zyskowi od Chin, poświęcając trwającą od dawna związek z USA” – stwierdził informator Reutersa, przedstawiciel administracji USA.

Wiceprezydent Mike Pence odwołał spotkanie z premierem Wysp Salomona Manassehem Sogavare, do którego miało dojść we wrześniu podczas Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Sogavere miał w lipcu pisać do Pence’a, że jego kraj potrzebuje pomocy od USA, Australii, Nowej Zelandii, Japonii i Tajwanu w celu rozbudowy infrastruktury.

► Wietnam

Według Open Doors, chrześcijańskiej organizacji non-profit wspierającej i monitorującej prześladowania chrześcijan, Wietnam zajmuje 20. miejsce wśród krajów najbardziej atakujących tę religię. Mimo że oficjalnie rząd wietnamski mówi o panującej w Socjalistycznej Republice Wietnamu wolności religijnej gwarantowanej przez konstytucję, to prześladowania się nasilają.

Jak donosi brytyjski oddział Open Doors, pod koniec sierpnia tego roku w północnym Wietnamie kilkusobowa rodzina chrześcijan została pobita, potem rannych ciągnięto po kamienistej drodze i zrzucono w przepaść kilka kilometrów za ich rodzinną wioską. Powodem agresji była odmowa przez chrześcijan wzięcia udziału w jednym z pogańskich obrzędów.

Coraz częściej represje dotyczą także chrześcijańskie dzieci w wietnamskich szkołach. Traktowane są tam jak obywateli drugiej kategorii, a nawet zakazuje się im uczęszczania do szkół. Domy chrześcijan w Wietnamie są regularnie niszczone, a ich mieszkańców się eksmituje.

► Japonia

19 września sąd w Japonii uniewinnił byłego prezesa i dwóch byłych wiceprezesów firmy Tokyo Electric Power (TEPCO), zarządzającej elektrownią atomową w Fukushima, oskarżonych o zaniedbania w związku z katastrofą w 2011 roku, będącą największym wypadkiem nuklearnym od czasów Czarnobyla. Zaniechania doprowadziły do śmierci 44 osób i spowodowały obrażenia u 13 innych. Prokuratura domagała się skazania trzech mężczyzn na pięć lat więzienia. Oskarżeni nie przyznawali się do winy. Przeprasili za skutki awarii, ale twierdzili, że nie mogli przewidzieć wypadku.

Przed salą sądową zgromadziły się dziesiątki osób, które chciały usłyszeć wyrok. Wiele z nich przyjechało z prefektury Fukushima. Zebrani ocenili wyrok jako niesprawiedliwy i zapowiedzieli odwołanie od orzeczenia sądu.

Do katastrofy w elektrowni jądrowej Fukushima Dai-Ichi doszło 11 marca 2011 roku, podczas najsilniejszego od 140 lat w tym rejonie trzęsienia ziemi. Osiągnęło 9 stopni w skali Richtera, jego hipocentrum położone było około 130 km od wybrzeży Japonii. Trzęsienie wywołało ogromną falę tsunami, która przedarła się przez mur oporowy elektrowni i zalała położone zbyt nisko spalinalne generatory. Woda zniszczyła także potężne zbiorniki paliwa do agregatów. Spowodowało to problemy z chłodzeniem reaktorów oraz skoki ciśnienia i eksplozje wodoru.

Także niedawno władze prefektury Fukushima zdecydowały, że w 2020 roku zakończą prawie 10-letni program badań kobiet w ciąży i matek karmiących, który sprawdzał ich zdrowie pod kątem ewentualnego wpływu substancji promieniotwórczych. Otrzymane w trakcie trwania programu wyniki nie odbiegały od tych z innych części Japonii. „Władze Fukushima uznały, że nie ma żadnych zauważalnych efektów wpływu substancji promieniotwórczych, których obawiano się po wypadku w elektrowni jądrowej” – podał portal The Japan News. ■

TŁUMACZENIE I OPRACOWANIE
Antoni Rybczyński

Politycy i eksperci Zachodu: czas ocieplenia relacji z Rosją jeszcze nie nadszedł

Temat „resetu” w stosunkach Zachodu z Rosją wraca co jakiś czas, najczęściej wywołuje go Moskwa, której zależy na zniesieniu sankcji. Do ocieplenia relacji miało dojść już po wyborze Donalda Trumpa, później – po szczycie w Helsinkach czy niedawno w związku z wypowiedziami Emmanuela Macrona. W rzeczywistości za każdym razem kończy się na słowach. Teraz temat znów wrócił po tym, jak doszło do wymiany więźniów między Rosją a Ukrainą. Na Zachodzie pojawiły się głosy, że to pokazuje dobrą wolę Kremla. Jednak, jak pisze Danila Galperovich, więcej jest w USA i Europie krytyków ewentualnego zmiękczenia stanowiska wobec działań Władimira Putina. Artykuł ukazał się na stronie internetowej redakcji rosyjskojęzycznej Głosu Ameryki 12 września 2019 roku.

Po tym, jak pod koniec ubiegłego tygodnia [7 września – tłum.] Rosja i Ukraina wymieniły się więźniami (przy całej różnicy powodów, dla których ludzie z obu stron znaleźli się za kratami), na Zachodzie jeszcze głośniejsze stały się dyskusje o tym, że przyszła pora na poprawę stosunków z Moskwą. Prezydent Francji Emmanuel Macron wysłał do Moskwy ministrów spraw zagranicznych i obrony, demonstrując w ten sposób możliwość współpracy z rosyjskim kierownictwem w sferze bezpieczeństwa. Macron wypowiedział się także przeciwko wprowadzeniu jakichkolwiek nowych sankcji wobec Federacji Rosyjskiej. W Wiedniu 9 września doszło do spotkania urzędników USA i Rosji i rozmów o tematyce antyterrorystycznej, zaś w Departamencie Stanu USA wyrażono życzenie kontynuacji dialogu z Rosją w tym obszarze. Wcześniej prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump wypowiedział się pozytywnie o powrocie do formatu „wielkiej ósemki” wraz z Rosją, czym wywołał krytykę ze strony swoich kolegów z G-7. Sam Władimir Putin komentując możliwość powrotu Rosji do tego „klubu”, oświadczył, że jeśli format G-8 będzie przywrócony, a członkowie grupy zechcą przyjechać do Rosji, to „tutaj będą im tylko radzi”.

Czy rozwój wydarzeń w ostatnim okresie oznacza, że Zachód jest gotów przyjąć bardziej miękkie stanowisko wobec działań Putina, i czy liderom zachodnich krajów opłaca się dążyć do ocieplenia stosunków z Moskwą?

► Paul Goble: przywódcy Zachodu są niecierpliwi i spieszą się dogadać z Moskwą

Specjalista od spraw rosyjskich Paul Goble, w przeszłości jeden z szefów rozgłośni Radia Swoboda/Wolna Europa, wskazuje w wywiadzie dla rosyjskiej redakcji Głosu Ameryki na braki w podejściu obecnych liderów Zachodu do Rosji: „Władimir Putin jest świadom dwóch rzeczy, jeśli mowa o obecnych przywódcach krajów zachodnich. Po pierwsze, są oni bardzo niecierpliwi, nie chcą czekać, chcą osiągać wszystko szybko i o ile to możliwe – łatwo. W efekcie nawet jeśli ktoś proponuje, by poczekać, aż pewne działania zaczną przynosić efekt, to w odpowiedzi włącza się cały chór wyzywających, by działać jak najszybciej i wznowić komunikację z Władimirem Putinem. Po drugie, Zachód gotowy jest na wdzięczność Putinowi tylko za to, że przestanie on robić złe rzeczy, i nie musi nawet robić czegoś dobrego, bo i tak wszyscy natychmiast będą mu wdzięczni”.

„Oznacza to, że jeśli Putin zaprzestanie najazdów na inne kraje, wówczas ludzie zaczną mówić:

»No przecież wtargnął tylko do jednego kraju, z tym można się jakoś pogodzić«. Sam Putin nie jest zbyt bystry, ale gra przeciwko liderom, którzy są jeszcze mniej zręczni i gotowi zadowolić się tym, że on albo idzie na drobne ustępstwa, albo tylko czeka” – wyjaśnia Paul Goble. Analityk wątpi, że zachodnim krajom starczy wytrwałości i cierpliwości, żeby doczekać rezultatów ich nacisku na Rosję: „Zachód wierzy, że sankcje przeciwko Rosji złagodnieją, jeśli Putin choćby minimalnie ustąpi w sprawie Donbasu. Myślę, że to pokazuje poważniejsze problemy z przywództwem na Zachodzie – ci ludzie nie chcą patrzeć na Rosję jak na zagrożenie dla ich egzystencji, choć tak właśnie jest. Nie chcą także czekać na rezultaty, pragną wciąż iść naprzód i dlatego są gotowi wykorzystywać wszystko, co może przedstawiać Moskwę w lepszym świetle. Putin to rozumie, on jest w stanie czekać – tak jak po inwazji na Gruzję w 2008 roku i jak teraz – po napaści na Ukrainę”. W XX wieku Zachód w pewnym momencie doszedł do „odprężenia” w stosunkach z Moskwą, ale wtedy, zdaniem Paula Goble’a, wszyscy rozumeli ograniczenia takiego podejścia: „W latach 70. kraje zachodnie doskonale wiedziały, jakiej linii w dogadywaniu się z ZSRS nie należy przekraczać. Nikt nie chciał być oskarżony o to, że jest »zbyt miękki wobec komunizmu«. Zachowanie Zachodu podczas zimnej wojny było kombinacją wysiłków tych, którzy realnie wierzyli w wagę kwestii praw człowieka, oraz społeczności biznesowej, która bardzo negatywnie odnosiła się do komunistycznych idei. I oni działali wspólnie. Zaś USA w dużej mierze określały temperaturę w stosunkach Zachodu ze Związkiem Sowieckim, dlatego nasze podejście do tego było ważne dla wszystkich. Teraz nie ma czegoś podobnego”.

„Jest jeszcze jedna bardzo ważna rzecz, którą należy brać pod uwagę: Putin i jego kumple gotowi są tracić znaczną część tego ogromnego bogactwa, które zgromadzili, aby szkodzić zachodniej demokracji. Dlatego powinniśmy być nieustępliwi, powinniśmy w szczególności pomóc Ukrainie przeciwstawić się Putinowi: robimy to nie tylko ze względu na Ukrainę, lecz robimy to także dla siebie” – mówi Paul Goble.

► Michael Bennet: Rosja nie może być przyłączona do G-7 z powodu jej dążeń do dzielenia Zachodu

Senator z Partii Demokratycznej z Kolorado Michael Bennet, który dopiero co wydał książkę „Dzielać Amerykę: jak Rosja zhakowała media społecznościowe i demokrację”, jest przekonany, że nie ma

żadnych powodów, aby rozmawiać o powrocie Rosji do klubu najbardziej rozwiniętych demokracji, i w Białym Domu powinni to rozumieć. Taką opinię Michael Bennet wyraził podczas prezentacji swojej książki w Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych (CSIS), odpowiadając na pytanie Głosu Ameryki: „Nie uważam, żeby Rosję należało dopuszczać do »wielkiej siódemki« – i z powodu Ukrainy, i z powodu jej ingerowania w sprawy USA. Obecnie niestety mamy prezydenta, który do tej pory odmawia przyznania się, że taka ingerencja była, który stał obok Putina w Helsinkach i mówił, że nie widzi przyczyn, dla których rosyjski prezydent miałby kłamać, mówiąc, że takiego mieszania się nie było, i który przyjął na wiarę punkt widzenia Putina zamiast zafundowania do wywiadu naszego kraju”.

Koordinator Grupy Antyrasistowskiej w Parlamencie Europejskim Alfiaz Vaiya, który wystąpił 11 września w przesłuchaniach w Kongresie USA na temat wzrostu skrajnie prawicowych nastrojów w Europie, potwierdza w rozmowie z Głosem Ameryki, że rosyjskie ingerowanie i wpływy nadal wywołują poważny niepokój w Europie: „Rosja próbowała mieszać się w wybory zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Europie. W Europie robiła to przy pomocy wsparcia określonych sił politycznych – i skrajnie prawicowych, i skrajnie lewicowych – a czasem bezpośrednio pieniędźmi i podsycaniem konfliktów w krajach europejskich. Widzieliśmy, jak pewni europejscy politycy jeździli do Rosji i na Krym, a potem w jakim wymiarze działają on-line: w 2016 roku było tak wyborach w USA, a potem w czasie kampanii wyborczych w Europie”.

„ZACHÓD WIERZY, ŻE SANKCJE PRZECIWKO ROSJI ZŁAGODNIEJĄ, JEŚLI PUTIN CHOĆBY MINIMALNIE USTĄPI W SPRAWIE DONBASU. TO POKAZUJE POWAŻNIEJSZE PROBLEMY Z PRZYWÓDZTWEM NA ZACHODZIE – CI LUDZIE NIE CHCĄ PATRZEĆ NA ROSJĘ JAK NA ZAGROŻENIE DLA ICH EGZYSTENCJI, CHOĆ TAK WŁAŚNIE JEST”.

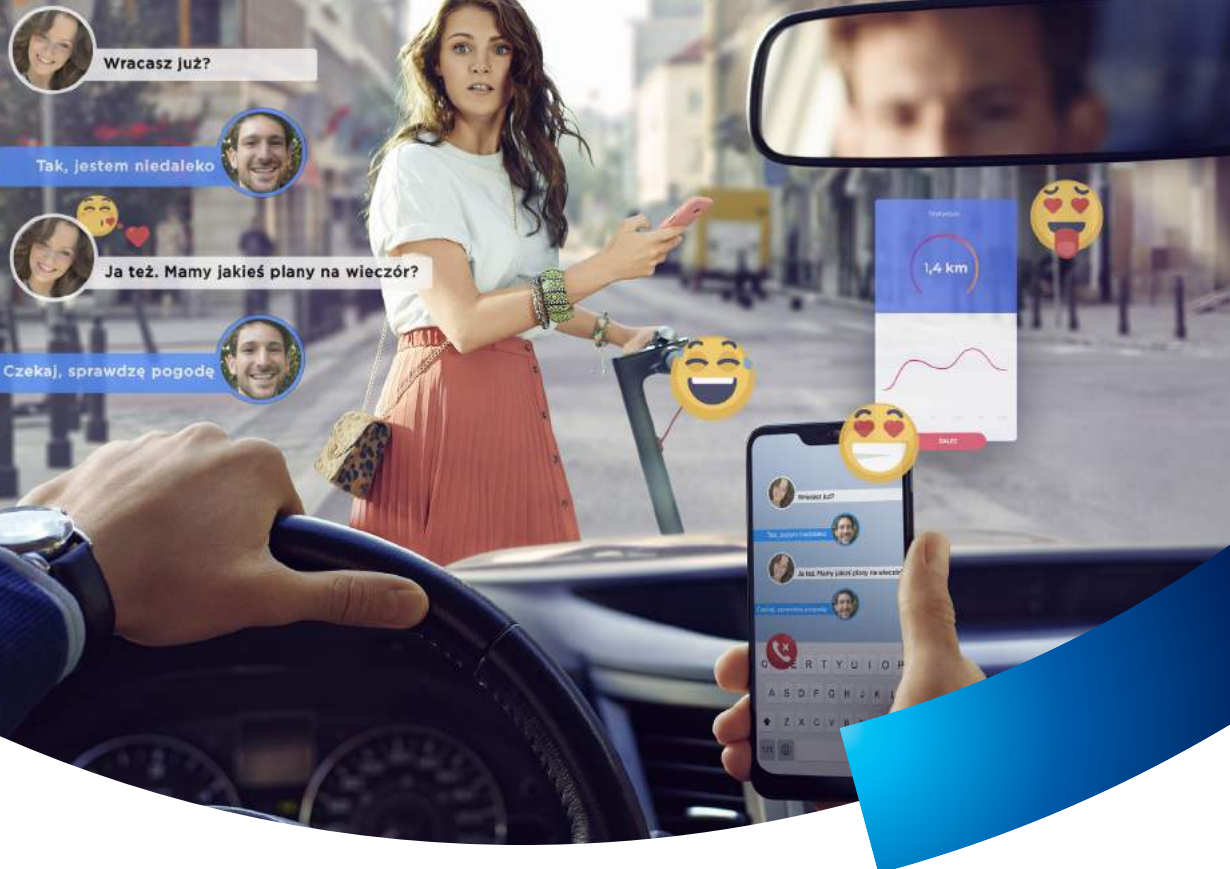
Senator jest przekonany, że Rosja wyrządza znaczne szkody, siejąc niezgodę w sieciach społecznościowych i wzbudzając wrogość między społecznościami w USA i Europie: „Wiem z rozmów z przywódcami w Europie Zachodniej, jak bardzo są oni zaniepokojeni nieobecnością naszego przywództwa w tej kwestii. Wiedzą, że samodzielnie obronić się przed Rosją nie będą mogli. Są bardzo zaniepokojeni tym, jak Rosja sprzyja wzrostowi ultraprawicowych nastrojów w Europie”. „U nas [...] Rosja działała na wszystkich kierunkach. Główny jej cel to siać sprzeczności i rozbijać jedność naszego społeczeństwa” – uważa amerykański polityk.

Michale Bennet jest przekonany, że przeciwstawianie się informacyjnej agresji Moskwy trzeba nasilić: „Nasza administracja – gdyby był u nas w Białym Domu ktoś, kogo można poważnie traktować – powinna była wprowadzić surowe sankcje przeciwko Rosji za te działania. Powinniśmy sami podjąć jakieś działania [...], co dałoby jej do zrozumienia, że kara jest nieunikniona. Powinniśmy być na czele naszych europejskich kolegów w tej walce, być przywódcami tej walki”.

► Alfiaz Vaiya: powrót Rosji do „wspólnego stołu” będzie kontrproduktywny

Europejski polityk jest przekonany, że próba przyjęcia bardziej miękkiego stanowiska wobec działań Władimira Putina jest przedwczesna: „Widzimy oświadczenia o próbach nowego dialogu z Rosją, próbach, aby znów zaprosić ją do wspólnego stołu. Ale jestem przekonany, że takie działania byłyby kontrproduktywne, nawet jeśli popatrzyć na to przez pryzmat tego, co dzieje się wewnątrz samej Rosji. Widzieliśmy to tego lata, gdy ludzie w Moskwie wychodzili na ulice protestować, wiemy także, że sytuacja gospodarcza w Rosji się nie poprawia, to znaczy, że teraz pozycja Putina jest osłabiona. Więc kiedy niedawno europejscy przywódcy – wśród nich Macron – odpowiedzieli Trumpowi na jego słowa o powrocie Rosji do »wielkiej ósemki«, że jeszcze na to nie czas, uznałem taką odpowiedź za prawidłową. Putin nie zrobił niczego dla pojawienia się możliwości takiego powrotu”. Zdaniem Alfiaz Vaiyi, Europa i USA powinny nalegać na to, by Rosja stała się odpowiedzialnym demokratycznym krajem: „Powinniśmy dać jasno do zrozumienia Putinowi, że aneksja Krymu jest nadal nie do przyjęcia, że kontynuacja jego ekspansji na terytoria sąsiadów czy to Ukrainy, czy Gruzji – także jest nie do zaakceptowania, i że należy trzymać się demokracji i prymatu prawa”.

MATERIAŁ
MARKETINGOWY



Prowadzisz? **Odtóż** telefon

Co czwarty wypadek drogowy może być spowodowany przez korzystanie z telefonu komórkowego w trakcie jazdy*.

* Instytut Transportu Samochodowego



Z myślą o bezpieczeństwie



Marcin Wolski

KRAINA WOLNOŚCI

Zwielu powodów, dla których lubię wracać wspomnieniami do lat mej młodości, wskażę na fakty, że choć dostać się było trudno (na historię siedmiu na jedno miejsce), to studiowało się łatwo, latami, bez sprawdzania listy na wykładach; że wino było tanie, a dziewczyny dość łatwe; że przede wszystkim w odróżnieniu od szkół średnich takie uczelnie jak uniwersytety były wyspami wolności na oceanie socjalistycznego zidiocenia. Nie próbowano nas indoktrynować, a profesorowie pamiętający międzywojnie wyraźnie brzydzyli się kłamstwem. Na seminariach, w kołach naukowych mówiło się otwartym tekstem

Gerber umożliwił konfrontację doniesień z prasy francuskiej z ukrytymi w głębi biblioteki prohibitami paryskiej „Kultury”. Z komunistyczną nowomową wszechobecną w mediach, na mojej uczelni można było się zetknąć jedynie na studium wojskowym i u kilku pogardzanych wykładowców z awansu społecznego. Nie istniała poprawność polityczna, jedyne bariery stwarzały kultura osobista i poczucie przyzwoitości, poza tym kwitł seksizm (stanowiący rodzaj erotycznej gry), nagminnie żartowano z pederastów, choć żaden zaprzyjaźniony homo nie doznawał najmniejszej dyskryminacji, a co do Żydów – występowali obficie w ka-

PRZY WSZYSTKICH WADACH ŻYCIA W „MINIONYM REŻIMIE” UZYSKALIŚMY RZECZ BEZCENNA,
CZĘSTO NIEDOSTĘPNĄ WOLNYM LUDZIOM ZACHODU – ODPORNOŚĆ. BEZBŁĘDNIE
WYŁAPUJEMY FAŁSZ, MANIPULACJE, A UMIŁOWANIE PRAWDY GÓRUJE NAD ROZKOSZAMI
RELATYWIZMU.

i nikomu nie przyszło do głowy donieść na Pawła Wieczorkiewicza, że ten ambitny prymus w czasie nadobowiązkowym kolekcjonuje informacje o zbrodniach stalinowskich. Nasi profesorowie byli rzeczywistymi autorytetami i zawodowymi mistrzami, którym próbowaliśmy dorównać. Kiedy w 1968 r. wybuchła rewolta studencka, mimo zewnętrznych podobieństw była absolutnie różna od tej paryskiej czy amerykańskiej. Tam wrzeszczano: „zabrania się zabraniać!”, terroryzowano wykładowców; u nas przeciwnie – demonstrowaliśmy i strajkowaliśmy w obronie zwalnianych profesorów (takich jak Bauman czy Brus), nie zastanawiając się nawet, czy na to zasługują. Podobnie wpływowi wykładowcy ujmowali się za relogowanymi studentami, często załatwiali im możliwość dokończenia studiów na innej uczelni (Michnikowi udało się to w Poznaniu), w miarę możliwości pomagali przy znalezieniu pracy po studiach. Uczyli krytycyzmu, a nawet popierali kontestację (w granicach rozsądku). To profesor Samsonowicz (skądinąd mediewista) zachęcił mnie, abym na temat pracy magisterskiej wziął dziewczycy wówczas temat polskiego Października '56 roku, a promotor profesor

wałach, a zarazem popierani byli w 90 procentach w swojej walce przeciw całemu „arabstwu” świata. (Zrobiliśmy taki prywatny sondaż po wojnie sześciennowej. Linie partii popierał tylko jeden kolega, skądinąd z pochodzenia Izraelita). W dodatku przepełniał nas bezgraniczny zachwyt nad ustrojem demokratycznym (którego nie znaliśmy), nad Ameryką (w której nie byliśmy), a jakiegokolwiek krytyczne opinie odrzucaliśmy w czambuł, jako wymysł komunistycznej propagandy. O tym, że wolność wyboru może oznaczać wybór zła, że niewidzialna ręka rynku niekoniecznie jest sprawiedliwa i uczciwa, a tolerancja z łatwością może przeobrazić się w swoje przeciwieństwo, mieliśmy się przekonać dopiero po czasie. Jednak przy wszystkich wadach życia w „minionym reżimie” uzyskaliśmy rzecz bezcenną, często niedostępną wolnym ludziom Zachodu – odporność. Bezbłędnie wyłapujemy fałsz, manipulacje, pojedyncze drzewa nie przysłaniają nam lasu, a umiłowanie prawdy góruje nad rozkoszami relatywizmu. Zdrowy rozum jest ciągle ważniejszy od zaklętych szamanów. Pozostaje pytanie: na ile naszą błogosławioną odporność potrafimy przekazać przyszłym pokoleniom? ■



Tomasz Sakiewicz

Bezpieczeństwo Polski, bezpieczeństwo USA

W większości filmów opowiadających o fikcyjnej III wojnie światowej atak na USA zaczynał się od napaści na wojska NATO w Europie. Dlaczego? Bo te stacjonowały najbliżej granic potencjalnego agresora, czyli Rosji. Oznacza to, że jeżeli ktoś chciał mieć pewność, iż nie będzie zdecydowanej i szybkiej odpowiedzi ze strony Amerykanów, musiał najpierw zniszczyć siły USA na Starym Kontynencie. Dlatego też atak na te siły Waszyngton wprost traktował jako wstęp do napaści na terytorium swojego państwa. To daje nie tylko efekt odstraszający wobec potęgi za oceanem, lecz także chroni Europę przed agresją. Rozszerzenie NATO zmieniło tę doktrynę. USA zobowiązały się do tego, że na terytorium dotychczasowych członków Paktu nie będzie stałych baz i większych jednostek. Miało to przekonać Moskwę do pokojowej polityki i do tego, że przyjęcie nowych członków nie jest wymierzone w Rosję. Oznaczało to jednak, że nowe państwa w Sojuszu były słabiej chronione. Jedynym zabezpieczeniem dla nich stał się artykuł piąty Paktu Północnoatlantyckiego mówiący, że atak na jednego z członków Sojuszu jest atakiem na wszystkich. Faktycznie nikt jeszcze w historii NATO tego artykułu nie przetestował, może poza Wielką Brytanią w bardzo lokalnej awanturze o Falklandy. To świadczy zarówno o sile, jak i możliwej słabości tego zapisu.

Dużo większą pewność realnej obrony niż sam artykuł piąty dają stacjonujące – na potencjalnie zagrożonym terytorium – wojska USA. W momencie gdy atak na te siły militarne uniemożliwia odpowiedź na uderzenie na same Stany Zjednoczone, reakcja jest nieunikniona. Stąd też uczynienie z Polski realnej wschodniej flanki NATO daje nam taki status.

Czy Polska nie jest w stanie sama zapewnić sobie takiej siły? To oczywiście mrzonka. Pomijam różnice potencjałów Federacji Rosyjskiej i Polski. Być może za jedno pokolenie zostaną one zniesione, bo nasz

kraj rozwija się szybciej niż Rosja, ale pewności nie ma. W tej chwili Polskę stać na armię wielokrotnie mniejszą od rosyjskiej. Jest coś ważniejszego: nie mamy broni atomowej ani środków jej przenoszenia. Jedyny możliwy parasol atomowy chroniący nas przed atakiem dają Stany Zjednoczone. Broń atomowa jest rozwiązaniem absolutnie ostatecznym i dlatego USA realnie mogą grozić jej użyciem tylko wtedy, gdy same będą zagrożone. Nic też dziwnego, że podstawą naszej doktryny obronnej musi być uczynienie Polski elementem bezpieczeństwa USA. Oczywiście nie możemy zaniechać rozbudowywania naszej armii i musimy przynajmniej postarać się o konwencjonalne środki przenoszenia zdolne do zadawania znaczących strat przeciwnikowi.

Rodzimi przeciwnicy amerykańskiej obecności wojskowej używają też odwrotnego argumentu: może nie drażnić Rosji, to nas nie napadnie. Dotychczasowe doświadczenie uczy jednak, że jeżeli Moskwa ma taką potrzebę, to znajdzie powód, by się dostatecznie zdenerwować. Generalnie powodem rosyjskiej agresji nie jest siła, a słabość przeciwnika. Moskwa nie napada państw o zbliżonym potencjale obronnym. Ma tu zbyt dużo fatalnych doświadczeń. Dwie rewolucje wewnętrzne i upadek ZSRS ściśle wiążą się z niepowodzeniami militarnymi (wojna japońska, I wojna światowa, interwencja w Afganistanie). Faktyczny mit założycielski dzisiejszej Rosji, pobicie Hitlera, wynikał z bezalternatywności: Hitler zamiast dogadywać się, mordował podbite narody. No i pamiętajmy, że Rosja tamtej wojny sama nie wygrała, a jej straty były po prostu ogromne. Stratedzy rosyjscy nie ryzykują więc dużych konfliktów zbrojnych, wiedząc, że mają lepszą broń: powolne osłabianie przeciwnika, a potem jego szybkie połknięcie. Obecność wojsk USA takie plany przekreśla. Nic też dziwnego, że Rosja dzisiaj mocniej przeciwstawia się temu niż samemu rozszerzeniu NATO. Użyje przy tym swojej najgłębiej schowanej agentury. ■

ANTONI
PAWLICKI



WARTO KOCHAĆ. WARTO MARZYĆ. WARTO WALCZYĆ.



ARTIFICIAL CLIMATES



W KINACH OD 20 WRZEŚNIA



eprasa.pl 6c61614e52